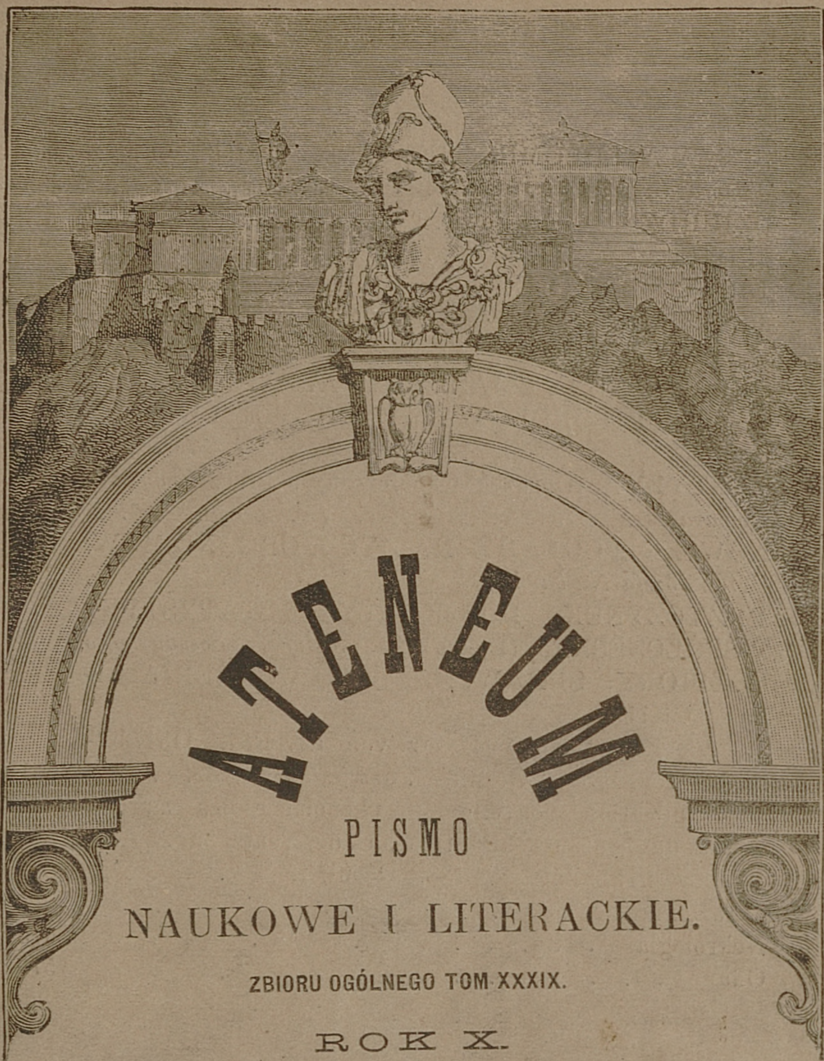


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXIX.

ROK X.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Września 1885 r.

SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

Literatura nasza do historyi XVII-go wieku, a w szczególności rządów Jana Kazimierza, należy do uboższych. Czas ten, jakkolwiek stanowiący epokę w dziejach Polski, nie wielu znalazł pracowników; a już zupełnie pod tym względem upośledzony jest krótki, ale niesłychanie ważny okres ośmiu końcowych lat panowania ostatniego Wazy.

Na roku 1660 urywają się dzieła Walewskiego, i ta część znanéj pracy Droysena, która w związku stoi z naszą historyą. Wszystko, co u nas zrobiono odnośnie do rzeczonego ośmiolecia, ogranicza się na szczupłéj liczbie kilku dawniejszych studyów, jak Plebańskiego, Załuskiego i Seredyńskiego (dwie ostatnie o sprawie elekcyi następcy tronu po Janie Kazimierzu), którzy nawet już danego materyału nie wyczerpali i nie zużyli należycie.

Największéj sumienności i niemałego talentu dowody złożył Plebański w szkicu p. t. *Marya Gonzaga*. Postać królowéj, ręką pośpieszną ale trafnie odtworzona, rysuje się jasno i pięknie na ciasném, ale wyraziście i śmiało podmalowaném tle dziejów współczesnych. Historya ostatnich lat rządów Jana Kazimierza, zawarta w rzeczonym szkicu, jakotéż w dziele p. t. *„De successoribus Casimiri regis designandis“*, jest zarazem najlepszém dotychczas opracowaniem tego okresu. Autor nie ogranicza się na źródłach krajowych (jak np. Seredyński, który zna tylko Rudawskiego, Kochowskiego i Puffendorfa), lecz wprowadza wcale pokaźną wiązkę materyałów, wyjętych z francuskich pamiętników i zbiorów aktów dyplomatycznych, a nawet tu i owdzie z rękopisów naszych i zagranicznych.

Mimo tych zalet, szkice Plebańskiego są w całém tego słowa znaczeniu tylko szkicami, w których nie same jedynie szczegóły, ale i ważne rysy czekają jeszcze wypracowania, a nawet zupełnego nie-

kiedy przetworzenia, aby miały prawo do nazwy wykończonych obrazów.

Tu i owdzie zapełniają te luki specyalne monografie, jak np. Kalickiego o Bogusławie Radziwille, Małeckiego i Świderskiego o Andrzeju Morsztynie; ale są to tylko małe przyczynki, które wymogów naszych obecnych zaspokoić nie mogą wobec coraz nowych i coraz liczniejszych źródeł, już-to ogłoszonych drukiem, już w dostępnych rękopisach złożonych.

Jeżeli dziwną nazwiemy rzeczą, iż nawet postać takiéj miary, jak Jerzy Lubomirski, około któréj — rzec można — dzieje rzeczypospolitéj przez lat kilka kupią się i obracają, nie stała się dotąd przedmiotem *żadnego* opracowania, to z drugiéj strony usprawiedliwić możemy w części ten niedostatek względem, iż do niedawna trwający brak potrzebnych materyałów nie małą był w tym kierunku przeszkodą.

Pod tym względem jesteśmy o wiele szczęśliwsi od naszych poprzedników. Otworzyły się przed nami nowe zbiory źródeł niesłychanéj wagi, odsłoniły tajniki archiwów zagranicznych: ubóstwo przemieniło się w prawdziwe bogactwo.

Dostatek ten materyałów zawdzięczamy przedewszystkiém Stanisławowi Lukasowi.

Młody ten, a tak przedwcześnie zmarły badacz zostawił nam w spuściźnie nieocenione zbiory wypisów z archiwów i bibliotek zagranicznych, nagromadzone w ciągu kilkoletniéj mrówczéj, żelaznéj pracy. Nie spełniłbym obowiązku, nie uczynił zadość uczuciom wdzięczności, gdybym choć na tém miejscu nie odświeżył pamięci tego człowieka, który literaturze polskiéj zasłużył się już kilkoma bardzo cennemi studyami, a w sercach bliskich mu osób niezatarte pozostawił wspomnienia.

Nie mała to strata dla historyografii naszéj, że talent tak wielki, że charakter tak piękny i silny nie mógł się rozwinąć w całéj pełni na usługi nauki, tak ubogiéj w podobnych jemu pracowników. Żył on bowiem pracą, w pracy i tylko dla pracy: los nie pozwolił mu, niestety, zebrać jéj owoców....

Tém większa należy mu się wdzięczność od nas, którym przychodzi z łatwością używać plonów uciążliwego zasiewu. Cześć więc jego pamięci!

Materyały do naszego przedmiotu, a mianowicie do historyi roku 1664 znaleźliśmy w pięciu tomach „Tek Lukasa“: XII, XIII, XXXIII, XXXIX i XL (1).

---

(1) Nie miejsce tu rozpisywać się obszerniéj o wartości materyałów, zawartych w zbiorach Lukasa, zwłaszcza, że jeden z młodszych historyków lwowskich zamierza,

Pierwsze dwa zawierają odpisy z archiwum ministeryum spraw zagr. w Paryżu. Mamy tu całą korespondencyą dyplomatyczną między dworem wersalskim a poselstwem francuskiém w Warszawie, a to noty Ludwika XIV i de Lionne'a do de Lumbres'a i relacye poselskie ostatniego z Polski, a z drugiéj strony także korespondencye między Ludwikiem XIV a Maryą Ludwiką, królową pols., między królową a jéj sekretarzami, agentami we Francyi i t. d.

Tom XXXIII zawiera wypisy z archiwum zamku Chantilly. Są tu rzeczy, głównie do rodziny Kondeuszów się odnoszące. Tom XXXIX podaje kilka listów Ludwika XIV do Maryi Ludwiki. W tomie wreszcie XL znajdujemy odpisy listów tejże królowéj do ks. Kondeusza.

Zbiór ten, nader bogaty (mówimy o téj części, którą zużyliśmy w naszéj pracy), bo złożony z kopii kilkuset listów, not, dokumentów i t. p., był téż dla nas głównem źródłem.

Jeśli zważymy, że polityka dworu polskiego w ostatnich latach rządów Jana Kazimierza postępowała ręka w rękę z Wersalem, że więc w stosunkach francusko-polskich trzeba szukać głównego wątku dziejów naszych owego czasu, to zrozumiemy, że jakiekolwiek jeszcze materyały na jaw wyjdą, rzeczom zawartym w „Tekach Lukasa," zawsze pierwsze wypadnie przyznać miejsce.

Lecz inaczéj rzecz będzie się miała, jeżeli postawimy pytanie w ten sposób: czy i o ile wystarczą one do historyi postaci, która nas głównie na teraz zajmuje, t. j. Lubomirskiego. Bo w takim razie wyznać nam przyjdzie, że materyały francuskie nie mogą w zupełności wystarczyć. Lubomirski nie należał do stronnictwa królowéj (naturalnie mówimy o r. 1664); przeciwnie, był najbardziéj zaciętym jego wrogiem. Działalność jego publiczna wiąże się natomiast najściśléj z polityką austryacką i brandeburską. Nie w Paryżu też, lecz w Wiedniu i Berlinie leży zapewne tajemnica r. 1664 (odnośnie do naszego bohatera).

---

o ile nam wiadomo, w osobném studyum bliższą o nich podać wiadomość. Aby jednakowoż dać miarę nadzwyczajnéj pracowitości zmarłego, dość powiedzieć, że wypisy te, które nabyła na własność biblioteka Ossolińskich, stanowią w niéj dział osobny, złożony z 44 tomów, nazwanych „Tekami Lukasa." Przeważna ich część zawiera kopie z rękopisów paryskiego archiwum ministeryum spraw zagr. i odnosi się do czasów Zygmunta III-go, Władysława IV, a głównie Jana Kazimierza. Prócz tego znajdujemy tu znaczną ilość wypisów z innych zbiorów francuskich, jak z archiwum ks. Orleańskich w Chantilly lub z biblioteki narodowéj w Paryżu. Kopie, notatki i t. p. z archiwum ministeryum spraw zagr. berlińskiego (do czasów Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego) zajmują drugą, mniejszą część.

I na tym punkcie praca nasza utyka: ani materyałów z Wiednia, ani téż z Berlina nie mieliśmy pod ręką. Szacowny zbiór dokumentów do czasów Fryderyka Wilh. brandeburskiego, ogłaszany w nieskończoném dotychczas wydawnictwie: „*Urkunden und Actenstücke zur Geschichte Friedrich Wilhelm's von Brandenburg*", wypełniłby w znacznéj części tę lukę; ale, niestety, źródła do spraw polskich urywają się w tomie ostatnim na r. 1663.

Trzeba więc było na razie ograniczyć się na Tekach Lukasowych. Ta jednostronność materyałów przyczyniła pracy naszéj jednę więcéj trudność. Bo posługując się całą ową cenną korespondencyą francuską, należało pamiętać, iż cokolwiek w niéj znajdziemy, wszystko to pisane jest przez nieprzyjaciół marszałka, stąd bliska możliwość mimowolnych zboczeń od prawdy historycznéj, stąd niebezpieczeństwo popełnienia niesprawiedliwości względem głównéj postaci naszego opowiadania. Aby przeto, o ile można, uchronić się od podobnych błędów, musieliśmy się powodować wobec listów, relacyi i t. p. takiego de Lumbres'a i jego politycznych kolegów, a zatém najzaciętszych antagonistów Lubomirskiego, wielką przezornością; strzedz się domysły i niektóre twierdzenia stronników francuskich podawać za pewne, unikać tonu apodyktycznego, stanowczego, gdziekolwiek się nasuwała wątpliwość, a o jéj rozstrzygnięcie z braku innych źródeł nie podobna było się pokusić: słowem trzymać się wobec przeciwników marszałka tych samych zasad, które były ich programem: polityki nieufności i niedowierzania.

Niedostatki, pochodzące z rzeczonéj jednostronności materyałów zagranicznych, wynagrodziły nam w znacznéj części inne zbiory biblioteki Ossolińskich. Obok listów Lubomirskiego i do Lubomirskiego, nie mniéj mów, uniwersałów i t. p. znaleźliśmy tu dwa cenne dyaryusze sejmu z r. 1664.

Wielce téż przyczyniła się do uzupełnienia naszéj pracy piękna kolekcya listów oryginalnych Jana Kazimierza do Maryi Ludwiki, z wyprawy moskiewskiéj (w latach 1663—4) pisanych, z których korzystaliśmy dzięki życzliwości ich właściciela, d-ra Ks. Liskego. Niech mi będzie wolno wyrazić za nie na tém miejscu serdeczną moją podziękę.

Poszukiwania w archiwum aktów grodzkich i ziemskich lwowskiém nie wiele przyniosły w rezultacie; cośmy w niém znaleźli, zostało naturalnie uwzględnione.

Wobec takiego dostatku materyału rękopiśmiennego — inne źródła, mianowicie wszystkie prawie drukiem ogłoszone, maleją niezmiernie i na ostatni dopiero plan się usuwają. Opowiadania Kochowskiego i kilku pamiętnikarzy, współczesnych naszéj sprawie,

dla ich pobieżności musieliśmy pozostawić na uboczu; najwięcéj jeszcze wiadomości zawdzięczamy pierwszemu.

Ale i między tymi drukowanymi materyałami wypada nam poczynić pewne wyjątki. Nieocenioną dla nas rzeczą było mianowicie sprawozdanie urzędowe z procesu Lubomirskiego na sądzie sejmowym w r. 1664, ogłoszone bezpośrednio po jego ukończeniu pod redakcyą samego kanclerza i za wolą króla. Znajdujemy tu zebrane nie tylko wszystkie dokumenty, odnoszące się do téj sprawy, lecz nawet wszystkie mowy, jako to oskarżyciela, obrońców, pojedyńcze uchwały i t. d. i t. d.

Wielu ciekawych szczegółów dostarczyły nam sumienne relacye Gazety francuskiéj, jakotéż dwa zbiory źródeł: Fr. Kluczyckiego „Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego,“ jakotéż „Zbiór pamiętników hr. Broel-Platera.“

Jedno źródło pominęliśmy na razie, mianowicie: „Manifest jawnéj niewinności“ Lubomirskiego. Datą wydania należy on do roku 1665. Jest-to protestacya przeciw niesłusznemu rzekomo wyrokowi. Ciekawe to pismo może być użyte jako źródło tylko przy rozbiorze kwestyi: winien czy nie winien? A na to pytanie odpowiadać dziś jeszcze nie czas i nie sposób. Będzie to możliwe dopiero po szczegółowém i gruntownérn zbadaniu dziejów lat 1661—3. Na razie (mówimy: na razie, bo jest zamiarem naszym wypracować całkowitą biografię Lubomirskiego) rzecz tę zostawiamy w zawieszeniu.

A teraz kilka słów o pracy saméj. Stanęliśmy wobec postaci, jednéj z najwybitniejszych w czasach Jana Kazimierza. Nie wyjdzie to na chlubę Lubomirskiego, ani nie podniesie w niczém jego znaczenia i sławy, jeśli powiemy, że był to człowiek niezwykłéj miary: ogarnął on i przepełnił sobą całe nieledwie dzieje polskie w latach od r. 1661—6. Chcąc więc odtworzyć tę postać potężną, nie można się było ograniczyć na lekkiém tylko podmalowaniu tła historycznego; trzeba było wejść w szczegóły, wysunąć naprzód otoczenie marszałka, jeżeli rysunek główny nie miał stracić na barwie i całości.

Stąd rozmiary naszego studyum: z historyka sprawy Lubomirskiego wypadło nam przedzierzgnąć się niekiedy w historyka Polski w roku 1664.

Zaczniemy więc od rzutu oka na sprawę obioru następcy tronu po Janie Kazimierzu i udział w niéj Lubomirskiego.

Trzy siedmiolecia składają się na rządy Jana Kazimierza: trzy siedmiolecia i trzy okresy nieszczęść dla rzeczypospolitéj i dla króla. Bunt Kozaczyzny rozpoczyna te smutne czasy, środek wypełnia

wojna z północnym najeźdzcą, a szereg konfederacyi wojskowych, sejmów zrywanych i rokosz otwarty — oto epilog.

Kilka lat ciężkich doświadczeń i prób bolesnych, częstych upokorzeń i codziennych prawie zawodów wystarczyło, aby złamać serce nawet tak silne i mężne, jakie nosił w piersiach ostatni z Wazów, waleczny żołnierz, dzielny wódz i strategik, ale nie tęgi polityk i dyplomata nie biegły.

Rok 1655 wniósł w umysł króla tę niechęć, to złamanie i zwątpienie, które się objawiało przez dalszy ciąg rządów w zamiarze złożenia korony ze znużonéj skroni, abdykacyi dobrowolnéj na rzecz— szczęśliwszego.....

Myśl ta zrodziła wśród sfer dworskich inną, po tamtéj nasuwającą się w naturalnym rzeczy porządku: projekt obioru następcy tronu za życia Jana Kazimierza. I przyznać się godzi, że sprawa sama, oceniana ze stanowiska dzisiejszych naszych na owe czasy poglądów, nosiła na sobie piętno polityki zdrowéj i zbawiennéj. Zasadnicza korzyść leżała w tém, że przeprowadzenie projektu w sposób prawidłowy mogło uchronić Polskę od przyszłego bezkrólewia; a to znaczyło tyle, co wybuch anarchicznych wstrząśnień stłumić w zarodku, co uchronić nawę rzeczypospolitéj chwiejącą się i uszkodzoną, od nadciągającéj burzy, a może i ruiny.

Kwestya elekcyi następcy, w czasie wojny szwedzkiéj poruszana mimochodem i używana zrazu jako środek polityczny, celem przejednania nieprzyjaciół lub pozyskania nowych sprzymierzeńców, wypełnia ostatnie siedmiolecie rządów króla prawie całkowicie, jako sprawa główna, około któréj wszystkie inne kupią się i obracają. Wówczas na pierwszym punkcie porządku dziennego stanęło pytanie: kto zasiędzie miejsce, mające się opróżnić po ustępującym dobrowolnie lub wskutek śmierci królu? A z tém—oczywiście, sprawa ta z wewnętrznéj, domowéj, przechodzi na widownię polityki europejskiéj.

Wiadomo, jaka jest istota dziejów europejskich w drugiéj połowie XVII wieku: wypełnia je jeden wielki zapas nie o równowagę, lecz o przewagę zupełną, stanowczą nad Europą, rozgrywający się między dwoma mocarstwami, Francyą i Austryą.

Genialny monarcha Ludwik XIV, prawdziwy „żelazny książę“ swego wieku, „Roi-Soleil,“ jak go nazywali współcześni, zamierza się na podupadły, zniszczały kolos cesarstwa, aby na jego gruzach nowy wznieść gmach uniwersalnéj monarchii i władać w nim z koroną rzymską na głowie. Cesarza wspiera urok tradycyi dziewięciowiekowéj; król francuski ufa i wierzy tylko w przyciągającą władzę złota, pieniądzem walczy i zdobywa jednostki, stronnictwa, narody....

Różną bronią, ale z równą zaciętością i wytrwałością toczy się ten bój rywalów przez pól wieku—w pokoju i na wojnie: otwarty na polach bitew i tajny w kołach dyplomatów, na wielkiéj widowni Europy i wewnątrz każdego państwa i państewka, gdziekolwiek różnica interesów lub przekonań stworzy rozdwojenia, dające się wyzyskać. Jeśli zaś na kim, to szczególniéj na Polsce musiało wielce zależéć obu tym przeciwnikom.

Bo—bądź co bądź, mimo upadku swego znaczenia, rzeczpospolita była jeszcze wówczas uważana za potęgę. a ustrój jéj rządów, elekcyjność tronu większą, niż gdzie indziéj podawała możność zdobycia potężnego wpływu. Nie uszły naturalnie baczności Francyi ani Austryi plany dworu polskiego co do obioru następcy po Janie Kazimierzu: owszem, od początku one to same chwyciły w swoje ręce kierownictwo całéj sprawy, a Ludwik XIV nie omieszkał uprzedzić innych, aby w niéj przeważną odegrać rolę. I tu okoliczność jedna niezwykłego znaczenia zdawała się składać na korzyść króla francuskiego: polityka jego znajdowała znamienitą dla siebie pomoc i podporę w małżonce Jana Kazimierza.

Marya Ludwika była rodowitą Francuską. Wspomnieniami młodości i świeżymi tradycyami rodziny (pierwotnie włoskiego—co prawda—pochodzenia) przywiązana do domu burbońskiego, nie dziw, że światła ta i rozumna pani ciążyła całe życie sympatyami osobistemi ku Wersalowi, który nie dla niéj tylko, ale i dla świata całego był przedmiotem podziwu, uwielbienia, a naturalnie i zazdrości. Ta to okoliczność wielką miała dla Ludwika XIV, doniosłość. Bo Marya Gonzaga—wiedziano to powszechnie—nie była malowaną królową. Uderza w téj kobiecie żywy, przedsiębierczy umysł, niezwykła energia i giętkość ducha; wszystkie jéj przedsięwzięcia i czynności cechuje pewna, niezwykła w niewieście, męskość i krewkość. Ruchliwa, niespokojna natura parła ją nieustannie do działania: skłonność ta przeradza się późniéj w prawdziwą namiętność i żądzę kierowania całą polityką państwa, skupiania wszystkich nici działań dyplomatycznych we własnych ręku.

Nie myślimy przemilczać ujemnych stron w charakterze królowéj i podobno było ich nawet więcéj niż dodatnich. Nie umie ona, czy nie chce przebierać w środkach, gdy o osiągnięcie czegoś ważnego idzie; jakkolwiek pilnie przestrzega przepisów kościoła i za wzór pobożności uchodzi, względy sumienia bynajmniéj jéj nie krępują, gdy wykroczenie przeciw niemu może przynieść niezwykłe korzyści. Posługując się innemi osobami, na podsycaniu ich namiętności, na podtrzymywaniu prywatnych niezgód i zawiści niejednokrotnie gruntuje swoje plany i intrygi. Okrywa zwykle swe czynności ta-

jemnicą: strzegąc jednak, by jéj inni nie wyjawili, sama dochować nie potrafi sekretu i lekkomyślnie się zdradza zbyteczną gadatliwością i przez skłonność szczególną do zwierzeń (1).

Otóż ta to kobieta upatrzyła sobie kandydata na króla-następcę w swéj rodzinnéj ziemi. Książe Henryk Juliusz d'Enghien, syn Ludwika Kondeusza Wielkiego, miał się odtąd cieszyć jéj względami i poparciem. Tkwiłaż w tym wyborze głębsza jaka myśl polityczna, czy jedynie był to wynik naturalnych sympatyi i wpływu dworu wersalskiego?

Rozstrzygnąć trudno. Jakkolwiek bądź oceniamy królowę, tego niepodobna zaprzeczyć, że nową swoją ojczyznę, Polskę, nauczyła się ona kochać szczerze, patrząc na jéj dwudziestoletnie nieszczęścia i pracując nad ich usunięciem; a bystry, przenikliwy zmysł polityczny należał też niezawodnie do przymiotów Maryi Ludwiki. Z tém wszystkiém, nie umiemy wskazać, czy kiedy wypowiedziała myśl tę jasno i wyraźnie; to jedno jest pewném, że jeśli działała w interesach swego stronnictwa czy też Francyi, to najczęściéj z tém przekonaniem, że czyni to dla dobra rzeczypospolitéj (2). Nie ulega także wątpliwości, że plan wyniesienia na tron młodego Kondeusza był oparty na silniejszych podstawach, aniżeli sympatye dla Burbonów.

Marya Ludwika nie zaznała nigdy słodyczy uczuć macierzyńskich. Szczęśliwsza w tym względzie jéj siostra Anna Goznaga, żo-

---

(1) Trafną i szczegółową charakterystykę Maryi Lud. przeprowadził Plebański w studyum: „Marya Gonzaga." Odsyłając do niego, nie możemy się jednakowoż powstrzymać, aby do dowodów, które wymieniony autor przytoczył, nie dodać dwóch nowych szczegółów. Jeden z nich, w liście Jana Kaz. do żony (Oryg. w tece dra Liskego Dat. dal campo sotto Corop, 17 di Gennaio 1664), uwydatnia tę znaną gadatliwość i niedyskrecyą królowéj przy wielkiéj mimo to troskliwości o zachowanie tajemnicy wszelkich własnych sekretów: „Non so et non mene posso imaginare,"—pisze król,—„di dove vi sia venuta questa suspizione, che le vostre lettere siano viste d'altri. Siate certa che tutte quante che io ricevo da voi sono sempre brugiate, e che non è nessuna che io non la lega prima d'abrugiarla: *ma se quello che scrivete a me scrivete poi ad altri ancora, come è già occorso qualche volta è che vien essere saputo d'altri, non è la colpa mia!*"—Millet, attaché poselstwa francuskiego w Polsce (od stycznia 1665) wytyka też samą gadatliwość, a przytém zmienność myśli i zdania w królowéj nieco ironicznie, ale dosadnie, w liście do de Lionne'a (Teki Luk. t. XIII k. 14: Varsov. 9 Janv. 1665): „Sa Majesté a certainement de grandes affaires sur les bras *et s'occupe à parler depuis le matin jusqu'au soir* (!) *mais je lui vois beaucoup d'incertitude dans ses resolutions.* Il est vrai que les matières sont difficiles et delicates".....

(1) Oto, jak się wyraża Marya Lud. o sprawie elekcyi następcy tronu w liście do Kondeusza (T. Luk. XL. Nr. 15, k. 14: le 13 Mars [1664]): „*De l'affaire présente dépend tout le bonheur ou le malheur de la Pologne.* Il faut donc attendre ce que Dieu a ordonné"..... Widać tu, że królowa powodzenie swego dzieła uważała za konieczny warunek powodzenia i dobrobytu państwa.

na palatyna nadreńskiego Edwarda, zostawiła trzy córki: z tych średniéj, urodzonéj r. 1648, było na imię Anna Henryka Julia (1). Na tę to siostrzenicę spłynęło całe nie zaspokojone uczucie miłości Maryi Ludwiki. Ulubienicę swą otaczała krolowa prawdziwie rodzicielskiém przywiązaniem; kiedy téż dziecię dorastać poczęło, zrodziło się w jéj duszy pragnienie wyniesienia młodéj księżniczki na tron polski. Wybrała jéj przeto, za zgodą Ludwika XIV, na męża księcia d'Enghien'a, aby go potém w Polsce przeprzeć na króla elekta. Miłość ta, jako pobudka wieloletnich zabiegów królowéj, jest może najpiękniejszą zaletą téj kobiety, któréj życiu i działaniu wiele jeszcze przyjdzie nam nieraz zarzucić. Dlatego u wstępu z tém większym naciskiem podnosimy ten pogodny rys jéj charakteru (2).

Lecz kiedy się bliżéj przyjrzymy tym energicznym, konsekwentnym staraniom królowéj, téj wytrwałości, która wbrew zmiennéj naturze—mimo niezliczonych trudności—cechuje jéj działania w sprawie elekcyi przez cały lat szereg, to przyjdzie przypuścić, że myśl owa, w szczęśliwéj dla Francyi zrodzona chwili, była dla téj kobiety czemś więcéj, niż wypływem uczucia miłości: była cząstką najpiękniejszych jéj marzeń i ostatecznêm pragnieniem i celem jéj życia... I wierzymy, że tak było w istocie: bo nie jest to paradoks, lecz wniosek, wysnuty z własnych słów i zwierzeń królowéj.

---

(1) Urk. und Act. zur Gesch. Friedr. Wilh. v. Brandenb. IX, str. 180. Uw.

(2) Wystarczy pobieżnie przejrzéć listy Maryi Lud. do ks. Kondeusza (w XL tomie, Tek Luk. zawarte), aby się przekonać, że stosunek królowéj do siostrzenicy był istotnie taki, jak matki do córki. Przebija w nich wszędzie tyle przywiązania, tyle pamięci, tyle troskliwości, posuniętéj do drobnostek, około wszystkiego, co się odnosi do ks. Anny, że przeciw miłości téj nie można znaleść ani cienia zarzutu. Pełno tu w każdym prawie liście przestróg i napomnień, pełno rad i wskazówek, iście macierzyńskich. Przytoczymy na dowód kilka miejsc bez wyboru.

„Je suis ravie de ce que vous me mandez de la conduite de notre fille," pisze 8 lutego 1664 (T. L. XL k. 11). „Je l'aimerai cent mille fois davantage"..... Albo znowu „J'ai recu une lettre de ma fille," — czytamy gdzie indziéj, (20 marca 1664, ibid. k. 17),— „qui veut que je sache, qu'elle aime passionnement son mari et me parait qu'elle a plaisir de l'écrire. Dieu leur donne sa sainte bénédiction et me fasse la grâce de les pouvoir embrasser un jour. Je vous supplie de prendre soin de leur santé."

Wspomnienie o Annie i odczytywanie listów z Chantilly od niéj lub o niéj—jest dla królowéj najmilszą rozrywką i ucieczką w chwilach zgryzoty lub cierpienia. Oto co pisze: „Enfin dans le temps, que je lis les lettres que vous prenez la peine de m'écrire et que je puis parler de vous, j'oublie la melancholie, que la continuation de mon mal d'oeil me donne" (11 Sept. 1664. k. 20). Albo: „Combien de fois me verriez-vous au milieu de vos petites conversations, si ce fâcheux obstacle de l'impossibilité pouvait être surmonté! Il faut que je me contente de m'imaginer tout que s'y dit et que tout cela se passe dans mon coeur, n'ayant personne ici capable de me répondre" (13 Janv., 1664 ibid. k, 10) i t. d.

Wśród niespokojnego, burzliwego żywota, na jaki los skazał królowę w nowéj ojczyźnie, wśród nawału pracy i natłoku zajęć, które się piętrzyły i wikłały, tworząc ciągły chaos i nowe coraz gromadząc trudności, nie dziw, że w Maryi Ludwice budziły się nieraz pragnienia i myśli wypoczynku, zdala od gorzkich trosk codziennych. „Gdyby źli ludzie nie niszczyli moich zamiarów,“—zwierza się królowa Kondeuszowi (1)—„to, cieszyłam się nadzieją, że wyniosłszy syna na tron (polski) wy i my również wyniesiemy go potém i na moskiewski..... Miałabym wtedy spokój i zbyłabym się tych kłopotów, które mi ciężą.... Tysiące razy myśli te od dwóch dni przychodzą mi do głowy.....“

A jeśli się to kiedyś spełni—marzyła (2) — „wówczas będę spoglądać na moje dzieci, którym naprzód oddam całe mienie, aby żadnéj więcéj nie miéć troski — i jestem przekonana, że taka wola Boża.... Trzeba więc miéć cierpliwość.....“

Mając głowę i serce zajęte tą jedyną myślą, rozwija królowa w ostatnich latach życia rozległą i gorliwą działalność ku jéj najwcześniejszemu urzeczywistnieniu. Wszystkie jéj zabiegi i usiłowania kupią się w tym kierunku (3). Projekt obioru Enghien'a staje się jakby *„idée fixe“* jéj żywota, pochłania ją całą i zaślepia do tego stopnia, że dla ulubionéj myśli uczciwa w gruncie kobieta nie waha się poświęcić wszystkich innych względów, nawet względów sumienia. W ścisłym stosunku z Wersalem, poddana zupełnie wpływowi Ludwika XIV i jego posła de Lumbres'a, stamtąd przyjmuje rozkazy, stamtąd czerpie rady, wskazówki i środki. Intrygą i pieniądzem przygotowuje i zjednywa umysły dla swego przedsięwzięcia. *„L'argent doit être éstimé comme un remède necessaire,“* powiada w liście do Kondeusza (4) i trzyma się stale téj zasady, przywiezionéj z Paryża.

A trzeba było rzeczywiście rozwinięcia wszystkich sił, rozsnucia wszystkich sideł zabiegów i intryg, aby dotrzéć do celu: bo oto w pół drogi do niego staje zawadą staraniom stronnictwa dworskiego przeciwnik, jeden wprawdzie, lecz równéj siły, bo oparty na wrogich królestwu i Francyi żywiołach wewnątrz i zewnątrz rzeczypospoli-

(1) T. Luk. XL, k. 14—15: 13 Mars (1664).

(2) T. Luk. XII, k. 18: La reine de Pol. à M. de Noyers, Varsov. 25 Janv. 1664.

(3) Dość przytoczyć uwagę Millet'a w liście do Lionne'a wyżéj już cytowanym: „...... je la (la reine) crois si fort attachée d'amitié à la maison de M. le prince qui désire l'élection si ardemment, *qu'il faut qu'elle soit tout-à-fait desesperée et sans ressource, si elle prend un autre parti*“..... „.....M. de Lumbres dit, qu'elle est fort entière en ce qu'elle veut; il n'est question que de savoir à quoi elle se determine.“

(4) T. Luk. XL, Nr. 15, k. 15; 13 Mars (1664).

téj. Był nim Jerzy Lubomirski, marszałek wielki i hetman polny koronny.

Nie miejsce tu rozbierać powody, dlaczego ten wielkiéj zasługi i wpływu senator, gorliwy zrazu poplecznik intencyi królowéj, nagle zmienia swoje sympatye i stanowczo występuje do walki przeciw onemu dziełu, do którego dość długo uczynną przykładał rękę. Że obrażona prywata ważną w tym zwrocie odegrała rolę, to zdaje się nie ulegać wątpieniu; a i to pewna, że marszałek chętny dawał posłuch podszeptom dworów zagranicznych, cesarskiego i brandeburskiego, że w ciągu swojéj zgubnéj działalności w bezustannych z niemi zostawał stosunkach. Lecz, czy działał jedynie w interesie wrogich Francyi mocarstw europejskich, czy téż—jak sądziło wielu—dał się porwać ambitnym nadziejom zdobycia tronu dla siebie, na razie trudno rozstrzygnąć... Niejednokrotnie przyjdzie nam o to pytanie zaczepić: lecz nie czas jeszcze dzisiaj i nie sposób ostatnie o tém wypowiedziéć słowo. Jestto zagadka, któréj rozwiązanie dać mogą chyba tajniki archiwów wiedeńskich i berlińskich, a i te nie całkiem pewnie, bo nieraz i o tém wątpić przychodzi, czy wobec swych sprzymierzeńców działał ten dziwny człowiek całkiem otwarcie i szczerze. Do głębi tego umysłu, do samego dna jego niespokojnéj duszy sięgnąć nie łatwo: skryty, fałszywy, a przytém oględny w mowie i piśmie, nie spowiadał się on tak chętnie, jak królowa, ze swoich pragnień i zamiarów przed tymi nawet, którzy za przyjaciół jego uchodzili, a w obec nieprzyjaciół i tych, którym nie ufał, okrywał się zawsze maską nieprzeniknioną; i ze współczesnych nawet mało kto podobno poznał do gruntu tego być może Waldsteina lub Kromwella polskiego... Tém trudniejsze zadanie ma w obec niego historya...

Jakkolwiekbądź się rzecz miała, faktem jest, że z chwilą odstępstwa Lubomirskiego sprawa elekcyi zaczyna chwiać się, tracić podstawę pod sobą i szybko ku upadkowi się chyli.

Sejm r. 1661, na którym ją przeprowadzić zamierzano, okazuje się projektowi niechętnym: król go cofnąć musi na razie, nie chcąc kazić prawomocności uchwał sejmowych. Równocześnie powstaje związek wojskowy i daje początek wewnętrznemu zawichrzeniu rzeczypospolitéj. Wśród ogólnego wzburzenia umysłów sprawa elekcyi upada ostatecznie na sejmie r. 1662: zarzut zbrodni stanu zaciąży nad tym, kto się poważy podnieść ją i popierać w przyszłości. Nieład i zamieszanie dochodzi szczytu. Komisye dla zaspokojenia wojska odbywają posiedzenia, jak na wulkanach. Z wielkim trudem zdobyta ugoda w Wolborzu nie zyskuje zatwierdzenia dworu. Rok 1663 ma się stać widownią wojny domowéj: wrogie partye stają zbrojno naprzeciw sobie i tylko niezrozumiałéj niestanowczości przewodców

rokoszu przypisać należy, że wybuch zażegnano. Ledwie w lipcu r. 1663 zdołano rozwiązać fatalną konfederacyę. Oto, co przyniosła owa sprawa elekcyi, podniesiona w dobréj myśli, lecz w nieszczęśliwych okolicznościach.

Królowa, dwór, Francuzi uważali za sprawcę i patrona tych zamieszek Lubomirskiego. Stąd to rozdwojenie, ta zawiść i rozjątrzenie, które odtąd dzieli Polskę na dwa przeciwne, wrogie sobie stronnictwa. Król wyrusza na wyprawę do Moskwy: lecz przed opuszczeniem Korony rozwięzuje wszystkie chorągwie marszałka, chcąc mu zapewne odjąć możność spełnienia rewolucyjnych zachcianek. Lubomirski, dotknięty do żywego, pozostaje w domu: i odtąd walka otwarta, sparaliżowana chwilowo energiczném zarządzeniem króla, przenosi się znowu na grunt inny: na pole intryg i dyplomatycznych turniejów. Tworzą się jakby dwa obozy, które przy każdéj sposobności, nieprzebierając w środkach, usiłują sobie wzajem dokuczać, szkodzić i krzyżować wszelkie przedsięwzięcia.

I.

Plany królowéj. Układy z Lubomirskim i ich stanowcze zerwanie.

Sejm z r. 1662 był dla partyi dworskiéj okresem najcięższych klęsk i porażek. Uchwała, wymuszona na królu, wydania „reassumpcyi prawa o wolnéj elekcyi, nie mniéj do skasowania wszystkich dokumentów sprawy elekcyi za życia jego się tyczących“ spadła gromem na Maryę Ludwikę. Gmach, z takim trudem i kosztem wzniesiony, runął nagle: dzieło któremu brakło tylko epilogu, zniszczono i wystawiono na indeks, pod grozą śmierci wzbraniając poczynać je i przerabiać na nowo.

Cios ten — co prawda — nie złamał doświadczonéj królowéj (zwłaszcza, że ślub Enghien'a z księżniczką Anną Henryką, dokonany wreszcie w Paryżu 11 grudnia r. 1663 (1), utwierdził ją i wzmocnił na nowo w przedsięwzięciu, które i tak jako jedyne, najmilsze zadanie życia pojęła), ale zawód doznany przyniósł gorzkie, smutne doświadczenia na przyszłość; poznała ona, że dążyć do celu drogą pokojowéj pracy, łagodnéj czy surowéj perswazyi, powolnych starań i zabiegów—był to trud próżny i niby płonna praca Syzyfa: ciężar, z ostatnim sił wytężeniem na szczyt góry prawie wytoczony, zapadał znowu w przepaść, zepchnięty lada nienawistną ręką obrotnego malkontenta. Postępowanie przeciwników naprowadza ją teraz na

---

(1) Urk. und Act. zur Gesch. Friedr. Wilh. v. Brand. IX, str. 180. Uw.

inną drogę: nie można w ciszy i pokoju, a więc, jak tamci w swoim zakresie, popchnąć i przywieść sprawę elekcyi do celu przemocą, użyciem siły. I oto przykład, na jakie manowce sprowadzić może człowieka, choćby przystępującego do dzieła z dobrą wiarą, namiętność gniewu, długo tłumionéj zawiści i rozjątrzenia. Królowa w boju z anarchią, chwyta się środka, potępianego przez siebie, przeciw któremu chce walczyć: anarchii i gwałtu. Marya Ludwika tak rozumowała: wytoczyć sprawy elekcyi na porządek dzienny w sposób legalny nie podobna, bo byłoby to rażącém wykroczeniem przeciw konstytucyom z r. 1662, które zabroniły tego surowo: od zakazu sejmowego nikt inny wyłamać się nie zdoła, jak tylko armia w pogotowiu wojennêm. „Ona to pod pretekstem, że jéj nie spłacono żołdu albo téż pod jakimbądź innym pozorem zbliżyć się może do miejsca obrad sejmowych, przedłożyć na nich wniosek obioru następcy i przeprzeć takowy pod grozą użycia broni“..... (Takie były własne poglądy królowéj, wedle podania de Lumbres'a) (1).

I pod wpływem takiego rozumowania jęła się królowa myśli oparcia się na armii i przeprowadzenia przy jéj pomocy swoich zamysłów (2). Zjednać dla siebie wojsko, aby ramieniem jego zniweczyć opór i urzeczywistnić upragnioną ideę—oto w ogólnych zarysach program, którym się kieruje stale przez cały rok 1664, partya dworska z królową na czele (3). Ryzykownemu temu przedsięwzięciu zamierzono nawet nadać ściśle określone formy: pozyskana ar-

---

(1) T. Luk. XII, k. 117: De Lumbres à Louis XIV. Varsov. 29 Août 1664.—Podobna myśl wyrażona już poprzednio również w liście de Lumbres'a do Ludwika (ibid. k. 73. Varsov. 22 Mai 1664): „Il sera aussi malaisé avant ce-temps-là de pouvoir prendre de justes mesures, si ce n'est qu'on se puisse assurer des armées de Lituanie, *parce qu'en l'un ou l'autre de ces deux cas on pourrait faire proposer la matière de l'élection dans la diète-même par les armées ou par le grand-duché.*“ Por. także: ibid. k. 117: De Lumbres à Louis XIV: Varsov. 29 Août 1664.

(2) Że rzeczywiście plan ten powstał nie w połowie r. 1664, jakby się to wydawać mogło z dat listów, podanych w poprzednich uwagach, lecz o wiele wcześniéj, z początkiem jeszcze tegoż roku, dowodzi ustęp z listu królowéj do de Noyers'a (T. Luk. XII, k. 14. Varsov. 18 Janv. 1664): „(la confédération).... a obligé le roi *à se mettre à la tête des armées* pour en empêcher une autre et *s'en rendre maître pour faciliter l'élection du successeur.*“

(3) „Przez cały r. 1664“ mówimy; bo jeśli z poprzednich cytat widzimy, że w początku i w ciągu roku (maju—wrześniu itd.) myśl ta stale się utrzymywała, to w jednym z listów grudniowych t. r. mamy dowód, że i w końcu r. 1664 nie przestawała ona zaprzątać uwagi królowéj: (T. Luk. XII k. 195. De Lumbres à M. de Lionne. Varsov. 19 Dec. 1664): „.....notre affaire ..... ne peut réussir, comme elle (la reine) croit, *sans y employer la force.*“

mia zawiąże się w konfederacyę, król obejmie jéj kierownictwo przez wiernego jakiego marszałka i drogą niejako terroryzmu zapanuje nad sytuacyą (1). Jednóm słowem plan ów zakrawał na formalne „*coup d'état*“ dziwnego rodzaju, bo pod auspicyami i w interesie korony, która w innych razach zwykle sama pada ofiarą takowych zamachów.

Lecz zachodziło pytanie, jak przyciągnąć na swoją stronę wojsko, ten żywioł burzliwy i zmienny, a tyle wrogi, jak przeszłość okazała, dworowi i jego stronnictwu?—W tym względzie miała królowa swoje wyrachowanie, oparte na gruntownéj znajomości natury żołnierza polskiego i umiejętném ujęciu i wyzyskaniu bieżących wypadków, ktorych widownią były wschodnie granice państwa.

Jan Kazimierz wyruszył w sierpniu r. 1663 na czele uspokojonéj armii przeciw Moskwie. Była to wyprawa, obliczona na wielkie rozmiary: rozpoczęto ją z wielkim hałasem i pompą. Liczni senatorowie i dygnitarze, nie tylko świeccy lecz nawet duchowni podążyli ku Dnieprowi w orszaku królewskim...

Na tém to dziele wojenném gruntował się właśnie plan królowéj. Niech król wytęży wszystkie siły, zwycięstwami utoruje sobie drogę do stolicy sąsiada, niech go upokorzy w jego własnéj rezydencyi, i podyktuje mu tam warunki pokoju! (2). Świetność i rozgłos zwycięskich czynów odświeży blask jego imienia, odnowi jego zachwianą wobec narodu powagę, podniesie wodza wysoko w oczach rycerstwa. Armia, upojona powodzeniem pod szczęśliwém hetmaństwem króla, pozwoli mu chętnie sobą powodować, stanie się w ręku jego powolném narzędziem. Wtedy na czele wojsk oddanych sobie powróci zwycięsca do Polski i przeprowadzi z łatwością zamy-

---

(1) „J'ai conclu à une confédération“ wyraża się Marya Ludwika krótko w liście do Kondeusza (T. Luk. XL, str. 10: le 14 Fevr. [1664]). Podobnież czytamy w późniejszym liście królowéj do de Noyers'a (T. Luk. XII, k. 55: Varsov. 3 Avr. 1664): ....„Je crois qu'il nous faudra remettre sur pied *la confédération pour mieux réussir à l'élection.*“— Szerzéj zaś plan ten znajdujemy rozwinięty w liście de Lumbres'a do de Lionne'a (T. Luk. XII. k. 34: 29 Fevr. 1664): „Elle (la reine) songe même a prendre de là sujet *de former sous main une confédération*, *qui* sans qu'il en paraisse rien, sois dans l'obéissance du roi et *sous un maréchal*, *qui soit dans nos intérets* pour s'en servir à faire réussir notre dessein, ce qu'elle juge bien ne pouvoir arriver dans la conjoncture, ou les choses se trouvent aujourd'hui, sans y employer quelque peu de force.“

(2) T. Luk. XII k. 18: La reine à M. de Noyers, Varsov. 25 Janv. 1664: „Je lui (au roi) conseille donc de ne pas revenir, mais *plûtot de s'avancer dans la Moscovie*, *parce que c'est un moyen pour favoriser notre élection.*“—Por. ibid k. 21, Fantoni à de Noyers. Varsov. 25 Janv. 1664: „Vede necessaria assolutamente la regina la pace con Moscoviti, e per questo non a lasciato di far ogni sforzo per persuadere al rè che entri in Moscovia per necessitar l'inimico à venire à trattati.“ I wiele innych miejsc t. p.

sły, do których zaśniedziała korona nie wszystkich zdołała przywabić (1).

Tą myślą opanowana, wpływa królowa w listach swoich i przez posłańców nieustannie na męża, troskliwa i trwożna, by nie stracił z oczu tych korzyści, jakie może przynieść dobry sukces wyprawy. To przypomina, że już sama ambicya i dbałość o sławę imienia Wazów winna być dla niego bodźcem stanowczych kroków, to znowu przekłada, że nie podobna będzie zawrzéć korzystnego a upragnionego przez szlachtę pokoju z sąsiadem, jeśli się go nie upokorzy, powołuje się na historyków wojen, dowodząc, że wyprawy ostatnich dwóch królów na Moskwę nie odnosiły dlatego pożądanych skutków, że zamiast iść na stolicę, wodzowie zabawiali się oblęganiem twierdz pogranicznych (2). Zdobycie stolicy jest jedynym warunkiem korzystnego pokoju, a korzystny pokój po zwycięstwie armii jedynym warunkiem powodzenia projektów królewskich.

Do końca roku 1663 wyprawa postępowała dosyć po myśli królowéj: armia posuwała się pośpiesznie naprzód, przeszła na Zadnieprze, a król w listach objawiał gorącą chęć i intencyę pochodu na stolicę. O żadnych klęskach i niepowodzeniach nie było wiadomości. Królowa była dobréj otuchy i wielkimi nadziejami witała nowy rok: 1664.

Nie wszyscy w Koronie dzielili jednak te pogodne uczucia. Bo podczas kiedy w jéj otoczeniu panowała radość, kiedy w Warszawie w sferach dworskich gromadzono materyały do budowy tego dzieła, któremu grunt miała zgotować teraźniejsza wyprawa, w wiśnickim zamku znalazł się człowiek, co gryzł się, niepokoił i trawił w sobie gniew zacięty, śledząc z zawiścią postępy armii koronnéj.... Odgadnąć łatwo, że był nim butny marszałek, Jerzy Lubomirski, pozostały w domu pod pozorem choroby, a w istocie na złość i przekór królowi.

Powodzenie oręża polskiego tym razem było mu nie na rękę. Co w Warszawie budziło radość, to w Wiśniczu witano z niechęcią i obawą. Ostatki roku 1663 minęły pogodnie w pałacu królowéj, w zamku Lubomirskiego ponuro i smutno. Dziwne się tam działy rzeczy. Opadła duszę magnata jakaś melancholia, niemoc i rozdrażnienie, które nieraz pozory pół-szału przybierało... Cztery razy

(1) Por. co do tego list de Lumbres'a do Kondeusza (T. Luk. XXXIII: le 18 Avr. 1664. Varsov.): „(La reine).... se promettait, *que le roi retournant avec la paix de Moscovie ou après avoir remporté quelque victoire signalée et ayant gagné les armées, eut rétabli l'autorite royale et fait réussir notre dessein.*“—Toż samo znajdujemy w liście de Lumbres'a do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 60. Varsov. 17 Avr. 1665).

(2) T. Luk. XII, k. 28. De Lumbres à M. de Lionne, 8 Févr. 1664.

nawiedzały go ataki epilepsyi (1). I w styczniu r. 1664 nie było lepiéj. Ci, którzy odwiedzali marszałka, znajdowali go zmieszanym i przygnębionym. Stawał się cierpkim, zgryźliwym, dokuczliwym dla służących i domowników (2). Nie wiedziano, jak zaradzić téj rozterce ducha, jak czarne myśli rozpędzić. Sprowadzano z Krakowa muzyków, znamienitych skrzypków, sądząc, że wpływ melodyi oddziała na niego zbawiennie....(3). Próby nie odniosły żadnego skutku.

Bo też harmonia tonów nie mogła się pogodzić w tym umyśle z dysonansem niemiłych wieści, które zewsząd dochodziły marszałka z kraju i z po za jego granic. Królowi wiodło się dobrze; królowa umiała wyzyskać chwilowo korzystne stosunki, odstręczając od Lubomirskiego dawnych stronników: dzień w dzień zmniejszała się liczba jego przyjaciół (4). A na domiar złego dochodziły go ostrzeżenia, że poczynają już szemrać przeciw niemu żywioły, na których wspierała się jego siła. Wśród szlachty wielkopolskiéj dawały się dość jawnie słyszéć wyrazy niechęci i niezadowolenia, że kiedy wszyscy senatorowie, nawet duchowni (Prażmowski), wyruszyli na wyprawę, on, hetman w. koronny, zalega ciepłe kąty domowe. Podejrzywano popularnego pana, „którego dotąd uważano za tarczę wolności,“ o nieszczerość, o jakoweś intrygi; szeptano sobie, że nie podagra, którą się wymawiał od wojny, tyle go dręczy, ile niepokój i gniewy, że nie wszystko mu idzie po myśli (5).

Jakkolwiek jednakowoż rzeczy się miały, wiodło się czy nie wiodło na innych polach, królowéj zawsze wielce musiało zależéć na pozyskaniu marszałka, na zgodzie z nim, mimo, że nie lubiła się z tém wyjawiać otwarcie i nawet zwykła była czasem zapierać się tego przed mniéj poufnymi stronnikami (6). Wiedziała ona dobrze, że miéć po swéj stronie marszałka, znaczyło zjednać nie jednostkę, lecz całą potężną partyę, która za nim kroczyła ślepo, znaczyło to wojnę grożącą zakończyć pokojem przed jéj rozpoczęciem.... Dlatego nie wahała się teraz skorzystać z sytuacyi pomyślnéj, w jakiéj się znajdowała chwilowo w grudniu i styczniu z r. 1663 na 64-ty, aby pod łatwiejszemi niż kiedyindziéj warunkami przeprowadzić tę tak potrzebną jéj przedsięwzięciu ugodę.

---

(1) T. Luk. XII, k. 3. B. à de Noyers, 4 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 21. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 25 Janv. 1664. — Ibid. k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Févr. 1664.

(3) Ibid. u. s. (T. Luk. XII, k. 25).

(4) T. Luk. XII, k. 18. La reine à M. de Noyers. Varsov. 25 Janv. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 16. B. à de Noyers, 18 Janv. 1664.

(6) Tak np. zapiera się nawet przed Kondeuszem, jakoby jéj w czasie układów zależało co na ich powodzeniu (NB. już po zerwaniu takowych!). T. Luk. XL, Nr. 11, k. 10. 14 Févr. [1664].

Z któréj strony wyszła pierwsza propozycya nie wiadomo; podobno z żadnéj, bo znalazł się przyjaciel, który między obiema zająwszy pośredniczące stanowisko, sam (zdaje się, bo nie wiemy tego na pewne) zainicyował sprawę i nawiązał stosunki między jedną i drugą stroną równocześnie. Był to Andrzéj Morsztyn, referendarz w. kor. Zdolny ten i gładki kawaler, zręczny i przebiegły dyplomata, natury giętkiéj i bystrego umysłu, a śliskich i dwuznacznych zasad, właściwą swemu usposobieniu gra rolę w historyi antagonizmu między dworem a marszałkiem. Francuz z wykształcenia i przekonań, dworak z wychowania i przyzwyczajenia, lgnie on do partyi dworskiéj i sympatyzuje z Wersalem; los zbliża go do Lubomirskiego i łączy z nim węzłem dłuższych, bliskich, przyjacielskich prawie stosunków. W chwili rozdwojenia między ostatnim a dworem stanął Morsztyn na rozdrożu; inny, mniéj zręczny polityk musiałby wówczas jedną drogę wybrać lub drugą: nasz dyplomata urządził się w ten sposób, że z żadną stroną nie zerwał stanowczo. Dla tego teraz, kiedy się nasunęła sposobność układów, jemu, który w sobie obopólne sympatye jednoczył, przypadła rola pośrednika.

Ale rola ta w tym wypadku była o wiele trudniejsza niż zwykle. Królowa, obiecująca sobie wiele po przyszłych sukcesach króla, stawiała twarde warunki. Przedstawienia Morsztyna, który raz coś napomykał o wzajemnych ustępstwach, tak ją rozgniewały, że musiał zamilknąć (1) Miała ona nadzieję, że marszałek, widząc, iż dwór zmiękczyć się nie da i w niczém ustąpić nie myśli, ze względu na niepewność sytuacyi skłoni się do wszystkiego, czego odeń zażądają (2).

Kiedy w grudniu r. 1663 zjechał do Warszawy Podlodowski, wysłaniec Lubomirskiego, oświadczyła mu królowa, że nie zadowoli się zapewnieniami przez drugie osoby, lecz żąda, aby marszałek zobowiązania swoje poczynił piśmiennie. A pismo to miało być tak dokładne i ścisłe, „żeby niém można zgubić marszałka, wrazie, gdyby raz jeszcze chciał zdradzić sprawę elekcyi" (3). Takie żądanie powiózł ze sobą Podlodowski do Wiśnicza (4).

---

(1) T. Luk. XII, k. 1. La reine de Pol. à M. de Noyers, 4 Janv. 1664.

(2) Ibid. u. s.

(3) Wyraża się królowa tak (ibid. u. s.): „Je me suis expliquée, que je voulais cette écriture si nette, que je puisse avec icelle faire *pendre* le maréchal etc. etc." Przy „pendre" dopisuje Lukas: tak! nie „perdre." Sądzę jednakowoż, że mimo to wypada to miejsce czytać jako „perdre" (*r* i *n* w piśmie podobne). Wyrażenie „pendre" wydaje mi się w ustach królowéj nawet w stosunku do marszałka niestosowne i nazbyt drastyczne.

(4) Ibid. u. s.

W ostatnich dniach grudnia zjawił się nareszcie z odpowiedzią nowy wysłaniec marszałka, kanonik Wojeński. Natychmiast po przyjeździe pośpieszył do Morsztyna (1). Konferowali ze sobą cztery godziny, poczém referendarz udał się do królowéj, aby jéj donieść o jego przybyciu: uprzedził ją jednak zarazem, że był sam u Lubomirskiego i nie zbyt skorym znalazł go do ustępstw (2). Pokazało się też wkrótce, że Wojeński nic stanowczego właściwie nie przyniósł. Przywiózł listy, ale tylko z rewerencyą, z ogólnymi zapewnieniami uszanowania i uległości (3). Niecierpliwa Marya Ludwika upomniała się o żądane pismo. Kanonik począł się tłómaczyć i wykręcać. Między innymi podawał i ten argument, że królowa jest śmiertelna, że więc marszałek nie może jéj dawać do rąk dokumentu, któryby mu mógł zgubę zgotować, gdyby po śmierci królowéj wpadł w ręce nieprzyjaciół i publicznie został ogłoszony. To tłómaczenie rozgniewało królowę do reszty. Obróciwszy się do Morsztyna, cierpko zauważyła, że takie postępowanie Lubomirskiego wydaje jéj się szczególném. Jeżeli marszałek udaje tylko chęć do układów na to, aby ją podać w podejrzenie u przyjaciół, albo, aby módz zasłaniać się późniéj twierdzeniem, że to królowa zgody nie chce, to myli się bardzo, bo każdemu wiadomo, że ona zawsze szczerze pragnęła pokoju i zgody. Od marszałka jedynie zależy, aby takowa przyszła do skutku sposobem godziwym i możebnym do wykonania. — Na tém urwała się rozmowa (4). W kilka dni potém zgłosił się Wojeński do drugiéj audiencyi. Wiedział, że o układach nie było na razie co mówić: nie chciał się zaś narażać królowéj, która mu była dawniéj jeszcze kazała wypłacić 500 talarów i to bardzo na czasie, bo wówczas miał pustą kaletę (5). Prosił tylko, aby królowa nic nie pisała do Francyi o owym uporze marszałka i powtórzył zapewnienia, że Lubomirski ostatecznie na wszystko się zgodzi, czego odeń zażądają... Odtąd już ani Wojeński, ani Morsztyn nie pokazali się u dworu. Po częstych ze sobą konferencyach, pierwszy wyjechał 2-go stycznia; referendarz tegoż dnia pożegnał królowę w kościele oo. Jezuitów i napomykając mimochodem, że musi „gdzieś“ wyjechać, zapewnił przytém, że jeśli mu się wydarzy zobaczyć z marszałkiem, będzie się nań starał wpłynąć stosownie do jéj myśli. Dodał wreszcie, że właśnie przybył od marszałka z powro-

(1) T. Luk. XII, k. 3. B. à M. de Noyers, 4 Janv. 1664. — Tamże, k. 5—7. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 4 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 5. Fantoni à M. de N. etc. u. s.

(3) l. s. cit. k. 3.

(4) T. Luk. XII etc. (por. wyżéj uw. 1) k. 5.

(5) Ibid. u. s. k. 4.

tem Podlodowski, który zapewne sprawę lepiéj wyjaśni i poprowadzi (1). Wyjechał téż rzeczywiście pan referendarz, ale nie w tę stronę, gdzie rzekomo zamierzał, lecz na umówione z Wojeńskim miejsce, gdzie się téż obaj złączyli i udali poraz drugi do Lubomirskiego (2).

Podlowski, który ich misyą odziedziczył w Warszawie, na inną zupełnie śpiewał nutę. Pełno było w jego słowach zapewnień o wierności marszałka i pragnieniu przejednania królewskiego majestatu. Gotów jest on przyłożyć nawet rękę do sprawy obioru następcy tronu, byle ją przeprowadzono nie przemocą, lecz w formie zwyczajnéj, bez narażenia na szwank wolności elekcyi (3). Zapewnienia te przyjęła królowa z ironią.

„— Gdyby marszałek rzeczywiście był tego zdania—mówiła— (jak się z tém teraz oświadcza), że przeprowadzenie elekcyi jest potrzebne dla dobra ogółu,—nie pytając się wprzódy królowéj, byłby ją sam przywiódł do skutku. I teraz może to wypełnić, jeśli nie zmienił zamiaru: może przedstawić jéj środki właściwsze; skoro takowe będą wykonalne i słuszne, ona je poprze i chętnie do nich rękę przyłoży, bo nie ma innego celu na oku, prócz dobra publicznego i nie żywiła nigdy ani żywi teraz zamiaru przeparcia elekcyi siłą i bez zjazdu ogółu szlachty, jak to zwykle bywało....“ (4).

Nie mogąc niczém stanowczém odpowiedziéć na to wszystko, Podlodowski wspomniał jedynie, że pojedzie do marszałka, gdzie znajdzie się téż Morsztyn i przedłoży, co usłyszał. Z tém pożegnał królowę i opuścił Warszawę (5). — Przez dwa tygodnie nie było żadnéj wiadomości od strony rezydencyi Lubomirskiego. Dopiero w połowie stycznia dowiedziano się, że 16-go ma się odbyć u marszałka narada z Morsztynem i Podlodowskim (6). Ten ostatni obiecywał działać cuda; zaklinał się przed królową, że nie chce miéć żadnych więcéj stosunków z Lubomirskim, jeśli i tym razem rachuby jéj zawiedzie. Na ten nagły zwrot ku lojalności wpłynęły niewątpliwie

---

(1) T. Luk. XII, k. 6. Fantoni à de Noyers. 4 Janv. 1664.

(2) Ibid. u. s. k. 6.

(3) Ibid. u. s. k. 6.

(4) Ibid. u. s. (Czy słowa królowéj były szczere, o tém łatwo się przekonać, porównawszy je z innymi, pod. w poprz. uwagach).

(5) T. Luk. XII, k. 7 (l. supr. cit.).

(6) T. Luk. XII, k. 16 [...... à M. de Noyers]. Varsov. 18 Janv. 1664: *„Per li 16* del corrente doveva esser appresso di lui (Maresciale) il consiglio; ne sentirò l'effetto.“ — Ibid. k. 14 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Varsov. *le 18* Janv. 1664: „Morstein et Podlodowski se devaient *hier* (mylnie, jak widzimy z poprzedniego; powinno być *avant-hier*) assembler chez le maréchal pour resoudre son accommodement avec moi.“

widoki na pensyą, którą mu przyrzekła wyznaczyć królowa, licząc się z tém, że Podlodowski cieszył się niejakiém zaufaniem i wpływem wśród szlachty małopolskiéj (1).

Odtąd do końca stycznia niknie znowu wszelki ślad dalszych zabiegów około ugody. Królowa oczekiwała z niecierpliwością powrotu Morsztyna (2). Uspokajało ją nieco przekonanie, że ponieważ wieści z widowni wojennéj były dotąd pomyślne, więc marszałek zapewne się okaże powolnym jéj wymaganiom (3). Wbrew tym kombinacyom dowiedziała się w ostatnich dniach stycznia za pośrednictwem Morsztynowéj, która otrzymała list od męża Andrzeja, że starania jego nie miały powodzenia z powodu rozdraźnienia i dziwacznego usposobienia marszałka, a wnet potém przyjechał i sam Morsztyn, ale przyjechał z niczém (4). Przywiózł on same złe wiadomości, a zresztą próżne słowa. Marszałek miał się wyprzéć wszystkiego, względem czego traktował z królową Wojeński, bo oświadczył, że nie poruczył kanonikowi żadnéj od siebie propozycyi, lecz polecił jedynie wysluchać te, które mu partya dworska przedłożyć zechce. Teraz powtórzyły się ostatecznie jeszcze raz te same co poprzednio przedstawienia. Morsztyn zapewniał, że marszałek nie będzie się sprzeciwiał elekcyi, byle szlachta zechciała się na nią zgodzić, że ofiaruje się nawet pozyskiwać dla niéj popleczników. Królowa, nie zadawalniając się oczywiście słowami, zażądała znowu dowodów realnych: niech Lubomirski zajmie się gorliwie sprawą, a jeśli dobre skutki tych starań będą widoczne, ona ze względu na dobro publiczne chętnie mu poda rękę. Odpowiedź Morsztyna była—jak dało się przewidzieć — wymijająca, podobnie jak poprzednie: marszałek nie może przyłożyć ręki do dzieła elekcyi, póki nie zasięgnie co do niéj zdania podkanclerzego i innych przyjaciół (5).—Na tém się skończyła rozmowa z królową, aby się już na ten temat więcéj nie rozpocząć.

Widoczne było z całego postępowania działających w układach osób, że marszałek szczerze o zgodzie nie myślał. Bo gdyby mu na tém zależało, opatrzyłby wysłańców swoich wyraźnemi instrukcyami i określił dokładnie warunki ugody. Tymczasem wszyscy jego ajenci ograniczali się na pustych słowach, na nic nie znaczących ogólnikowych zapewnieniach, Stąd podejrzenia królowéj, że Lubomirski

---

(1) T. Luk. XII, k. 14 (w liście poprzednio cyt.).

(2) T. Luk. XII, k. 18 (La reine à M. de Noyers]. Vars. 23 Janv. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 20 [B..... à M. de Noyers]. Varsov. 25 Janv. 1664. „Perchè le cose vanno bene, son sicuro che il maresciale fara tutto quello vorrà la regina."

(4) T. Luk. XII, k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.

(5) T. Luk. XII, k. 25—6. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.

chce zyskać tylko na czasie lub też myśli wyzyskać tę historyę układów, aby się w dalszém postępowaniu zasłaniać pretekstem, że ubiegał się i starał o zgodę, że tylko z winy przeciwnéj strony do niczego nie przyszło. Okazało się też wkrótce, że domysły królowéj nie były dalekie od rzeczywistości; lecz musimy dodać, że obok tych motywów, jakie mu podsuwała królowa, były i inne o wiele większéj doniosłości, które wpłynęły oziębiająco na jego usposobienie do zgody, jak to w dalszéj części pracy dokładniéj obaczymy.

Tak więc układy skończyły się na niczém: nie wiele zyskano, nic też nie stracono. Królowa od początku miała przeświadczenie, że to była komedya (tak przynajmniéj późniéj mawiała) (1). Lubomirski wątpił, czy co zyska, skoro założył sobie nie robić ustępstw. Oboje działali więcéj dla pozoru; oboje mieli w tém swoje wyrachowanie.

Ale kto w téj całéj historyi płonnych układów najwięcéj utracił, to Morsztyn. Ufny w swoje względy u stron obu, bo mu ich żadna nie szczędziła partya, sądził, że i nadal potrafi się utrzymać w pośrodku. Wiodło mu się długo, ale i przebrała się miara. Rozdrażnienie wrogich sobie stronnictw doszło do tego stopnia, że nie podobna było dzielić z jedném sympatyi, nie żywiąc antypatyi przeciw drugiemu. Dwuznaczna rola skończyła się niepomyślnym epilogiem: starający się o przyjaźń obu przeciwników, stracił zaufanie obydwu. Królowa już od początku roku patrzała nań krzywo i okazywała mu niechęć. Budziły się w niéj podejrzenia, że referendarz gra rolę donosiciela, że wyzyskuje swoją sytuacyę w celach niegodnych i podstępnych (2). Nie podobał jéj się wcale ten bliski Morsztyna stosunek z marszałkiem: dawała się głośno słyszéć ze zdaniem, że „chciałby on z jedną i drugą stroną stać na dobréj stopie, co, jak każdemu wiadomo, jest niepodobieństwem....“ (3). Podejrzenia te znalazły niejakie stwierdzenie w dalszym toku układów: w postępowaniu i słowach dyplomaty przebijała się wyraźnie jakaś chwiejność i dwuznaczność. Skończyło się na tém, że dawny przyjaciel spadł w oczach królowéj do tego stopnia, iż poczęła go stawiać na równi z samym marszałkiem: tego i tamtego łączy bowiem, pisząc do de Noyers'a, w jedném wyrażeniu, jako dwa indywidua równéj wartości moralnéj: „qui sont deux créatures, qui n'ont point d'honneur.“ (4).

(1) T. Luk. XL, Nr. 11, k. 10. Marya Lud. do Kondeusza, 4 Fevr. [1664].
(2) T. Luk. XII, k. 4 [B... à M. de Noyers]: 4 Janv. 1664.—Ibid. k. 26. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.
(3) T. Luk. XII, k. 6 [Fantoni à M. de Noyers]. Varsov. 4 Janv. 1664.
(4) T. Luk. XII, k. 18 [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 28 Janv. 1664.

Tak więc stracił nasz zwolennik dwulicowéj polityki zupełnie kredyt u dworu: a są wskazówki, że i w stosunkach do marszałka równocześnie zaszły nie miłe zmiany.... Widać przynajmniéj wielką niechęć i zawiść na marszałka w owym liście Morsztyna, pisanym do żony z Wiśnicza, gdzie się uskarża że „Marszałek jest najgorszym w świecie człowiekiem,— że nie można mu ufać, ani nie ma nadziei, aby zeń cokolwiek dobrego wydobyć....“ (1). Odtąd znika téż Morsztyn zupełnie z widowni dalszych wypadków r. 1664; skompromitowany bierze widocznie na czas jakiś rozbrat z swoją niefortunną polityką, w nadziei (która go nie zawiodła), że okoliczności same wysuną go znowu kiedyś na plan przedniejszy i otworzą nowe pole do popisu.

II.

Wyprawa moskiewska. — Nowe plany królowéj.

Milczące zerwanie układów ze strony Lubomirskiego przyjęła królowa dość obojętnie. Uwaga jéj była zwrócona w inną stronę: od króla i po jego powodzeniu wojenném spodziewała się tak wielkich rezultatów, że kwestya pozyskania marszałka wydała jéj się na razie podrzędną. „On wyobraża sobie — pisze ona do Kondeusza o Lubomirskim (2) — że się będę za nim uganiać, ja tymczasem sądzę, że się będzie można obejść bezeń bardzo dobrze. Prawda to, że mógłby on usunąć niektóre przeszkody, którebym rada okupić grzecznością...... ale obok złośliwości (w jego postępowaniu) jest téż niewątpliwie i wiele głupoty. Bo jestem przekonana, że nareszcie marszałek widzi dobrze, iż mnie nie źle się wiedzie, i że ten tłum stronników, który mię dosyć kocha i rozumié, iż mu potrzeba królowéj, będzie miał sam w sobie dosyć siły, aby podnieść sprawę elekcyi.....“

Pomyślne wiadomości od króla potwierdzały przez jakiś czas to przekonanie. Królowéj się wydawało, wiemy już o tém, że sąsiednie państwo ulegnie zupełnie, jeśli król trafi w samo jego serce, stolicę. Pochód na Moskwę i pokój korzystny, zawarty pod jéj murami, oto czego pragnęła i oczekiwała od Jana Kazimierza. Otóż— jakkolwiek bądź się tam wiodło — to jedno widziała dotąd Marya Ludwika, że armie posuwały się naprzód, coraz daléj ku wschodowi, w głąb północnego państwa; a oto jéj chodziło. W listopadzie przeprawił się król na Zadnieprze, i zajmował jedną po drugiéj pozycyę.

(1) T. Luk. XII, k. 25. Fantoni à M. de Noyers. Varsov. 1 Fevr. 1664.
(1) T. Luk. XL. 14 Fevr. [1664].

Ostre zatrzymało go przez grudzień; po jego zajęciu ruszono ku Deśnie, a owładnąwszy jéj porzeczem, zwrócono się w styczniu r. 1664 ku północy na Nowogród Siewierski.

Tyle wiedziała królowa o sukcesach armii koronnéj w czasie układów z Lubomirskim i to jéj wystarczało. Szło tam wszystko cokolwiek za wolno, przeciągało się nieco za długo, ale niespokojna kobieta postanowiła sobie tym razem czekać cierpliwie w nadziei, że kiedy armia posunie się jeszcze daléj, nadarzy się lepsza i świetniejsza sposobność do spełnienia stanowczych czynów, do owych wymarzonych przez nią zwycięstw. Zawsze obstając przy swoim planie, nie przestawała nalegać na króla w listach, żeby odeń nie odstąpił, a to tém usilniéj, że ją dochodziły wieści, jakoby na radzie wojennéj z 12 stycznia odradzono królowi dalszego pochodu i skłaniano do powrotu na Ukrainę, na leże zimowe (1).

Ale w czasie, kiedy każdéj wieści z Zadnieprza wyczekiwano w Warszawie ze spotęgowaną niecierpliwością, kiedy dwór rad był śledzić każdy krok armii i dzielić się z nią natychmiast każdém powodzeniem, jakaś dłoń wroga i zawistna przecinała wszystkie węzły porozumienia, łączące króla ze stolicą. Co tydzień zwykł był posyłać Jan Kazimierz królowéj osobne relacye przez umyślnego kuryera. Przez cały luty nie doszedł Maryi Ludwiki żaden list z pola działań wojennych. Zrazu pocieszano się myślą, że król gotuje jaki czyn stanowczy i zwleka z wysyłką kuryerów, póki nie będzie mógł donieść o jego spełnieniu. Późniéj tłómaczono sobie to dziwne milczenie trudnością komunikacyi w kraju nieprzyjacielskim (2). Pokazało się wkrótce, że rzeczywiście jednego kuryera opadła zgraja nieznanych ludzi w lasach litewskich i odebrała mu pocztę (3). Lecz to się zdarzyło raz tylko, a tu mijały dni i tygodnie, skończył się luty i marzec rozpoczął, a wiadomości nie było.....

Zamieszanie zapanowało na dworze. Królowę ogarnął niepokój: nękały ją czarne myśli, smutne przeczucia, które oddziaływały tak silnie na kobiecy organizm, że cierpienia moralne przeistoczyły się w fizyczne: opadła ją silna migrena, zapowiedź ciężkiéj słabości, która przyszła w kilka tygodni późniéj... (4)

---

(1) T. Luk. XXXIII, k. 88. De Lumbres à Caillet, 14 Fevr. 1664.

(2) T. Luk. XL, k. 11. Mar. Lud. do Kond. 28 Fevr. [1664].

(3) Ibid. u. s.

(4) T. Luk. XL, Nr. 14, k 13. Mar. Ludw. do Kondeusza, 6 Mars [1664]: „Vous comprendrez facilement l'inquiétude où je suis de n'avoir point de nouvelles de l'armée. *Cela fait un si grand bouleversement dans mon esprit que mon corps s'en ressent si fort que la douleur de tête ne m'a point quitté depuis quelques jours....*“ Że osłabienie to i znękanie trwało dłużéj, to widać już z poprzedniego listu królowéj do tegoż księcia

Pierwsze wiadomości, które przybyły do Warszawy po długiém milczeniu, od Litwy, nie mogły tych cierpień usunąć; przeciwnie, miały je jeszcze zwiększyć, spotęgować (1). Dopiero w drugiéj połowie marca zdołali dotrzéć do stolicy kuryerzy, dotąd gwałtem lub trudnościami podróży wstrzymywani wśród drogi. Przynieśli oni wieści nader niepomyślne. Oblężenie Głuchowa, połączone z bardzo znacznemi stratami, rozpaczliwe położenie wojska, brak wszelkiéj żywności dla ludzi i koni, nieprzezwyciężone trudności terytoryalne każą wątpić o dalszych sukcesach. Wodzowie strony przeciwnéj unikają stanowczéj walki: kryją się po lasach i ograniczają na podjazdowych utarczkach (2). Armie litewska i koronna, połączone pierwszy raz w Siewsku, zamiast iść naprzód, domagają się spoczynku i wytchnienia. Rada wojenna uchwala 18 lutego nie postępować daléj: część wojska ograniczy się na obronie linii Desny, reszta przejdzie na Ukrainę na leże zimowe. Król powróci na Litwę. Wszystko odbyć się ma jak najprędzéj w obawie przed odwilżą, która w błotnistych okolicach dnieprowego porzecza nader utrudnia komunikacyą i odwrót może odciąć zupełnie (3). Tymczasem strona przeciwna przychyla się do pokoju i wyprawia posłów celem układów. Od kwietnia toczą się w Krasném traktaty między komisarzami stron obu (4).

Tak więc wyprawa chyliła się ku końcowi bez żadnych dodatnich rezultatów. Zamiast do postępu rzucono się na wszystkich liniach do odwrotu. Pochód armii (z powrotem) od Staroduba na Krzyczew do Mohilewa w pośród roztopów wiosennych ciągnął się trzy tygodnie. Był to czas okropny. Tysiączne przeszkody komunikacyjne, zimno, wilgoć, brak żywności i paszy, stąd głód, wycieńczenie i choroby—oto z czém mieli do walczenia zbiedzeni żołnierze... Konie padały po drogach—ludzie żywili się ich padliną. *Zniechęce-*

(T. Luk. XL, Nr. 12, k. 11: 28 Févr. [1664]): „*J'ai des douleurs de tête extrêmes; cette nuit j'ai beaucoup souffert.* L'on dit que c'est des vapeurs: mais sans ces vapeurs il viendra d'autres maux, faute de sommeil et du grand échauffement.“

(1) T. Luk. XL. Nr. 15. k. 14: Marya Lud. do Kondeusza, 13 Mars [1664]: „Si vous m'avez vu inquietée de n'avoir point de nouvelles de nôtre armée, je ne la suis pas moins après les dernières lettres qui me sont arrivées depuis deux jours.“

(2) T. Luk. XII. k. 48. Lettre de Vars. 14 Mars, 1664.—T. Luk. XL. Listy Maryi Lud. do Kondeusza: Nr. 17. k. 18: le 27 Mars [1664], oraz Nr. 18, k. 18. 3 Avr. [1664].

(3) T. Luk. XII, k. 53. [La reine de Pol. à M. de Noyers]: Vars. 3 Avr. 1664.—Ibidem, k. 57: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 4 Avr. 1664.—Ibidem: k. 60. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 65: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664.—Ibidem: k. 70: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 16 Mai, 1664.

nie i nieład zapanowały w wojsku, rozstrój i apatya ogarnęły wszystkich (1)......

Takie to wieści przyniosły ostatnie listy z Zadnieprza, wyczekiwane z niecierpliwością i niepokojem. Były to jakby gromy z pogodnego nieba, bo spadły niespodzianie po długiéj ciszy.

Dwa miesiące trudów złamały więc tę wielką armię, która w marzeniach królowéj miała dyktować warunki nieprzyjacielowi w jego własnéj stolicy!... Cały gmach pięknych nadziei runął w jednéj chwili: trzeba się było wyrzec myśli o koronie carskiéj dla Enghien'a, która ciągle jeszcze zaprzątała bujną wyobraźnię królowéj,—trzeba było, co więcéj, porzucić cały ów tak pięknie obmyślany plan przeprowadzenia elekcyi młodego Kondeusza za pomocą konfederacyi armii—zaraz z powrotem ze zwycięzkiéj wyprawy, za przewodem króla, wyglądanego w roli tryumfatora...

Zawód tém więcéj boli, im piękniejsze wyprzedza go złudzenie: nie dziw więc, że głęboko wstrząsnął on drażliwym umysłem Maryi Ludwiki (2). Lecz, co prawda, nie na długo. Spokojna refleksya przywróciła w nim szybko równowagę; dawne plany głowa bujna i pełna świeżych myśli zastąpiła nowymi, a znalazłszy raz punkt oparcia, czynna natura téj rzutkiéj kobiety uczuła się w swoim żywiole i jakby odżyła nowém życiem. Marya Ludwika nie odstępuje bynajmniéj od zasadniczego programu: zamiar pozyskania armii, przeprowadzenia elekcyi za pomocą konfederacyi lub w inny sposób sztuczny, gwałtowny, i teraz zaprząta jéj myśli. Plan pozostaje ten sam: zmienią się tylko środki, inne będą drogi, które do tegoż samego celu powiodą. Minęła już oczywiście, i to niepowrotnie, jedyna sposobność zjednania armii sposobem najmniéj kosztownym,

---

(1) Opis tego odwrotu, zwięzły, ale przejmujący do głębi swą grozą podaje Jan Kazimierz w liście do Maryi Lud. (Z teki dra Liskego): Krzyczew, ii 24 di Marcio.

(2) „Les Polonais sont toujours victorieux, lorsqu'ils veulent bien faire et n'ont du désavantage que par leur négligence et perdent les plus belles occasions du monde, *ce qui me fait mourir de déplaisir*“..... wyrzeka królowa w liście do de Noyers'a (T. Luk. XII, k. 53. Vars. 3 Avr. 1664). O stanie umysłu królowéj w tym czasie pisze de Lumbres do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 60: Vars. 17 Avr. 1664): „Cela (niepowodzenie Jana Kaz.) *afflige la reine qui se voit frustrée du fruit qu'elle éspérait de cette éxpedition*, tant pour le rétablissement de l'autorité royale, que pour l'avancement de notre dessein, si le roi fût retourné avec la paix ou après avoir remporté une victoire signalée à la tête des armées, qui eussent été à sa dévotion.“ Tak samo pisze de Lumbres do Kondeusza (T. Luk. XXXIII, k. 89, Vars. 18/IV 1664).—Jeszcze późniéj pisze do Ludwika XIV de Lumbres o królowéj (T. Luk. XII, k. 73: Vars. 22 Mai 1664): „*L'affliction qu'elle a de ce que le peu de succès de l'expédition de Moscovie n'avance pas notre dessein* et l'application avec laquelle elle continue de se porter aux affaires, *causent tant d'altération à sa santé, qu'elle a peine à se remettre.*“

a najradykalniejszym: wyprawa wojenna chybiła. Wypadło powrócić do owych tylokrotnie używanych środków, których skuteczność wypróbował mistrz-dyplomata, Ludwik XIV: pieniądz miał znowu pierwszorzędną odgrywać rolę. Zanim jednak wejdziemy w ten nowy okres działania królowéj, musimy się rozpatrzéć nieco w stosunkach wewnętrznych rzeczypospolitéj, a przedewszystkiém wypadnie potrącić o pytanie, na jakim stanie opierała się wówczas władza królewska? Odpowiedź na nie przywiedzie nas wprost do rzeczy, wprowadzi w sam środek téj walki między stronnictwami dworskiém i Lubomirskiego, która nas głównie zajmuje.

Wiadomo, że królowie polscy dawno już byli odstąpili od owego olbrachtowego programu współdziałania ze szlachtą przeciw oligarchii senatorów. Idąc za przykładem wszystkich współczesnych monarchów, Jan Kazimierz i Marya Ludwika opierali także swoje rządy na magnatach i z ich potęgi czerpali siły i środki do utwierdzenia swego tronu. Stawać zaś po stronie możnowładców było to samo, co stawać przeciw szlachcie uboższéj; i stąd, rzecz to znana, byli wszyscy królowie, od Zygmunta Augusta począwszy, w niższych sferach niepopularni, stąd na każdym kroku napotykać i zwalczać musieli w ciągu działalności swojéj żywioły niechętne i wrogie. Jaskrawo występuje ten stosunek szczególniéj w Koronie: szlachta polska nauczyła się już była w szkole XVI wieku pojmować i przeceniać swe siły: a czasy Zborowskich i Zebrzydowskich nie minęły bez ujemnego wpływu na butne i rozpolitykowane umysły. Wiedziała o tém dobrze królowa i dlatego nie od Korony zamyślała swoje dzieło rozpocząć: od początku uwaga jéj zwracała się ku drugiéj połowie rzeczypospolitéj na w. księstwo litewskie. Tu bowiem były stosunki zupełnie odmienne.

Oddalona bardziéj niż Polska od Zachodu, a więc mniéj przystępna wpływom jego cywilizacyi, szlachta litewska, znacznie późniéj też przyuczona do parlamentaryzmu polskiego, ciemna i zacofana, brodziła jeszcze głęboko w mętach wyobrażeń i przyzwyczajeń średniowiecznych. Krew niewolników-ziemianów nawet w dziesiątém pokoleniu nie odmieniła swéj właściwości: było w tych nowokreowanych braciach Litwinach dużo z téj natury leniwéj, ociężałéj, która łatwo się gięła i pod twarde nawet jarzmo chyliła. Stąd poszło, że kiedy w Koronie brać szlachta przybierała ton coraz więcéj dyktatorski, tu zawsze jeszcze cieszyły się nieograniczonym wpływem nieliczne, dawne rody magnackie, jakby dziedzice owych pogańskich wszechpotężnych królików grodowych. Nieliczne, bo śmiało powiedzieć można, że w rękach trzech familii: Sapiechów, Radziwiłłów i Paców znajdowała się cała Litwa. W obec tego faktu kwe-

stya pozyskania w. księstwa obracała się w kwestyę pozyskania jéj panów i przewódców. I to zadanie, jako łatwiejsze, obrała sobie Marya Gonzaga (1).

Wypadnie nam usunąć tutaj sprzeczność, która się zapewne każdemu nastręczy. Programem Wazów miało być przymierze polityczne z magnatami: nie istniałoż więc takie przymierze za rządów ostatniego Wazy,—skoro królowa dopiero o pozyskanie senatorów starać się zamierza? Odpowiedź na to pytanie z konieczności na dwie musimy podzielić części: inaczéj było z Koroną, a inaczéj z Litwą.

Senat koronny znajdował się najczęściéj w otoczeniu króla i królowéj; zostawał z rodziną panującą w ciągłéj nieledwie styczności. Monarcha miał więc tutaj możność baczne zwracać oko na wszystkie czynności panów senatorów; działanie nie odległych wpływów dworskich dopełniało reszty,—bo wiadomo, ile ważył jeszcze wówczas na szali przekonań i usposobień jeden uśmiech, jeden dowód łaskawości królewskiéj.

Na Litwie okoliczności składały się odmiennie. Dumny magnat w. księstwa, zdala od stolicy rzeczypospolitéj zamieszkały, nie mógł podlegać i nie podlegał téż nigdy urokowi tronu tak wyłącznie, jak koronny. Świetne stosunki materyalne, rozległy i wszechstronny wpływ na oddaną sobie ślepo szlachecką klientelę, tradycye wreszcie rodowe i wogóle historyczne budziły w tych potentatach poczucie samodzielności i niezawisłości. Duch Witołdów i Świdrygiełłów nie zstąpił wraz z ich ciałami do grobów; przeciwnie, i w późniejszych wiekach, przez cały prawie ciąg dziejów naszych cechują często postępki i działania wybitnych rodów litewskich separatystyczne tendencye. Gdyby sięgnąć do tajników duszy takiego Radziwiłła Rudego lub Czarnego, pewnie znalazło by się tam w głębi tę samą myśl, która mieszkała w twardéj piersi Witołda: żądzę korony w niezawisłém wielkiem księstwie. Dążenia te nie tak wyraźnie występują, co prawda, wśród Litwinów XVII wieku; nie mniéj jednak i tu jeszcze widoczną jest skłonność do seperacyi, do opozycyi przeciw królowi i jego zabiegom około skoncentrowania władzy we własnych ręku.

---

(1) Że te względy, któreśmy wymienili, kierowały rzeczywiście Maryą Lud. w tém postanowieniu, znajdujemy to wyraźnie zaznaczone w liście de Lumbres'a do Ludwika XIV (T. Luk. XII, k. 62, Vars. 17 Avr. 1664): „Elle (la reine) se porte avec d'autant plus d'application *à s'acquérir entièrement la Lituanie qu'elle y voit beaucoup plus de facilité qu'à unir et gagner toute la Pologne, où il y a beaucoup plus de grands indépendants les uns des autres* et dont les intérêts ne s'accordent pas bien: outre qu'elle se persuade, et non sans fondement que si toute la Lituanie etait a elle, plus de trois quarts de la Pologne se rangera de son côté."

Za czasów Jana Kazimierza skończonym typem takiego to magnata pół-króla był hetman wielki Paweł Sapieha. Zakochany w swojéj Litwie, wychowaniec jéj ciemnych puszcz i borów, syn dzikiéj, pierwotnéj prawie natury, wyssał on i przyjął od téj macierzy surowe, brutalne pierwiastki (1). Złączony węzłami pokrewieństwa z podkanclerzym Aleksandrem Naruszewiczem (który był jego zięciem) i z wojewodą połockim Janem Karolem Kopciem (szwagrem), a związany nadto stosunkami serdecznéj przyjaźni z Bogusławem Radziwiłłem, głową starożytnego rodu—pół wielkiego księstwa miał za sobą ten człowiek twardy, butny i gwałtowny. Stała za nim cała parentela Bogusława, a wśród niéj i tacy panowie, jak Michał Radziwiłł, kasztelan wileński i Jan Karol Chlebowicz, starosta żmudzki (2).

Ale promienie zachodnich wpływów dotarły już były wówczas i nad Niemen, aby wycisnąć piętno swoje na wewnętrznych kraju stosunkach. Blask Francyi i korony Burbonów rozluźnił jedność i spójność w łonie téj dawnéj solidarnéj oligarchii: rodzina Paców porzuciła stare tradycye i dała się porwać prądom wiejącym od Wersalu. Krzysztof Pac, kanclerz w. litewski, wykształceniem Francuz, z Francuską téż de Mailly ożeniony, okazał się na urzędzie swoim gorliwym stronnikiem Ludwika XIV, a więc i obojga polskich królestwa. Cieszył się on zaufaniem Maryi Ludwiki, która przekładała go nad wszystkich innych przyjaciół dla pięknych przymiotów charakteru. Świadomy najskrytszych nawet planów i zamiarów królowéj, aż nadto skłonnéj do zwierzeń, umiał je ten rozsądny senator zachować zawsze w tajemnicy, co go podnosiło wysoko ponad gadatliwego Prażmowskiego; ulegał zresztą wpływom swojéj z Paryża przywiezionéj żony, któréj pośrednictwa używała często królowa, korzystając z przyjaźni przychylnéj rodaczki (3). Król również cenił go sobie wysoko i odznaczał wszędzie szczególnemi względami: słuchał chętnie rad jego i najczęściéj zgodnie z niemi postępował (4). Mikołaj brat jego, wojewoda trocki i syn Michał, hetman polny li-

(1) T. Luk. XII, k. 61: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664: „C'est un ésprit capricieux et même brutal“.....

(2) T. Luk. XII. k. 61—2: De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 8: De Lumbres à M. Lionne. Vars. 4 Janv. 1664: „......celui-ci (tj. Krzysz. Pac) a la confidence de la reine, ce qu'elle fait tant à cause qu'elle le connait plus secret, plus discret et plus ferme, que parce qu'elle lui fait entendre plus aisement ses sentiments par le moyen de sa femme, qui a beaucoup d'ésprit et travaille fort, écrivant à son mari et en chiffre ce qu'elle désire qu'il fasse.“

(4) „..... le roi suivait presque toujours ses sentiments“.... pisze de Lumbres o Pacu do de Lionne'a. (T. Luk. XII. k. 65. Vars. 26 Avr. 1664).

tewski i wojewoda smoleński, człowiek otwarty, a wódz odważny i stanowczy, i w ogóle cała familia Paców dzieliła przekonania kanclerza litewskiego (1). Młody Michał, podobnie jak ojciec, bardzo dobrze był widziany na dworze: królowa mawiała, że przewyższa Gąsiewskiego, który przecież wielce zasłużył się był sprawie francuskiéj (2).

Antagonizm Radziwiłłów i Sapiehów do Paców nie datował się od dawna: jak wszystkie inne w rzeczypospolitéj, miał on swoje źródło w prywacie, która mnóstwo zawsze rodziła u nas Montecchi'ch i Kapuletów... Spoglądano z niechęcią i gniewem na wzrastającą potęgę Paców: zazdroszczono im łaski króla i królowéj,—oburzano się, że zagarniają dla siebie najlepsze beneficya. Bogusław Radziwiłł ubiegał się był w minionym roku o wakanse po Gąsiewskim: otrzymał je Michał Pac syn Krzysztofa (3). Sam kanclerz był dumny i zarozumiały z natury; łatwo więc przyszło do rozdwojenia i niechęć przybrała formy nienawiści, czyniąc ze współzawodników—nieprzyjaciół. Było tak zresztą i w Koronie: bo i kanclerz Prażmowski i wielu innych senatorów należało, jak się późniéj przekonamy, do przeciwników litewskiego ministra, oczywiście dlatego, że był on *„persona gratissima“* u dworu (4).

Z bólem serca śledziła królowa już od początku roku postęp i rozwój tego zatargu, który przychodził wtedy, kiedy właśnie jéj tyle zależało na skupieniu najwięcéj ile można sił w jednym kierunku. Ujawnił się on najbardziéj jaskrawo w początkach roku 1664. Wojsko litewskie miało podążyć na Zadnieprze, aby się połączyć z królem: lewe skrzydło armii winno było, zjednoczone z prawem, dostać się pod dowództwo hetmana w. Sapiehy. Tymczasem do-

---

(1) T. Luk. XII. k. 61: De Lumbres à Louis XIV: Vars. 17 Avr. 1664.

(2) „La reine éspère beaucoup plus de Michel Pac, que du défunt [Gonslewski] pour être plus hardi, plus résolu et plus franc, que Gonziewschi, qui avait de trop vastes désirs, trop d'ambition, de finesse, de fourberies et d'irrésolution pour se pouvoir bien assurer de lui.“—T. Luk. XII. k. 50. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 28 Mars. 1664.

(3) T. Luk. XII. k. 59: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 64—5. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664: „Mais la reine a bien compris de ces propos, que le peu de succès de cette éxpédition (en Moscovie), dont la Pologne concevait de si belles éspérances *n'est venu que de la jalousie, que lui* (Prażmowski) *et les autres ministres et officiers du royaume ont eue du grand-chancelier de Lituanie*, parce que le roi suivait presque toujours ses sentiments“..... albo: Ibid. k. 8. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. le 4 Janv. 1664: „Il semble, que le grand chancelier du royaume, quoique très-bien intentionné, a quelque jalousie de ce que Tetera et les Cosaques..... s'attachent davantage à celui du grand duché (Pac) et de ce que celui-ci (tj. tenże Pac) a la confidence de la reine.

wódca pierwszego Michał Pac ani wiedzieć nie chciał o tém połączeniu (1). Mówiono, że i kanclerz Krzysztof umaczał w tém swoje ręce i podejrzywano, że przeciwny zjednoczeniu armii litewskiéj sieje niezgodę między wojskami (2).

Marya Ludwika, jakkolwiek rada złagodzić tę sprawę, bo jéj chodziło o powodzenie wyprawy wojennéj króla, wahała się i namyślała, jak postąpić. Dochodziły ją bowiem wieści, że Sapieha znajduje się w porozumieniu z Lubomirskim (3). Stąd nasuwała się obawa, czy hetman, stanąwszy na czele całéj armii nie zechce skorzystać z tak łatwéj sposobności do działania w myśl planów ambitnego marszałka (4). Z drugiéj strony trzeba się było liczyć i z tém, że zbyteczny opór ze strony Paca i lewego skrzydła może oddziałać na Sapiehę tak szkodliwie, iż się przerzuci zupełnie do obozu malkontentów. Sprawa zdawała się zaogniać: Michał Pac nie skłaniał się do połączenia—chyba pod twardemi warunkami. Skrzydło lewe żądało wypłaty umówionéj tytułem żołdu sumy dwóch milionów z góry, domagało się sądu na zabójców Gąsiewskiego, byłego hetmana polnego. Pierwsze żądanie nie łatwo było zaspokoić w obec pustéj kasy litewskiéj; drugie dotykało ubocznie Sapiehę; dość powszechnie bowiem przypisywano i jemu udział w haniebnéj zbrodni morderstwa na hetmanie polnym spełnionego (5).

Uspokoiła się nieco królowa, kiedy ją doszło ze stron kanclerza lit. wyjaśnienie rzeczywistego stanu rzeczy. Kanclerz zapewnił, że mu nic nie wiadomo o złych intencyach Sapiehy. Owszem hetman wielki pisał do niego niedawno nader uprzejmie; on zaś nawzajem zjednał sobie dawnego przeciwnika przysługami, jakie mu wyświadczył, wyrobiwszy dla starszego syna jego marszałkowstwo nadworne lit., a starostwo jedno dla młodszego. Sapieha zresztą nie myśli wcale sam prowadzić wojska na Zadnieprze: nie pozwala mu na to zły stan zdrowia. Tak przynajmniéj pisał hetman do króla, a ten przyjął jego tłómaczenie łaskawie i uprosił go listownie, aby wpłynął osobiście

---

(1) T. Luk. XII. k. 2: La reine de Pol. à M. de Noyers. S. l. 4 Janv. 1664.—Ibid. k. 15: La reine de Pol. à M. de Noyers. Vars. 18 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII. k. 4: [B. à de Noyer]. S. l., 4 Janv. 1664: „Il palatino di Vilna et il vice cancelliere di Lituania stanno benissimo colla regina (wnet się pokazało, czy rzeczywiście tak bardzo dobrze było); ma *il canceliere Pac al solito per private passioni intorbida le cose*, non amando, che le armate si unischino, è però semina fra esse delle zizanie“......

(3) T. Luk. XII. k. 29: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 8 Févr. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 10: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Janv. 1664.

(5) T. Luk. XII. l. sup. cit.

na zjednoczenie skrzydeł i oddał na czas swéj nieobecności dowództwo Michałowi Pacowi (1).

Ze swojéj strony poleciła królowa Krzyszt. Pacowi, aby się postarał o złagodzenie warunków układu między obiema dywizyami. Miała nadzieję, że kiedy armia stanie w obozie królewskim, Jan Kazimierz swoim osobistym wpływem usunie wszystkie przeszkody, które jeszcze stać będą na zawadzie zupełnéj zgodzie stron poważnionych (2). I w istocie—właśnie dzięki staraniom komisarzy, wydelegowanych przez Jana Kazimierza przyszło nareszcie w Siewsku— w pierwszéj połowie lutego do połączenia armii koronnéj i litewskich skrzydeł, nad którymi sam król generalne objął dowództwo (3).

Wśród tych zajęć nie zapominała tymczasem Marya Ludwika i o drugim malkontencie litewskim, Bogusławie Radziwille. Książę ten, skoligacony z elektorem brandeburskim, od wielu lat służył krewnemu, jako doradca i minister. Otóż dzięki dobremu porozumieniu z Morsztynem młodszym (bratem referendarza), sekretarzem Radziwiłła, zasięgła królowa co do niego pewnych informacyi, których zręczne użycie mogło się wielce przyczynić do pozyskania dygnitarza. Dawny magnat, choć właściciel wielkich dóbr na Litwie, miał się znajdować w nieszczęśliwych stosunkach materyalnych. Z majątku swego nie mógł korzystać z powodu ciągłych wojen, które weń wniosły zupełną ruinę. Żył więc i utrzymywał się prawie jedynie z pensyi, pobieranéj od elektora (4).

Było to królowéj bardzo na rękę: pieniądz mógł tu działać wiele, a o pieniądz dzięki Ludwikowi XIV nie było trudno. Umyśliła więc Marya Ludwika wyrobić mu stałą u króla pensyę, zwłaszcza, że Morsztyn zapewnił, iż Radziwiłł jest usposobiony przychylnie dla królowéj i jéj stronnictwa i gotów porzucić zupełnie elektora, byle względy materyalne nie stały na przeszkodzie. Za Radziwiłłami i Pacami pójdzie większość szlachty litewskiéj, a może i cała Litwa, jeśli Sapieha—czego się spodziewano—rękę do sprawy przyłoży. Pac bowiem donosił, że czyni gorliwe zabiegi około naprawienia niezgody, jaka go dzieliła od hetmana: rzecz była na drodze do pomyślnego załatwienia (5).

---

(1) T. Luk. XII. k. 11: De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Janv. 1664.

(2) T. Luk. XII. k. 13. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 18 Janv. 1664.

(3) List Jana Kaz. do Maryi Lud. (Z teki dra Liskego): dal campo sotto Głuchow, il 7 di Febrajo 1664.

(4) T. Luk. XII. k. 43—4. [La reine de Pol. à M. de Noyers]. Vars. 4 Mars 1664.

(5) Ibid. u. s. k. 44.

Zdawało się z téj strony wszystko składać w myśl intencyi dworu. A ponieważ z innéj strony, z Zadnieprza dochodziły właśnie wieści, które pierwotny plan królowéj (osnuty na tle wyprawy) nagle zniweczyły, tém goręcéj chwyciła się ona teraz nowéj myśli, pragnąc korzystać z pomyślnego usposobienia Litwy: a to pozyskania armii litewskiéj za pomocą magnatów (1). Wojsko — tak układała sobie — zażąda za przewodem swych panów obioru następcy tronu: podsunie się im kandydata w osobie Enghien'a, sprowadzi nawet księcia w razie potrzeby na Litwę (2)—i elekcya przyjdzie do skutku. Za w. księstwem przystąpi do sprawy Korona — chcąc niechcąc—w obawie, aby nie stracić korzyści unii i nie rozrywać całości rzeczypospolitéj.

Trzebaż było, aby w téj chwili, kiedy powodzenie sprawy zdawało się zależéć jedynie od zgodnego współdziałania senatorów litewskich z koronnymi, z dworem i jego stronnikami,—ci ostatni, najgorliwsi peplecznicy d'Enghien'a, narzędzia planów Ludwika XIV i Maryi Gonzagi, sami zerwali to dobre porozumienie, które z takim trudem udało się sklecić chwilowo....

Oto na radzie 'wojennéj w Siewsku wnet po połączeniu obu armii, 18 lutego przyszło do gwałtownego zatargu w samém łonie stronnictwa francuskiego. Dawna zawiść względem Krzysztofa Paca,

---

(1) T. Luk. XII, k. 61. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 17 Avr. 1664: „Ce moyen (l'éxpédition en Moscovie) venant à manquer, la reine songe à un autre, qui est de s'acquérir toute la Lituanie, ce qu'elle fera, si elle se peut assurer du Sapiha et du prince Razevil, puisque ceux-ci avec le grand-chanceller sont trois seuls qui peuvent former quelque parti dans le grand-duché.“ Mowa tu jest wogóle o pozyskaniu całéj Litwy; ale w liście de Lumbres'a do Kondeusza (T. Luk. XXXIII, k. 89, 18/4 1664) wyraźnie zaznaczono, że królowa miała na myśli w szczególności armię: „......la reine veut maintenant gagner *toute l'armée de Lituanie.....*“

(2) Mimo, że oficyalnie królowa i jéj stronnicy stale zaprzeczali, jakoby mieli na myśli sprowadzenie Enghien'a do Polski dla przyspieszenia elekcyi i nawet za rozszerzanie wieści o takim zamiarze kryminał zadawali późniéj Lubomirskiemu, nie ulega wątpliwości, że jakiś czas faktycznie i zupełnie na seryo plan ten zajmował uwagę Maryi Ludwiki. Znajdujemy na to dowody już w listach, datowanych ze stycznia r. 1664; inne listy późniejsze dowodzą, że plan ten i późniéj był wznawiany, a raczéj i nadal się utrzymywał. T. Luk. XXXIII, k. 87, Caillet à St. Martin, S. l., le 25 Janv. 1664: „Pour ce que vous écrivez du voyage de Mr. le duc en Pologne, son Altesse m'a dit *qu'au premier avis, que M. le duc aura de l'intention de Sa Majesté là-dessus, il sera prêt de faire ce voyage-là.*“ Również T. Luk. T. XII, k. 53 [La reine de Pologne à M. de Noyers], Varsovie, le 3 Avril 1664, królowa sama pisze: „*Enfin il faut penser...... au temps, que M. le duc d'Enghien pourra venir ici pour s'y faire connaître.*“ A jeszcze we wrześniu pisze Kondeusz do de Noyers'a (T. Luk. XXXIII, k. 94, 31/10 1664): „Pour ce qui est de la sûreté de nos personnes au cas qu'il faille que nous fassions ce voyage (en Pologne), nous y pourvoirons le plus qu'il nous sera possible.“

którą żywili nie tylko panowie litewscy ale i koronni, Stanisław Rewera Potocki, hetman w. kor., Czarnecki, wojewoda ruski, a szczególniéj kanclerz Prażmowski, wybuchła teraz żywym płomieniem. Pac bowiem był współautorem owéj myśli pochodu na stolicę sąsiedniego państwa (1); plan runął, a „kiedy wszystkie poszły im wstecz rzeczy, sami między sobą uczynili warchoł, jeden na drugiego kładąc winę, a najbardziéj na pana kanclerza litewskiego“ (2), który téż przeczuwając, na co się zanosi, na radę nawet nie przybył. Od złorzeczeń przyszło do pogróżek.... „Za te jego rady — zaklinał się Potocki — którymi króla do takowych przywiódł labiryntów, sam za kudły wziąwszy, utnę mu szyję!...“ I dobył przytém szabli (3). Równie namiętnie przemawiali i inni: Prażmowski najgwałtowniéj nastawał na kolegę z Litwy. „Jakoż przy konkluzyi rozjazdu z sobą się pp. kanclerze mocno powarcholili; dlaczego i w jednę z sobą nie przyszło im jechać drogę, albowiem pan kanclerz litewski z królem IMcią jechał do Litwy, ksiądz zaś kanclerz z IMcią panem wojewodą krakowskim tu tędy na Dymir Polesiem....“ (4).

Dzieło napoczęte zaczęło się więc psuć i rozpadać na nowo. Trzeba było się spieszyć, aby zażegnać grożącą burzę. Nie starczyły tu listy: piśmienne perswazye rzadko odnoszą skutek, bo nie ma konieczności dawać na nie odpowiedzi. Uczuła królowa, że czas jéj do energiczniejszych zabrać się kroków, że konieczną jest jéj obecność, aby mir ponieść między zwaśnionych. Powzięła przeto plan podróży na Litwę naprzeciw króla (5). Ufała tyle wpływom swéj

---

(1) Wiemy bowiem, że miesiąc przedtém, w styczniu jeszcze, na radzie wojennéj pojawiły się już głosy za powrotem z Zadnieprza na Ukrainę; a wtedy Krzysz. Pac radom tym się sprzeciwił. T. Luk. XXXIII, k. 88, De Lumbres à Caillet, 14/II 1664: „Dans le conseil de guerre, tenu le 12/I, presque tous les officiers étaient d'opinion, que le roi se retirât et laissât les armées agir seules, ne pouvant s'engager dans un pays où il est difficile et impossible de se retirer après le dégel. *Le grand-chancelier* (de Lituanie—jak widać z poprz. słów) *est au contraire d'avis de marcher droit à la ville capitale, pour y jeter la terreur et la confusion.*“

(2) Por. List Samuela Czaplickiego do Jerz. Lubomirskiego, Dan z pod Sośnicy, 12 Martii a. 1664 (Zbiór pam. do dziej. pols. hr. de Broel-Platera. IV, 155).

(3) Ibid. u. s. str. 156.

(4) Loc. s. cit (jak w poprz. uwadze).

(5) T. Luk. XXXIII, k. 89, de Lumbres à [Condé]. Vars. 18/IV, 1664: „Comme cela a manqué, la reine veut maintenant gagner toute l'armée de Lituanie par le moyen du grand général, le lier avec le grand-chancelier (par le mariage de sa fille avec Michel Pac) et Radzivill. *C'est pour cela que la reine veut aller au devant du roi en Lituanie.*“ Również T. Luk. XII, k. 54: *La reine de Pologne* à M. de Noyers. Vars. 3 Avr. 1664: „L'on m'écrit d'auprès du roi les brouilleries survenus entre les chanceliers. *Il faut que*

wymowy i umiejętności zyskiwania ludzi, że spodziewała się usunąć wszelkie zwady i rozterki, działając osobiście, ręka w rękę z królem. Nie omieszkała też poruszyć wszystkich sprężyn, aby nie doznać zawodu. Hetmanowi litewskiemu przypomniała się uprzejmym listem; odezwała się nie mniéj do przyjaźni hetmanowéj i jéj siostrzenicy, prosząc o pomoc w kłopocie (1). Zdarzyła jéj się wtedy wreszcie i sposobność nawiązania bliższych z Bogusławem Radziwiłłem stosunków: książe przyjechał do Warszawy 9-go kwietnia. Nie obeszło się — co prawda — bez skazy i wyrzekań ze strony pretensyonalnego ministra: nie mógł on zapomniéć zawodu, jakiego doznał w staraniach o wakanse po Gąsiewskim, uprzedzony przez Michała Paca. Ale królowa zwyciężyła: Radziwiłł zobowiązał się do wszystkiego, czego żądała, obiecał natychmiast porzucić marszałka, dotychczas bliskiego przyjaciela, a nawet pogodzić się z kanclerzem litewskim. Otrzymał w zamian obietnicę piętnasto-tysięcznéj pensyi (we frankach) (2). Swoją drogą dostał odpowiednią naganę Prażmowski za porywcze postępowanie: poleciła mu królowa listownie, aby pierwszy podał rękę do zgody i Czarnieckiego do niéj nakłonił (3).

Podróż była zatém postanowiona i ułożona z królem, który w swoich listach myśl szczęśliwą popiera usilnie i wielokrotnie jak najwcześniejszego jéj spełnienia się dopomina (4).

Ale nad Maryą Ludwiką ciążyło jakieś fatum: od Nowego roku niczego do skutku przywieść nie mogła. Każde dzieło wiodło jéj się zrazu, obiecywało nawet świetne rezultaty: w chwili stanowczéj zaszło zawsze coś, co plan cały obracało w niwecz. Kiedy już zarządzono przygotowania do podróży i zamiar długo żywiony miał wejść w życie nareszcie: królowa zapada nagle — 23 kwietnia — w ciężką gorączkę. Choroba w końcu miesiąca przybrała groźne rozmiary: z obawy, by zbyteczna krwistość nie sprowadziła złéj katastrofy, pięć razy musiano krew oddalać sztucznie. Kryzys nastąpiła 30-go

---

je les voie pour leur faire reprendre de bons sentiments l'un pour l'autre parce qu'autrement notre parti en pourrait souffrir. . . ."

(1) T. Luk. XII, k. 54 (w miejscu pod. w uw. 5, str. poprz.).

(2) T. Luk. XII, k. 59. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 11 Avr. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 64—5. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664.

(4) Por. listy Jana Kaz. do Maryi Lud. (Z teki D-ra Liskego [z braku paginacyi numerujemy je wedle porz. dat]). *Nr. 3:* Krzyczew, il 24 di Marcio [1664]. *Nr. 5:* A Mohilow, 1 Avr. 1664. *Nr. 6:* Da Mohilewo, 5 d'Aprile [1664]. (Pisze w tym ostatnim w PS.: „Aspetto con grandissima impazienza la risposta delle mie lettere, nelle quali vene prego di venire a trovarmi im Lituania. . , ."). Podobnież *Nr. 7:* Mińsko 28 d'April [1664], etc. etc.

i minęła szczęśliwie. Gorączka w pierwszym tygodniu przebyła swoje maksymum: w następnym zwolna ustępowała (1). 6-go maja zaszło chwilowe pogorszenie; dziewiątego z choroby pozostało już tylko wielkie wycieńczenie i osłabienie.

Lekarze nie pozwalali ani myśléć o dłuższéj podróży (2); dwóch co najmniéj miesięcy będzie potrzeba, aby rekonwalescentce wróciły wszystkie siły. Tak téż było rzeczywiście. Cały maj i czerwiec zachodziła ciągła obawa recydywy: zdrowie wzmacniało się bardzo powolnie i wymagało szczególnego starania (3).

Ten przypadek, który do głębi wstrząsnął szczerze do żony przywiązanym królem (4) i przykre wywołał wrażenie w kołach, gdzie królowa, skądinąd nie lubiana, dla swych przymiotów osobistych serdeczną i niekłamaną cieszyła się sympatyą, uniemożliwił oczywiście projekt podróży na Litwę, jakkolwiek Jan Kazimierz podnosi go jeszcze nieraz w swoich listach (zawsze w nadziei, że czas zatarł już ślady przebytego cierpienia) i chociaż królowa powraca doń także niekiedy, złudzona chwilowo dobrym stanem zdrowia..... Z powrotem niemocy usuwała się dawna myśl znowu z porządku dziennego (5).

---

(1) Gaz. de France, De Varsov. 4 May 1664.—T. Luk. XII, k. 65. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 26 Avr. 1664. — Ibidem k. 66. De Lumbres à M. de Lionne. Varsovie 2 Mai 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 67. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 9 Mai 1664. — Gaz de France: De Warsovie, 10 May, 1664.

(3) Loco s. cit.

(4) Listy Jana Kaz. kr. pol. do Maryi Lud. (Z teki D-ra Liskego): Nr. 8. Mińsko. 6 di Magio. — Nr. 9. Mińsko, il 9 di Magio. — Nr. 10. List Trabuc'a do Maryi Ludwiki. A Mińsko, 16 May, 1664.

(5) I tak np. 16 maja pisze królowa sama do Kondeusza (T. Luk. XL, Nr. 19, k. 19), że zły stan zdrowia nie dozwala jéj więcéj, jak kilka słów skreślić, a mimo to, jak widzimy z listu de Lumbres'a do Ludwika XIV z 22-go maja (T. Luk. XII k. 71) projektuje znowu podróż do Litwy („.....elle souhaite pouvoir se rendre auprès du roi dans trois semaines ou un mois, comme elle espère de faire.... si sa santé se trouve alors assez rétablie pour le permettre."). Tymczasem dowiadujemy się, że w kilka dni potém dostaje znowu gorączki (Gaz. de France: De Wars. le 26 Mai 1664). Ledwie powróciła do zdrowia po téj recydywie, już i dawny plan znowu się odnawia. Porów. Gaz. de France: De Warsovie 9 Juin 1664: „La reine de Pologne, à présent en parfaite santé (?), ayant eu avis de Wilna, que le roi devait estre ici, le 20 de ce mois, se dispose pour aller au devant de lui."—Ale w tydzień potém czytamy w tejże saméj Gazecie (G. de Fr. de Wars. 16 Juin, 1664), że plan ten nie mógł przyjść do skutku; królowa bowiem czuje się znowu tak osłabioną, że chociaż wyjeżdża na przechadzkę powozem, to jednak lekarze nie radzą jéj wydalać się z Warszawy i wogóle puszczać w jaką dłuższą drogę. I tak powtarzało się ciągle: a skutkiem tego projekt podróży na Litwę upadł ostatecznie zupełnie.

Marya Ludwika zniewolona więc była pozostać w Warszawie i przekazać rozpoczętą około Litwy pracę mężowi i Pacom. Plan pozyskania armii litewskiéj nie rozpłynął się wprawdzie, ale wykonanie jego musiało się przeciągnąć. Stracono wiarę w możność wczesnego wykonania owego zamachu na konstytucyę z roku 1662 o elekcyi, zapomocą armii. I może się to dobrze złożyło, że plan podróży do w. księstwa rozbił się na razie,— bo zbieg innych okoliczności sprawił, że obecność królowéj stała się w stolicy niezbędną. Nie od Litwy, lecz skąd inąd nadciągały chmury: zbierała się jakaś burza nad Koroną.... Trzeba było ją zażegnać.

Na ponurém tle zasnutego tymi chmurami horyzontu miała się teraz zarysować inna postać: Jerzy Lubomirski zabierał się do swego dzieła.

(*D. c. n.*) *Wiktor Czermak.*

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

V.

Do chaty Piotra istotnie zajrzało nieszczęście, nie zaraz jednak i nie takie, jakie przewidywała Rozalka. Obszerną izbę, w słoneczny dzień październikowy napełniali ludzie, którzy tam z radami i pocieszeniami przychodzili. Jakkolwiek Piotr od lat już paru przestał być starostą, jednak powaga obejścia się, rozważność mowy, nadewszystko zaś może zamożność jego, jednały mu szczególne poważanie i przychylność, wśród mieszkańców Suchéj Doliny. Gdy tylko więc wieść o nieszczęściu, które go dotknęło rozeszła się po wsi, ten i ów z gospodarzy przychodził, aby rozpytać się o szczegóły zdarzenia i ze zmartwionym sąsiadem pogadać, powzdychać, głową pokiwać. Zdarzało się to tém częściéj, że roboty letnie i jesienne były już prawie skończone, a od cepa i toku stodoły łatwiéj oderwać się na godzinkę, niżeli od pługa i zagona. Piotr młodszemu synowi rozkazał żyto w stodole młócić a sam zamierzał zrana udać się za pługiem, na pole, dla wyorywania kartofli. Ale południe już było blizkiém, a on nie mógł jeszcze wydalić się z chaty. Myślał wciąż o kartoflach, kilka razy już drzwi otwierał, aby iść konie do pługa zaprzęgać, ale za każdym razem wracał i znowu na ławie, pod ścianą izby siadał. Nie wyrzekał głośno i nawet nie wzdychał, tylko widocznie ręce mu bezwładnie na kolana opadały, ochota do niczego nie brała i czoło zmarszczyło się w głębokie fałdy. Na pozdrowienia wchodzących sąsiadów odpowiadał krótkiem: *na wieki wieków*! i znowu zapadał w milczenie. Czasem, rękę do czoła podnosił i ustami poruszać zaczynał tak, jakby żegnał się i pacierze mówił. Sąsiedzi stawali przed nim, albo rozsiadali się na ławie i zadawszy kilka zapytań, podziwiwszy się trochę, głowami pokiwawszy, milczeli także, wzdychali i odcho-

dzili a na ich miejsce przychodzili inni. Tak było z mężczyznami. Ale z kobietami działo się wcale inaczéj. Tłumnie otaczały one tapczan, na którym leżał chory, gadały, doradzały, nad Agatą, która na ziemi u tapczana siedząc cicho płakała, głośne lamenta zawodziły. Chorym był Klemens. Urodziwego parobka sroga jakaś gorączka niby kosa trawę podcięła. Pod kraciastym kilimkiem leżał on nieruchomy, nakształt kłody drzewa, z twarzą ziejącą ogniem, wciąż jękliwym głosem matkę ku sobie przywołując. Piotrowa podnosiła się z ziemi, stojący obok dzbanek z wodą brała i klęcząc, brzeg jego do ust synowskich podawała. On pił chciwie, jéj łzy ciekły po zżółkłéj od zgryzoty twarzy. Nie krzyczała jednak, rąk nie łamała i rzadko nawet odzywała się do sąsiadek. Zawsze była ona najcichszą prawie z całéj wsi niewiastą, tak już przy swoim poważnym mężu i w swojéj spokojnéj chacie być przywykła. Inne za to kobiety, tapczan ścisle otaczając i choremu przypatrując się gwarzyły jak na targu, lub zawodziły jak na pogrzebie Łabudowa, gospodyni tak jak i Agata zamożna i poważna, prawiła.

— Nie wytrzyma, już ja wiem, że nie wytrzyma, już ja może dziesięciu ludzi w takiéj chorobie widziała i żaden nie wytrzymał.

Piotrowa rzewniéj jeszcze płakać zaczęła i z twarzą w dłoniach aż zakołysała się cała z żałości, ale żona Maksyma, Bohdanka, tęga i zamaszysta baba, złowróżbną sąsiadkę od tapczana odepchnęła.

— Czemu nie wytrzyma? czy to zmiłowania boskiego nad grzesznymi ludźmi nie ma? Pan Bóg najwyższy zmiłuje się i uzdrowi. Agata! hładysz mi dajcie, prędko! Słyszycie, Agata? jemu trzeba hładysz do *żywota* przystawić!

Paraska Szymonowa z małém dzieckiem na ręku i dwoma starszemi, które czepiały się jéj spódnicy, skora do płaczu, bo zawsze prawie głodna i skłopotana, palcami rozmazywała sobie łzy po chudych policzkach i zawodziła.

— Oj, bogate takie i szczęśliwe ludzie, a *taki* spadła na nich zgryzota! Oj, Klemens, Klemens, żebyś ty był lepiéj na tę łąkę nie pojechał, na tym deszczu nie przemókł i nie wyspał się na téj zgniłéj kopicy! Oj, z téj zgniłéj kopicy choroba ta wylazła i w twoje ciało wlazła... oj, biednaż twoja młoda główka, biedna!

Młody parobek istotnie przed kilku dniami jeździł na dość oddaloną łąkę, dla zabrania z niéj wprzódy już skoszonéj otawy, w drodze zmókł na ulewnym, jesiennym deszczu i noc przespał na stożku zgniłéj od wilgoci trawy. Nazajutrz do domu wróciwszy kożuch włożył bo go dreszcze trzęsły, lecz że dnia następnego chłopcy wiejscy mieli w stawie niewodem ryby łowić, poszedł wraz z nimi, zdjął na brzegu odzienie, po ramiona prawie wlazł w wodę i przez parę go-

dzin pomagał niewód ciągnąć. Po téj już wyprawie był na tapczanie i od dwóch dni zeń nie wstawał. Przytomnym był zupełnie, tylko czasem na różne bóle wyrzekał, a teraz tak zajęczał, że stara Łabudowa ręce jak do pacierza splotła i z nogi na nogę przestępując, Agatę zapytała.

— A gromnica jest u was? Już jemu biedakowi gromnicę by w rączki włożyć.

Budrakowa ze swéj strony wołała o hładysz, aby go do *żywota* choremu przystawić, inne kobiety szeptały o księdzu i przenajświętszych sakramentach; młodziutka, wysmukła dziewczyna, w cienkiéj koszuli i z żółtym kwiatem za uchem, która przy oknie stała i na chorego Klemensa jak w tęczę patrzała, zajęczała głośno.—Oj! Boże mój Boże!—Była to córka Maksyma Bodruka, najładniejsza i najbogatsza dziewczyna we wsi, która tu niby po matkę, ale w istocie z niespokojności o ładnego parobka przyszła i wstydliwie w milczeniu, przy oknie stanęła. Piotrowa zachodząc się od płaczu, dźwignęła się z ziemi i poszła do komory po hładysz i po gromnicę a flegmatyczna Paraska, krok w krok za nią wraz z trojgiem dzieci swych chodząc, z uporem ogłupiałych i rozlazłych istot, wciąż swoje powtarzała.—Oj, żeby on był nigdy na tę łąkę nie jechał, na tym deszczu nie zmókł i nie przespał się na téj zgniłéj kopicy!

W tém, pomiędzy gwarzącemi kobietami i tuż za Piotrową, która *hładysz* Bodrukowéj podawszy, z kawałkiem woskowéj świecy w ręku znowu na ziemi u nóg syna usiadła, zabrzmiał najdonioślejszy ze wszystkich, ostry i syczący głos niewieści.

— Ale, albo to od łąki i od deszczu i od kopicy ta choroba na niego przyszła? Od czego innego ona na niego przyszła i nie Boska w tém wola jest, ale czyja inna!

Słowa te wymówiła Rozalka, która dnia tego już kilka razy wpadała do Piotrowéj chaty i popatrzywszy chwilę na chorego, wybiegała z niéj, aby po kwadransie lub godzinie powrócić znowu. Z ruchliwéj i ognistéj jéj twarzy poznaćby można, że czuła się czémś mocno zdziwioną i zakłopotaną. Spodziewała się wcale czego innego niż to, co się stało. Za wrotami Piotrowéj chaty stawała i z palcem do ust przyłożonym dumała głęboko. Potém biegła do domu, aby strawę gotować i lnu choć trochę natrzéć, była to bowiem pora tarcia lnu, a Rozalka za lnem przepadała i pomimo wszystko, zupełnie o nim zapomniéć nie mogła. Przytém, Stepan który żyto młócił, parę razy już przez drzwi stodoły na nią zawołał, aby z chaty nie odchodziła, bo zaraz pójdzie za nim na pole kartofle zbierać. Była więc dnia tego na wszystkie strony rozrywaną. Tu len trzéć chciała, tam mąż ją wołał, owdzie znowu, w chacie Piotra, ważną sprawę załatwić

musiała. Ze wszystkiego jednak, co na świecie istniało, ta sprawa najbardziéj na sercu jéj ciężyła, więc raz jeszcze wpadła do chaty Piotra i usłyszawszy dowodzenia Paraski o przyczynach choroby Klemensa, zawołała.

— Ale nie od łąki i nie od deszczu i nie od zgniłéj kopicy tu choroba na niego przyszła! Nie Boska w tém wola, ale czyja inna.

A gdy wszystkie prawie obecne kobiety, nie wyłączając Budrakowéj, która już z hładyszem w ręku nad chorym stała, oczy na nią zwróciły się, splotła na fartuchu ciemne swe małe, ruchliwe ręce i wymówiła.

— To jest *zrobione*?

— Co? zapytał chór niewieścich głosów.

— A taż choroba. Ją któściś jemu zrobił.

Teraz, kilku mężczyzn, którzy w milczeniu naprzeciw Piotra siedzieli i sam Piotr przysłuchiwać się zaczęli babskiéj rozmowie. Chory nawet zwrócił ku mówiącéj przyćmione cierpieniem, ale przytomne i pytające oczy.

— Aaaa! zadziwiło się parę kobiecych głosów, a któż to taki zrobił?

Z nogi na nogę przestępując i oczami błyskając, Rozalka zaczęła...

— Ja wiem kto. Ta co jemu ziele jakieś na lubienie dawała. *Musić* nie takie ono było jak trzeba, to i zamiast lubienia chorobę zrobiło. Paru mężczyzn lekceważąco skinęło rękami a Klemens na Rozalkę popatrzał i wstydliwie brodę pod kilimek wsuwając pomimo bólów swych, parsknął krótkim śmiechem. Wiadomość o tém, że ktoś mu ziółko na lubienie dawał, zawstydziła go nieco, lecz więcéj jeszcze ucieszyła. Zajęczał zaraz, bo go w krzyżach srodze zabolało, niemniéj przecież przyćmiony wzrok swój na ładną Budrakównę zwrócił, jakby chciał jéj powiedziéć. —A co? widzisz, jaki to ja! Ale hoża dziewczyna aż zbladła od przestrachu i wylękłe swe oczy w Rozalkę wlepiała. Inne kobiety pootwierały zrazu usta, potém zwiastunkę dziwnéj wieści pytaniami osypywać zaczęły. Ona ze zwykłą swoją żywością do Piotra się zwróciła.

— *Chadzi*, Pietruk, zawołała, tobie *skażu*. Nikomu, nie *skażu*, ale tobie *skażu*. Ty ojciec i *pomstowanie* za krzywdę syna do ciebie należy.

Piotr wstał i za kobietą, która go za rękę chwyciła, do sieni wyszedł. Tam, w pół zmroku z kwadrans ze sobą rozmawiali. W izbie tymczasem zapanowała cisza; Budrakowa *hładysz* do żołądka chorego niby olbrzymią bańkę przystawiała. Na dworze dał się słyszéć głos męzki, niecierpliwie wołający Rozalki. Ona mu z sieni krzykli-

wie odpowiadała.—Zaraz! zaraz! Stepan z pługiem zaprzężonym parą koni zatrzymał się przed chatą stryjecznego brata i żony doczekać się nie mogąc, klął ją straszliwie. Po kwadransie dopiero, Piotr wrócił do izby widocznie wzruszony i rozgniewany. Czoło jego sfałdowało się więcéj jeszcze niż przedtém, a zwykle łagodne oczy rzucały ostre błyski z pod ściągniętych i zjeżonych brwi. Zrazu jednak nic nie rzekł, tylko ze zgiętym grzbietem i pochyloną głową na ławie usiadłszy, splunął i zamruczał.

— *Zhiń, przepadnij nieczystaja siła*!

Potém na syna badawczy wzrok zwrócił i zapytał.

— Klemens! pił ty niedawno miód z Franką, Jakóbową wnuczkę? ha? pił, czy nie? odpowiadajże!

Parobkowi trudno było na to pytanie odpowiedziéć. Wstydził się, brodę wraz już z ustami pod kilimek wsuwał.

— Nie dokuczajcie, *baćku*, *wielmi* w kościach boli! zajęczał.

— Ja nie dla dokuczania pytam się, tylko dla wiadomości, odparł Piotr i proszącym prawie głosem dodał. Po ojcowsku ja pytam się ciebie, czy pił ty w karczmie miód z Franką, Jakóbową wnuczką?

Ładna Budrakówna w płomieniach cała stanęła. Ona wiedziała o tém, że Klemens brzydką i biedną Frankę zaczepia i chciała nieraz gniewać się za to na niego srodze, ale nigdy nie mogla. W naturze już jéj gniewu nie było. Odwróciła się więc tylko znowu do okna i głośno nos w palce utarła. Poczem pilnie słuchała, co będzie daléj. Nu, badał daléj Piotr syna, pił, czy nie pił?

— Pił, jękliwie odpowiedział Klemens, taj, cóż takiego że pił?

Piotr rozpaczliwym ruchem głową rzucił.

— Nu, rzekł, to ty z tym miodem i chorobę tę wypił. Dziéwka ci do niego paskudnego ziela nasypała. Na śmierć nie na życie, na *pohybel* nie na lubienie, ziele te wiedźma ludziom daje...

Kilka kobiet splasnęło w dłonie. Piotrowéj oczy zmęczone, spłakane, z wyrazem obłąkania prawie na mówiącego patrzały.

— Wiedźma! rozległ się chóralny krzyk.

— Kowalicha! przez zaciśnięte zęby dokończył Piotr, przyczém z ławy wstał i do komory poszedł. Po chwili wrócił, niosąc Ewanielję owę, z któréj pomocą Pietrusia niegdyś złodzieja odgadywała. Przystąpił do chorego syna i uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, starą książkę nad samą głową, na poduszce mu położył. Czyniąc to szeptał.

— Może jeszcze Pan Bóg zlituje się nad nami nieszczęśliwymi Może Boska siła przezwycięży *czortouskuju siłu*. Może ty synku wyzdrowiejesz i sam na téj nieprzyjaciółce ludzkiego rodu krzywdę swą pomścisz! Może ja jeszcze na wiosnę orać z tobą razem pójdę; może ja jeszcze na twoje wesele patrzéć będę...

Kreślił w powietrzu nad synem nieskończoną ilość krzyżów, świętą księgę do głowy mu przyciskał a kilka grubych łez stoczyło się z jego oczu, po ściągłych, bladawych policzkach. Klemens udzieloną mu wiadomością i słowami ojca przeraził się i wzruszył bardzo; głowa silniéj mu zapłonęła, oczy nabrały rażącego blasku, zaczynał tracić przytomność, okropnie jęczeć i kląć. Kobiety ze swéj strony uderzyły w krzyk i płacz, wołały, że już po wszystkiém, że po księdza posyłać trzeba, że nawet księdza chory nie doczeka; Łabudowa gromnicę zapaliła i w ręce chorego wetknęła; Budrakówna przed oknem na klęczki upadła i z głośnym płaczem krzyczéć zaczęła: Wiecznež odpocznienie duszyczce jego daj, Panie! Piotr głowę tracąc, szedł już, aby konie zaprzęgać i po księdza jechać, a idąc, trząsł się cały z żalu i ze złości, od czasu do czasu z za zaciśniętych zębów wyrzucając straszne przekleństwa.

— *Kab* jéj nogi połamało! *kab* ona światu za płaczem nie widziała, wiedźma ta przeklęta, nieprzyjaciółka Boża, dusza chrześcijańska *czartouskiej* sile zaprzedana!

Piotrowa zapaloną gromnicę w rękach syna ujrzawszy, po raz pierwszy przeraźliwie krzyknęła, zarazem, z błyskawiczną szybkością chustkę na rozczochraną głowę narzuciła i z chaty wybiegła. Biegła naprzód ulicą wiejską, potém skręciła na tę wązką ścieżkę, która pomiędzy ścianami stodół a opłotkami ogrodów ku domóstwu kowala wiodła.

Były to jasne dnie babiego lata. Nad ziemią wisiały błękity nieba, blade lecz tak czyste, że niepodobna by na nich dopatrzéć najlżejszéj chmurki. Z pobladłéj i jakby zmalałéj tarczy słonecznéj, płachta niezmąconego światła spadała na ciemne pola, których nagości nie przysłaniały szczupłe cienie drzew, nawpół ogołoconych z liści. Gaje rozrzucone po wzgórzach stały całe w złocie i w przeróżnych odcieniach purpury, a powietrze przeniknięte rzeźwym i suchym chłodem było tak ciche i czyste, że najlżejsze drgnienie nie poruszało srebrnych pajęczyn, wieszających się po gałęziach drzew, krzewach polnych i badylach ogrodów, że widnokrąg wyglądał jak okrągła tarcza, wypukłemi rzeźbami napełniona i kloszem z najprzezroczystszego kryształu okryta. W cichym krysztale powietrza i łagodném świetle słońca, pomiędzy szmatą zoranéj roli a ogrodem pełnym uschłych badyli, domostwo kowala przedstawiało obraz głębokiego spokoju, ożywionego migocącemi w słońcu szybami małych okien. Cisza zalegała pole i ogród, bielejącą za ogrodem ławicę piasku i srebrnie za piaskiem połyskującą szybę stawu; przerywały ją tylko dwa odgłosy pracy ludzkiéj: miarowe, twarde, silne uderzenia

kowalskiego młota i miarowe także lecz daleko szybsze i mniéj głośne stukanie, trącéj len *cierlicy*. To ostatnie zdawało się wtórzyć pierwszemu a z ciężkich uderzeń młota i szybkiego tententu cierlicy, z dymu wijącego się nad kominem domu i płomienia błyskającego za otwartemi drzwiami kuźni, z rozlegających się w ogrodzie głosów dziecinnych i głuszącego je czasem piania kogutów, w łagodną harmonię i ciche ukojenie otaczającéj natury, tryskał zdrój czystego, zdrowego, pracowitego życia.

Michał naprawiał w kuźni pługi nadwerężone orką jesienną, Aksena pod złotawą jabłonią ogrodu na uschłéj trawie siedząc, w ostatniem cieple słoneczném rozgrzewała swe stare kości, a przy niéj mały Stasiuk, ku zachwyceniu dwóch mniejszych jeszcze dziewczynek, dmuchał w drewnianą gwizdawkę, wydającą z siebie piszczące i przeraźliwe tony. W izbie chaty, przyciemnionéj nizkim sufitem, firankami z kwiecistego perkalu i kilku doniczkami z geranium, mirtem i piżmem, oprócz śpiącego w kołysce dziecka nikogo nie było. Na ziemi, ławach, stołkach, nawet na trzech paradnych krzesłach, piętrzyły się tam ciemne snopy wymoczonego i wysuszonego lnu, jeden zaś kąt sporéj sieni napełniały wysoko białawe głowy kapusty. Niedarmo te ostatnie dni pogody i słońca noszą nazwę babiego lata. W nich to na pracownice wiejskie spada istotny grad robót różnych. Pietrusia dziś od świtu ścinała kapustę i znosiła ją do domu a teraz pod ścianą chaty ustawiwszy narzędzie długie i wklęsłe, lnu weń nakładła i uderzając go deską opatrzoną w nagłówek, miękkie włókna rośliny ogałacała z ich suchéj i twardéj powłoki. W podniesionéj nieco spódnicy i grubéj koszuli, bosa i w okrągłym czepku z czerwonéj bawełnicy, z pod którego ciemne i gęste włosy wymykały się na szyję jéj i czoło, prędko, coraz prędzéj uderzała deskę *cierlicy* a sucha *kostrzyca* wzbijała się w powietrze, osypywała jéj odzież i owijała ją całą złotawą w słońcu kurzawą. Robota była ciężką; pracownica krztusiła się suchym pyłem, oddychała szybko i głośno, grube krople potu wystąpiły na czoło jéj i policzki, jedna z jéj rąk zakrwawiła się w paru miejscach. Ani na chwilę jednak roboty téj nie przerywała i była w niéj tak pogrążoną, że nie usłyszała otwierania się wrót małego dziedzińca, ani śpiesznych stąpań zbliżającéj się ku niéj kobiety i wtedy dopiero głowę podniosła, gdy o kilka kroków od niéj głos kobiecy, od płaczu i gniewu ochrypły, wymówił.

— Niech *czort* pomaga! Bodajby ty ze lnu tego sobie i swoim dzieciom śmiertelne koszule utkała!

Podniosła głowę i oczy jéj spotkały się z błyszczącemi oczami Agaty. Wyprostowała się, ręce jéj wzdłuż spódnicy opadły. Słowa

Piotrowéj przeraziły ją widocznie. Wczoraj już Franka przybiegała do niéj z wieścią o chorobie Klemensa. Byłaby zaraz do dawnych gospodarzy swoich pobiegła, aby dowiedzieć się, co tam słychać, pocieszyć, może dopomódz, ale wiedziała, że źle tam o niéj gadają i że odwiedzin jéj nie żądają wcale. Piotrowa sama przyszła i od przekleństwa zaczęła. Nie przywykła do łajań i krzyków, zrozpaczoną matka, z twarzą zżółkłą i zmalałą, stała i teraz w swych płytkich trzewikach i dużéj chuście na głowie, nie miotając się jakby czyniły inne, owszem, bez ruchu prawie i tylko srogim wzrokiem na nią patrząca. Na Pietrusię nieruchomość ta, ten wzrok w nią utkwiony i te wyrzucone przekleństwa, wywarły wrażenie takie, że aż jęknęła i niby przed widmem cofnęła się o kroków parę.

— Czego chcecie, ciotko? — wyjąkała.

Teraz Piotrowa głową kiwała i po razy kilka, jakby jéj oddechu do dłuższego mówienia brakowało, powtórzyła: — Oj ty! oj ty! oj ty!

— Oj ty niegodziwa! — wybuchnęła nakoniec, toż ty przez tyle lat chléb nasz jadła, toż my ciebie, jak co dobrego lubili i hołubili... Za co ty nam teraz syna otruła?.. ha?

Piotrusia rękami splasnęła.

— Ja wam syna otruła? ja!

Agata postąpiła naprzód i zbliżyła się do niéj tak, że rozdzieliła je tylko wązka *cierlica.* Szyję wyciągnęła i w twarz młodéj kobiety wpiła jadowite, błyszczące spójrzenie. Z przeciągłem syczeniem słowa z jéj ust wychodziły.

— Co ty jemu zrobiła? *Skaży*, co zrobiła? jakie ziele téj dziéwce dała, żeby go ona niém napoiła? Nie dawała może? ha? *Skaży*, że nie dawała? Zełżyj, co tobie szkodzi? ty już i tak zgubiona, *czortu* zaprzedana, Boga obrazić nie boisz się! *Skaży*, że nie dawała?

Do zarumienionéj od pracy twarzy Piotrusi buchnęły ogniste rumieńce, załamała ręce i krzyknęła: — Aha!

Zrozumiała teraz, czemu w Piotrowéj chacie jéj przypisywano chorobę Klemensa i nagły strach zatrząsł jéj sercem, które gwałtownie bić zaczęło. A może to i od tego ziela, może naprawdę i od tego ziela on zachorował? Łzy nabiegły do wylęknionych jéj oczu, do Agaty zwróciła się profilem i stała nieruchoma, jak słup, oniemiała.

— Aha! — krzyknęła już teraz Piotrowa, nie pobożysz się ty, że nie dała! bo i dała! już ja i z twarzy twojéj widzę, że dała i że to prawdą jest, co Rozalka mówiła! No, kiedy tak, to odróbże teraz co zrobiła? *czujesz*? Daj co takiego, żeby jemu truciznę z ciała wypędziło? Kiedy ty wiedźma, to ty wszystko znasz... Kiedy ty źle możesz robić, to i dobrze możesz.... Odrób co zrobiłaś! *czujesz*? odrób...

Wyciągając obie ręce nad *cierlicą*, kobietę w niemy słup zamienioną za koszulę i ramiona targała, a we wzroku jéj, obok gniewu i nienawiści zjawiać się zaczął wyraz trwogi i prośby. Z nienawiścią, to z prośbą w głosie, powtarzała.

— Znasz, możesz.... jak zrobiła tak odrób....

Pietrusia targnęła się, z rąk jéj koszulę swą wyrwała i załamując ręce, jęknęła.

— Co ja zrobię!... odczépcie się wy odemnie....

Wtedy, Piotrowa, choć osłabła ze zgryzoty i płaczu, jak łania skoczyła i osunąwszy się przed nią na podłogę, kolana jéj objęła.

— Pietrusia! mileńka, zuzula! ratuj ty jego! daj jemu co takiego, żeby ta trucizna z ciała mu wyszła... tyż sama ją dawała... jak zrobiła, tak i odrób... ja tobie za to wszystko dam... co tylko zechcesz... lnu dam, i wełny, i jajek, i płótna i *hroszy*, kiedy zechcesz; oboje z Pietrukiem nie pożałujem... tylko odrób, co zrobiła... niechaj on przy życiu zostanie, nasz gołąbek mileńki, nasza podpora na stare lata... Ty wiesz... Jasiuk jest tak jak do niczego... A ten prawa ręka nasza... pracownik nasz najlepszy... Ratuj ty jego... *znasz* możesz... jak zrobiła, tak odrób...

Ściskała kolana jéj, brzeg jéj spódnicy całować zaczęła. Pietrusię ten żal matczyny i to rozpaczne błaganie widocznie na torturach rozciągały. Sama przecież matką była, a z tą kobietą tyle lat niegdyś życzliwie i zgodnie przeżyła. Podniosła ręce do głowy i zawiodła.

— Oj, Bożeż mój, Boże! co ja pocznę! nie robiła ja i odrabiać nie mogę...

Agata porwała się z klęczek i syczącym głosem zapytała.

— Nie zrobiła? może pobożysz się, że nie zrobiła?

Pietrusia znowu profilem zwróciła się ku niéj i oniemiała. W głowie jéj zrobiło się ciemno jak w noc jesienną i wichrem tylko tłukły się po niéj słowa.

— I zrobiła i nie zrobiła... Może to nie od tego, a może i od tego....

Męczarni téj długo znieść nie mogła, od grożącéj jéj znów kobiety odskoczyła i wpół z żałością, wpół z gniewem krzyknęła.

— Odczépcie się ciotko... czego wy odemnie chcecie... idźcie o radę dla syna znachorki jakiéj prosić, nie mnie!

Teraz Piotrowa wybuchnęła i po nieskończoną ilość razy wiedźmą ją nazwała. Nie przeklinała bardzo, bo już przyzwyczajenia tego i umiejętności téj nie miała; wzywała tylko boskiego gniewu na głowę jéj i jéj dzieci, a potém pomstą Piotra i wszystkich poczciwych ludzi groziła. Potrząsając pięścią, przez zaciśnięte zęby mówiła:

— Poczekaj! poczekaj! będzie tobie kiedyś od ludzi za wszystkie nasze krzywdy i *czort*, twój przyjaciel nie wyratuje ciebie, kiedy na twoją głowę pomstowanie ludzkie przyjdzie....

Wtém, przypomniała sobie, że gdy ona tu kłóci się z wiedźmą, syn jéj może tam już i nieżywy leży, obu rękami schwyciła się za głowę, z dziedzińca wypadła i z powrotem ku wsi pobiegła, Pietrusia zaś, tam gdzie stała, osunęła się na ziemię i twarz rękami zakrywszy, rozpłakała się głośno i rzewnie. Płakała jednak niedługo. W izbie dało się słyszéć skwierczenie obudzonego dziecka; skoczyła i do chaty wbiegła. Musiała tam dziecko karmić i bawić je przez czas jakiś, bo słychać było jak pieszczotliwie doń przemawiała, kilka piosnek śpiewać zaczynała i przerywała je sobie krótkim śmiechem i głośnemi pocałunkami. Dziecko widocznie bąkaniem swém i ruchami małych rączek rozśmieszało ją i usta jéj ku sobie ciągnęło. Potém słychać było miarowe stukanie biegunów kołyski, a potém w izbie zapanowała cisza. Adamek usnął znowu, a Pietrusia z pękiem upranéj bielizny na ramionach na dziedziniec wyszła. Dzień był piękny, trzeba było przed wieczorem bieliznę w stawie wypłukać.

Paręset kroków zaledwie dzieliło ten staw niewielki od ostatnich domostw Suchéj Doliny. Z jednéj jego strony słała się owa ławica piasku, na któréj z porady staréj Akseny bawił się niegdyś całemi dniami chory syn Piotra Dziurdzi, daléj już obejmował go w półkole wązki pas łąki, za którym ciemniały i na poblizkie wzgórza pięły się uprawne role. Z łąki téj oddawna już uczyniono pastwiska dla bydła. W lecie, brzeg stawu był z téj strony miejscem pełnem zielonych gąszczy, szczebiotu ptastwa, skrzeczenia żab, kwiatów błękitnych i żółtych, czerwonych jagód kaliny, rozłożystych gałęzi wierzbowych, w których cieniu błyskała biała kora wysmukłych brzoz. Teraz, pod brzozami, które na błękitném tle nieba rysowały się jak delikatnie ze złota rzeźbione kolumny, pod zróżowionemi, o wiecznie drżących liściach osinami, pod wierzbami, które maczały w wodzie swe osiwiałe gałęzie, na trawie uschłéj, pod stopami trzeszczącéj a usianéj zwiędłemi liśćmi i siwym puchem ostów, kilkanaście kobiet pochylało się nad cichą i gładką wodą. Prały one albo płukały wypraną w domu bieliznę, a odgłosy ich rozmów i suche, rytmiczne uderzenia pralników rozchodziły się daleko po pustém polu. Na polu, jak okiem sięgnąć, widać było tylko dwoje pracujących ludzi: chłopa, który prowadził pług, i chłopkę, która w pewnéj odległości za nim postępując, wyorywane kartofle do fartucha zbierała, a napełniwszy go, zsypywała je do umieszczonych w rozorze worków. Zagony, na których pracowali ci ludzie, dotykały wązkiego pasu pastwiska. Chłopem pług prowadzącym był Stepan Dziurdzia,

kobietą zbierającą kartofle, Stepanowa żona, Rozalka. Składali oni parę ponurą. On, zaledwie trochę nad pługiem pochylony, szedł w milczeniu silny i chmurny, od czasu do czasu tylko basowym głosem na konie swe przeciągle wołając: hoo! hoo! hoo! Ona z grzbietem tak zgiętym, że śniada twarz jéj prawie ziemi dotykała, na klęczkach czasem pełzała po zagonie, rękami w ciemnym piasku grzebiąc i ze szczupłem swém, giętkiém ciałem, mając chwilami pozór wijącego się po glebie robaka. Jednak, ta wspólna praca z mężem, choć ciężka, niemiłą znać jéj nie była, bo nie ustając w niéj ani na chwilę, czasem do idącego przed nią mężczyzny uprzejmym głosem zagadywała.

— Ot, chwała Bogu! *bulba* w tym roku jak ta rzepa wielka! — mówiła.

A potém znowu:

— Ciekawość jak tam Klemens ma się? czy umarł już, czy jeszcze przy życiu?

Albo jeszcze:

— Stepan! w przyszłą niedzielę do kościoła pojechać warto, taj Kaziuka wziąć z sobą i Panu Bogu go polecić, ażeby zdrowszy był...

Mężczyzna nie odpowiadał, ot tak, jakby nie słyszał tego, co mówiła. A jednak, w jéj głosie najczęściej syczącym i zapalczywym brzmiały teraz tony serdeczne. Zaczepiała go, do rozmowy wyzywała, raz nawet zaśmiała się i na zagonie uklękłszy, kartofel mu w same plecy cisnęła. On obejrzał się tylko, coś zamruczał i daléj pług popychając, ponuro na konie zawołał: — Nuuu! Nie rozgniewał się wprawdzie, ale i twarzy nie rozchmurzył, słowa dobrego nie rzekł. Kobieta znowu nad zagonem grzbiet pochyliła i jak zgnębiony robak, w milczeniu, smutnie po ciemnéj glebie pełzać zaczęła. Nagle podniosła głowę. Stepan, który teraz twarzą ku stawowi był zwrócony, konie zatrzymał i niby coś około pługa robiąc, patrzał w tę stronę, z któréj brzegiem stawu nadchodziła kobieta, z ramionami owieszonemi mokrą bielizną. Patrzał na nadchodzącą z wytężeniem takiém, że aż rozciągnęły się i wygładziły muskuły jego twarzy i zarazem okryła się ona głupowato wyglądającym lecz w rzeczywistości błogim uśmiechem. Rozalki oczy także nad staw pobiegły. W nadchodzącéj kobiecie poznała Pietrusię i syknęła tak, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza.

— Czegóż stanął jak ten słup! na męża krzyknęła i głos coraz podnosząc, nalegała aby szedł daléj. Ból całego jéj życia, srogi ból kłuć ją znowu zaczął i budzić w niéj furyę złości.

Pietrusia zbliżając się do kobiet nad wodą pochylonych, uprzejmie je pozdrowiła. Jeden tylko głos i to zcicha jakoś odpowiedział

jéj wzajemném pozdrowieniem. Była to młoda Łabudowa, która jako synowa jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, przez męża i całą rodzinę lubiona, ośmieliła się, choć nieco trwożnie, przychylność swą jéj okazać. Inne kobiety, albo milcząc opuszczały pralniki swe na pogrążoną w wodzie bieliznę, albo też głowy z nad roboty podniósłszy rzucały na nią wejrzenia, w których ciekawość i lękliwość mięszały się z gniewem i obrzydzeniem.

Rozumiała już dobrze co wszystko to znaczyło i stanęła na uboczu, pod rozłożystą wierzbą, u któréj stóp spuszczało się ku wodzie, sznurem do pnia wierzby przywiązane czółno. Było to czółno, którém chłopcy wiejscy po stawie pływali, wędami łowiąc płotki i karasie, na którém też często kobiety z téj strony stawu, dla skrócenia sobie drogi, na tamtą jego stronę do wsi przepływały. Obok czółna stanęła, przyniesioną odzież w wodzie zanurzyła i tak jak inne wybijać ją pralnikiem i płukać zaczęła. Nie przeszkadzało to jéj jednak słyszéć rozmowy toczącéj się pomiędzy jéj sąsiadkami. Zrazu, zcicha one pomiędzy sobą szeptały, ale długo to trwać nie mogło, bo gdzieżby im długo powściągać uczucia czy głosy! Zaczęły więc mówić głośno, a mówiły o tém, czém dziś zajmowała się wieś cała, o chorobie Klemensa Dziurdzi i jéj przyczynach. Opowiadały, że Piotr po księdza pojechał, że choremu dwa razy już zapaloną gromnicę do rąk dawali, że matka tylko co nie umiera z żałości, że jeśli Klemens umrze, gospodarstwo Piotrowe zginie, gdyż on sam zestarzeje się rychło, a młodszy syn jest, jak wiadomo, niedołęga i głupiec. Parę głosów zajęczało. — Oj, *biedne*, *biedne nieszczęśliwe* ludzie!

A jedna z kobiet, głośniéj jeszcze niż inne, mazgajowatym, przewlekłym głosem zawiodła:

— *Kab* temu, co *heto* zrobił, dobrego życia nie było! *Kab* on za krzywdę ludzką zmarnował się i na pogrzebach dzieci swoich płakał!

Była to Paraska, która, mówiąc to, na Pietrusię z pod oka patrzała.—Patrzajcie, dodała po chwili, czemu to kowalicha dziś kupnéj spódnicy i materyalnéj chustki na siebie nie włożyła?

Oj, ta kupna spódnica i pół-jedwabna chustka, w które kowalowa czasem się przystrajała, dawno już dawno dolegały Parasce, maczającéj teraz w wodzie liche, stare łachmany swoje i swéj rodziny.

Wtém na polu rozległy się grube i piskliwe krzyki. Kobiety śmiać się zaczęły. Stepan Dziurdzia znowu skłócił się z żoną. Kłócili się oni z sobą tak już często, że dla jednych byli przedmiotem surowéj przygany, w innych wzbudzali śmiech. Teraz, ze słów tu dolatujących wnieść było można, że szło im o jakiś worek na kartofle, po który Stepan żonkę do chaty posyłał. Czy naprawdę worek był przyczyną kłótni? A może on téj chwili zażądał, aby żona

z oczu mu zeszła, ona zaś w téj chwili właśnie za nic go tu samego zostawić nie chciała. Boże! jakże czuła się nieszczęśliwą! Poczucie tego nieszczęścia zdawało się podnosić ją nad ziemię, tak szybko, z rękami u głowy ku stawowi biegła. Biegła wprost na Pietrusię i pochyloną ku wodzie tak ją całém ciałem potrąciła, że zatoczyła się ona i aby nie upaść, rękami gałąź wierzby pochwycić musiała. Przytém, zazdrością i bólem oszalała, Rozalka łajać poczęła tę, którą za rywalkę swą poczytywała, mnóstwem grubych wyrazów, wśród których najczęściéj powtarzał się wyraz: wiedźma. Kowąlowa uczyniła zrazu ruch taki, jakby pierwszym jéj popędem było rzucić się na napastującą ją kobietę i obelgi, które ona rzucała na nią, odwzajemnić. Widać było jednak, że bardzo prędko ogarnął ją wstyd przed bójką, a gniew jéj przemienił się w żal i przestrach, od których rumieńce z policzków jéj zniknęły. Schyliła się znowu nad wodą i stukiem pralnika zagłuszyć usiłowała krzyki Rozalki, która miotając się nad nią wygrażała jéj pięściami i osypywała ją gradem przekleństw i łajań. Niektóre z kobiet piorących bieliznę śmiały się i żartowały głośno tak z napastującéj, jak z napastowanéj, inne wzruszały ramionami, spluwały i wskazując na Rozalkę nazywały ją *chfiksatką* (waryatką), gadziną, jędzą. Były jednak i takie, które ujęły się za Pietrusią. Młoda Łabudowa krzyknęła do Rozalki, że niesprawiedliwie przyczepiła się do kowalowéj, która na jéj męża i patrzéć nie chce, nietylko co! Jedna z Budrakowych, synowa starosty, targała nawet wściekłą kobietę za koszulę i spódnicę, poważnie ją za jéj złość i szaleństwa gromiąc. Wszystko to przecież nic nie pomogło, dopóki Rozalka nie zobaczyła męża swego, biegnącego ku niéj z tym samym biczem w ręku, którym konie poganiał. Wtedy, jak ptak zraniony, krzycząc i ramionami w powietrzu miotając, zerwała się do biegu i ku wsi, jakby na skrzydłach poleciała. Długo jeszcze słychać było jéj piskliwe i rozpaczliwe krzyki, przeplatane łajaniem i pogróżkami, na Pietrusię miotanemi.

Co tam już daléj działo się nad stawem, Pietrusia nie wiedziała i wiedziéć nie chciała. Nie podnosiła głowy ani oczu, bo przed spojrzeniami ludzkiemi robiło się jéj i wstydno i straszno. Wolała nie patrzéć na te kobiety, które podziwiwszy się, pogadawszy jeszcze, bieliznę swą z brzegu zbierały i gromadkami lub kolejno, ku wsi odchodziły. Niebawem, po ciszy, która zapanowała nad stawem, odgadła, że już poszły sobie wszystkie. Wtedy wyprostowała się i oczy podniósłszy, zobaczyła Stepana, który o kilka kroków od niéj, pod różową osiną na pniu ściętego drzewa siedząc, z łokciami na kolanach i brodą w dłoniach, wzrok swój w nią wlepiał. Żona kowala

twarz od niego odwróciła i w milczeniu skręconą bieliznę do czółna wkładać zaczęła. On odezwał się zaraz.

— Dawno już, Pietrusia, ja ciebie nie widział i z tobą nie rozmawiał. Ot z rok już będzie, jak ty mnie z chaty swojéj wypchnęłaś i drzwi za mną zaryglowałaś. Od tego czasu już ja nie przychodził do was i nigdzie ciebie nie zaczepiał....

— Bo i nie trzeba! nad czółnem schylając się, gniewnie mruknęła kobieta.

Chłop mówił daléj.

— Trzeba czy nie trzeba, a tak już musi być... tak ty mnie już zrobiła, że gdzie ty, tam moje chęci i całe moje myślenie... Kiedy nie chciałaś żeby tak było, to na cóż robiłaś... czy na wieczne moje nieszczęście robiłaś? ha?

Tym razem odwróciła ku niemu twarz z wylękłemi i razem rozgniewanemi oczami.

— Żebym ja wiedziała jaki sposób, tobym co takiego zrobiła, żeby ciebie, Stepanie, nigdy na oczy nie widziéć, nigdy, aż do końca mojego życia. Ot, cobym ja zrobiła, żebym wiedziała jak robić, ale choć wy wszyscy wiedźmą mnie przezywacie, — nie wiem, na moje wieczne nieszczęście, nie wiem!

Znowu bieliznę do czółna składać zaczęła; pąsowe wargi jéj wydęły się jak u rozgniewanego dziecka, do oczu nabiegły łzy.

Stepan poprawił się na swém twardém siedzeniu i oczu z niéj nie spuszczając, mówić zaczął.

— Wiedźma ty czy nie wiedźma, lepszéj od ciebie i łaskawszéj (łagodniejszéj) i pracowitszéj w całéj wsi niema, gdzie tam! w całéj okolicy a może i na świecie niema! Może ty mnie kiedy i dała napić się tego ziela, którego za twoją przyczyną napił się od Franki Klemens, a może i nie dawała, czy ja wiem? Może to ziele, co mnie w żywot weszło, to twoja taka łaskawość (łagodność) i wesołość, że kiedy jeszcze dziewczyną byłaś, to jak na ciebie bywało popatrzę, a twego śpiewania i śmiechu posłucham, to i sam zrobię się inny, ot, *takiįże* łaskawy, cicheńki i wesoły, jak ty...

Po chwili milczenia mówił daléj.

— Ja bardzo lubię cicheńkich i wesołych ludzi... Ot ja z Piotrem i z Agatą dobrze żyję dla tego, że pomiędzy nimi zawsze święta spokojność i obchodzenie się ładne, i Klemensa lubię za to, że on posłuszny starszym i wesoły. A sam ja złośnik, to prawda, i niespokojny jak ten wicher, i pochmurny jak to niebo na deszczu... Tak już ja widać urodził się, z taką chorobą w duszy urodził się, a nie wyleczyła mnie z niéj matka, jędza taka, że za jéj łajaniem a biciem, ja dziecinnych lat swoich nie pamiętam i nie wyleczył brat, co zemną o ten mój kawał ziemi po sądach ciągał się... i nie wyleczyła

żonka *hadzina*... i nie wyleczyła wódka, którą w gardło leję... Nikt nie leczył i nic nie wyleczyło....

Mówił powoli, smutnie, z wlepionemi w ziemię oczami. Po chwili podniósł znowu wzrok na Pietrusię.

-- Tyby mnie z téj choroby wyleczyła, ale nie chciała—dodał.

Kobieta uspokojona łagodnością jego głosu, a smutkiem jego może wzruszona, roboty swéj nie przerywając, spokojnie odpowiedziała.

— Przeznaczenia już takiego widać nie było. Ale jakie tobie nieszczęście? Daremnie narzekasz i Pana Boga obrażasz. Czego tobie brakuje? Chatę i gospodarstwo porządne masz... żonkę i dziecko masz... ot Boguby dziękował i kontent byłby... żeby tylko chciał.

— To prawda—odparł Stepan — żonka taka dobra i taki zdrowy, silny syn! Będzie z niego kiedyś robotnik tęgi i podpora moja! oj!

W głosie jego brzmiała gruba ale boleśna ironia; zaśmiał się i zaklął zcichą, dla tego może zcicha, aby nie spłoszyć téj kobiety, która po raz pierwszy, oddawna, rozmawiać z nim chciała.

— Ot prawdę ja tobie powiem, Pietrusia, że mnie już i gospodarstwo obrzydło. Dla kogo człowiekowi starać się i pracować? Czy u mnie chata pełna dzieci? Jedno tylko, a i to takie, że tylko tchu w nim słuchaj, czy jeszcze żyje. I więcéj już nie będzie. Żonka mnie nie żonka. Ja na nią i patrzéć nie chcę, nie tylko co. Przyjdę do chaty z pola, taj położę się jak pies, do nikogo słowa nie przemówiwszy. Dobrze jeszcze, jeżeli *ta* milczy, ale jak przyczepi się do mnie ze swoją złością, albo ze swojém lubieniem, to zaraz i wyjemy oboje, jak te dwa wilki, żeby ich razem zamknąć. Ot jakie moje szczęście. Ludzie ze mnie naśmiewają się, jak gdybym już ja był ostatni, i gospodarstwo prędko czort weźmie... bo człowiek do niczego ochoty nie ma, tylkoby świat przeklinał—*taj hodzi*!

— Wstyd!—zawołała Pietrusia—wstyd bo tobie Stepan, tak robić i tak gadać! Pilnowałby gospodarstwa, a z żonką żył jak Pan Bóg przykazał, zgodnie, w spokojności... ot jak ja z moim żyję, że u nas nigdy jednéj minutki gniewu, ani nienawidzenia jeszcze niebyło...

— Tylko ty mnie o swoim nie wspominaj.... z błyskającemi oczami rzucił Stepan. Ona nie patrząc na niego, wzbierających w nim namiętności nie dostrzegła.

— Żeby ty dla żonki swojéj taki był jak mój dla mnie, to i ona byłaby lepsza — zauważyła.

— *Kab* oni potopili się oboje! *Kab* im oczy prędzéj na ten świat pozamykały się—ponuro mruknął Stepan.

— Phi! jaki zły i niegodny człowiek! ludzkiéj śmierci żąda!— ze zmarszczoném czołem i rozgniewanemi oczami splunęła kobieta,

a podnosząc z ziemi resztę skręconéj bielizny, którą do czółna wrzuciła, dodała:

— Był u mnie rozum, kiedy ja za ciebie iść nie chciałam... dobregobym męża miała...

Widząc, że blizką jest wejścia do czółna i odpłynięcia, zerwał się z siedzenia i tuż przy niéj stanął.

— Poczekaj, Pietrusia, poczekaj troszeczkę — zaszeptał — jeszcze minutkę porozmawiamy... co tobie szkodzi? jeszcze jedną minutkę! Ja dla ciebie byłby inny, jak dla *téj*... jabym z tobą *łaskawy* zrobił się i cicheńki jak ten pies, co pana swego poznał... tyby mnie dzieci inaczéj hodowała jak *ta*... tyby mnie w chacie śmiała się i śpiewała jak ta makolągwa w gnieździe... a jaby tobie ręce i nogi przez całe życie całował, jabym z tobą pracując, ręce sobie od pracy pokrwawił... Oj Pietrusia ty moja, mileńka ty moja... nie uciekaj choć teraz odemnie... niech ja choć minutkę pocieszę się tobą...

Z płonącemi oczami, z uśmiechem namiętności miłośnéj na twarzy, następował na nią, pchał ją pod rozłożyste gałęzie wierzby, palącym oddechem oblewał szyję jéj i plecy, żelaznêm jakby ramieniem stan jéj otaczał. Ona krzyknęła z przerażenia i gniewu, skokiem łani do czółna wskoczyła i wiosło schwyciwszy, w mgnieniu oka odbiła je od brzegu. Minuta zaledwie upłynęła, a czółno znajdowało się już w pewnéj od brzegu odległości. Po gładkiéj błękitnéj wodzie, mknęło ono prędko, równo, nie kołysząc się prawie i unosząc ku przeciwległemu brzegowi kobietę wysoką i zgrabną, zaledwie trochę przechylającą się ruchem rytmicznym, nad wiosłem roztrącającém wodę. Z pod czerwonéj chustki opadające włosy, zaledwie dostrzedz dawały ognistą rumianość jéj twarzy, nagie aż prawie do kolan jéj nogi i wiosłem poruszające ramiona, różowiło i ozłacało zachodzące słońce. Pozostały pod wierzbą chłop, błyskał za nią oczami, jak dwoma snopami płomieni. Uśmiech miłośnéj namiętności ustąpił na jego twarzy przed zmarszczkami zgryzoty i gniewu, coś okrutnego, zawziętego przewinęło się mu po ustach.

— Kiedy tak — za odpływającą kobietą krzyknął, to ty doprawdy wiedźmą jesteś. Czartowską siłą ciągniesz do siebie ludzi, a potém ich na zgubienie wieczne oddajesz! Poczekaj ty! będzie tobie! Już ja na ciebie pomstę za swoją krzywdę znajdę, ty wiedźmo, przeklęta dusza twoja!

Odległość była taką, że krzyki jego słyszéć musiała. Nie odpowiedziała jednak nic, tylko czółno zakołysało się pod nią, jakby drżeniem jéj nóg wstrząśnięte. Potém jednak popłynęło znowu, równo, szybko, a nienawistny, okrutny uśmiech przewijał się po bronzowéj twarzy mężczyzny stojącego w cieniu gałęzi wierzbowych.

Z cienia, w którym stał, kobieta w ogniach słonecznych po błękicie stawu płynąca, wydała mu się może strasznėm, złowrogiém i zarazem świetlistém, ponętném zjawiskiem.

— Wiedźma! dalibóg wiedźma! zaszeptał, a gdy ona u przeciwnego brzegu do białych piasków już przybiła i ku domostwu swemu śpiesznie szła, z zaciśniętemi pięściami ku pługowi swemi wracając, dodał...

— *Taki* ona nie powinna po bożym świecie chodzić... *taki* nie powinna!

Męża swego Pietrusia w domu nie zastała. Stasiuk, który na jéj spotkanie, aż ku brzegowi stawu wybiegł, brnąc w białym piasku i czepiając się jéj odzieży, w drodze już wyszczebiotał, że tatko poszedł do karczmy, aby z arendarzem pomówić. Wiedziała o tém, że arendarz stręczył mu dużą i zyskowną robotę w jednym z sąsiednich dworów, nie dziwiła się téż ani była niespokojną, że Michałek w porze zwykłéj do domu nie wracał. Interes był ważnym i dużo o nim z żydem do mówienia było. Gotując wieczerzę, gdy dzieci w kącie izby bawiły się drewnianą piszczałką i chrupaly wysuszone ziarna słoneczników, przyciszonym głosem opowiedziała babce wszystko, co ją dziś od Piotrowéj i nad stawem spotkało. Przy opowiadaniu tém, Aksena przędła zrazu coraz prędzéj ale wkrótce, u kądzieli nitka rwać się zaczęła i wrzeciono wysunęło się z jéj palców. Na kolanach złożywszy ręce, siedziała wyprostowana jak struna, i choć Pietrusia dawno już mówić przestała, nie przemówiła ani słowa jednego, tylko żółte jéj szczęki prędszym niż kiedykolwiek ruchem przeżuwały uczutą zgryzotę, a białe oczy z większym niż kiedykolwiek wytężeniem zdawały się wpatrywać w przestrzeń izby, oświetloną chwiejném półświatłem płomienia. Wieczerza była już zgotowana, ale kobiety czekały z nią na gospodarza chaty, który lada chwila nadejść musiał. Płomień w piecu przygasał, dzieci uciszyły się i drzémiące pod stojącemi u ściany snopami lnu, utworzyły grupę zmięszanych z sobą bosych stópek i małych, rumianych twarzy.

Pietrusia z podwórza do sieni wniosła *cierlicę*, chwilę jeszcze krzątała się po izbie, aż westchnąwszy głośno usiadła także na ziemi i plecy o len opierając zadumanym wzrokiem przed siebie patrzała. W ciszy, która zapanowała w izbie, ozwał się po chwili ochrypły i czegoś się dziś bardzo trzęsący głos ślepéj baby.

— Pietrusia! zawołała.

— A co, babulo?

— Spal zioła, te zioła, co z pola w tym roku nanosiła i te, co z przeszłego lata zostały i wszystkie co w chacie są.

— Czemu tak, babulo?

— Spal! krzyknęła prawie stara i ciszéj lecz gniewnie zamruczała jeszcze: Głupia! pyta się jeszcze, czemu?

Pietrusia podniosła się z ziemi, chwilę jeszcze pomyślała, głowę ze zdumieniem zakołysała i do komory poszła. Z komory, ze strychu, z sieni, w fartuchu lub radnach znosiła mnóstwo uschłych i kruchych lub tylko zwiędłych i jeszcze pachnących kwiatów i traw polnych, wszystkie je u stóp wielkiego pieca na ziemię zsypywała a potém, ogień podnieciwszy, garściami w płomień rzucać zaczęła, wszystko to czyniła w milczeniu zupełném, z rozpalonemi oczami i trochę zaciśniętemi usty. Z twarzy jéj widać było, że uczuwała ból i trwogę. Rośliny te, w których barwach i woni od niemowlęctwa prawie kochały się jéj zmysły, te czombry liliowe, żółte dziéwanny, girlandy czépiających się wzajem traw i łodyg, obejmowały teraz ogniste języki płomienia i owijały sine zwoje dymu, który słupem wzbijając się w komin, ział na izbę silne, upajające wonie. Gdy kilkanaście garści uschłego ziela zgorzało już w płomieniu, podniosła głowę ku wierzchołkowi pieca i zapytała znowu.

— Czemu tak, babulo?

Stara nie odpowiedziała. W takiém zamyśleniu pogrążoną była, że nie słyszała może nawet zapytania wnuczki. Po chwili dopiero, u wierzchołka pieca, głos chrapliwy i trochę drżący zagadał.

— Wiele ja na tym świecie dziwnych dziwów widziała i słyszała, wiem ja co z czego wyniknąć może... Stara Prokopicha mnie teraz przed ślepemi oczami jak żywa stanęła i jak żywe stanęły te łzy, co po jéj stareńkiéj twarzy jak ciekły, tak ciekły...

Im dłużéj ślepa baba mówiła, tém więcéj głos jéj stawał się monotonnym i zarazem do śpiewnego, żałośnego recytatywa podobnym.

— Była żyła w siele ludném ale bardzo niebogatém, Prokopicha sołdatka, najemnica uboga, chaty swéj ani krewnych żadnych nie mająca. Męża jéj na dalekim świecie, na wielkiéj wojnie zabili, a został się przy niéj jeden tylko synaczek nieboraczek, który nazywał się Prokopek, imieniem, znaczy, ojcowskiém. Biednieńki był ten Prokopek, od wszystkich, prócz rodzonéj matki, opuszczony. Ani u niego ojca i bratów, ani chatynki i pola nie było, przyszedł na świat goły jak Jadam, a jak wyrósł do cudzych ludzi pracować poszedł. U cudzych ludzi w poniewierce i biédzie wielkiéj pracował, na cudze dobro zyzem patrzał i pochmurny stał się jak noc jesienna. Choćby wszyscy nie wiem jak weselili się, on sam jeden, jak wilk, bywało, chodzi, w ziemię patrzy, jakby już sobie mogiłkę chciał kopać, a wszystko o czemściś myśli i myśli. Nie lubili jego ludzie za pochmurność i niechętność i nie szanowali go, zwyczajnie, jak sierotę *jedynokiego*, za którym ująć się komu nie było. Aż tu jednego roku

zaczął ktościś gospodarzom konie kraść. Jednemu gospodarzowi koń zginął, drugiemu zginął, trzeciemu zginął. Po całém siole poszło krzyczenie taj płakanie, bo ludzie byli tam nie bogate i strasznie żywiołów tych żałowali, bez których w gospodarstwie ciężko. Szukali złodzieja, rozpytywali się, pilnowali—niema! Niema i niema, rozstąp się ziemio! A konie jak giną, tak giną! Jednego razu ktościś podpatrzył, że Prokopek czasem przepada z sioła. Przejdzie, bywało, dzień, dwa, trzy, przejdzie i *niedziela* (tydzień) cała a jego w siole niema, gdzieściś *mandruje.* Z żydami niedowiarkami w lesie rozmawiającym go widzieli, i w miasteczku go widzieli, jak pił w karczmie i *stużki* dla jakiejś dziéwki kupował, nie wiadomo zkąd *hrosze* biorąc. Wtedy już wszystkim przyszło do głowy, że to Prokopek parobek konie kradnie. Wzięli i do sądu jego zaciągnęli. Sąd słuchał, słuchał i powiedział, żeby sobie Prokopek do sioła powracał, bo, mówi, nie wiadomo jest, czy to on konie kradł; pewności, mówi, niema; dowody, mówi, lepsze na niego dajcie... Prokopek do sioła powrócił, a konie jak ginęły, tak ginęły. Wtenczas już ludzi wielki gniew za ich dobro ogarnął. Zaczaili się raz pod lasem i jak Prokopek z lasu furę drzewa gospodarzowi swemu wiózł, złapali go, taj zaczęli w niego walić kijami...

— Jezu! rozległ się po izbie krzyk Pietrusi, która z fartuchem pełnym ziół i ręką zatopioną w uschłe rośliny przed piecem stojąc, oczy szeroko otworzyła i zatrzęsła się całém ciałem.

— Kijami! jęknęła jeszcze i opamiętawszy się nieco, znowu zioła w ogień rzucać zaczęła. Płomień buchnął żywiéj, na izbę wionęła sina i pachnąca mgła, z wierzchołka pieca, głos staréj powtórzył.

— Kijami. Żebra jemu połamali, ręce, nogi połamali, ludzką twarz krwią obleli i nieżywego porzucili na szerokiém polu, na pustém polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom i kawkom na strawę.

W izbie zapanowała chwilowa cisza, poczém ślepa baba opowieść swą kończyła.

— A Prokopicha sołdatka z żalu po swoim nieboraczku synaczku wzięła i *sfiksowała.* Z litości ją ludzie karmili i odziéwali a ona, bywało, w ciemny kąt zalezie i ciągle o swoim parobku Prokopku opowiada i opowiada, a po zmarszczonéj, stareńkiéj jéj twarzy, jakby kto grochem sypał, łzy cieką a cieką... I ja tam była, gadania jéj słuchała, na łzy jéj patrzała a teraz to wszystko przed ślepemi oczami memi, jak żywe stanęło...

Kiedy chrapliwy i klekoczący a zarazem śpiewny głos staréj umilkł, Pietrusia z cicha przemówiła.

— Babulo!

— A co?

— Czy ten Prokopek doprawdy konie kradł?

Stara z namysłem odpowiedziała.

— Może kradł a może i nie kradł. To już nie wiadomo. Pewności nie było... ale ludzkie posądzenie było i straszny gniew ludzki był...

— Straszny! jak echo powtórzyła kobieta przed ogniem stojąca i śpiesznie, śpiesznie resztę ziół uschłych w płomienie rzucać zaczęła!

Po chwili stara zagadała znowu.

— Pietrusia!

— A co, babulo?

— Żeby ty od tego czasu nie ważyła się doradzać...

— Nie będę, odparła młoda kobieta.

— Nikomu, pamiętaj. Żeby tam nie wiem jak ciebie prosili. *Czujesz?*

— Nie będę, babulo...

— Cicheńka taka bądź, jak ta rybka na dnie wody, żeby ludzie i zapomnieli o tobie.

— Dobrze, babulo.

Drzwi izby otworzyły się i wszedł kowal, na którego gdy tylko Pietrusia spojrzała, zaraz krzyknęła.

— Oj Bożeż mój! a tobie co takiego *przytrapiło się* Michałku?

Musiało mu istotnie przytrafić się coś złego. Twarz miał rozognioną, jedno oko zapuchłe i kilka sińców na policzkach i czole. Czapkę z rozczochranych włosów zdjął i na stół ją rzuciwszy, dzieci, które obudziły się i do niego przybiegły, z gniewem od siebie odpędził. Potém, na ławie siadł i do żony zwracając się, ochrypłym trochę głosem mówić zaczął.

— *Przytrapiło* się mnie to, czego jeszcze nigdy w życiu ze mną nie bywało. Sołdatem byłem i sześć lat włóczyłem się po świecie, a nigdy nie biłem się z nikim; tutaj już siedm lat żyję i panuję, a ludzie szanowali mnie zawsze, bo sam siebie szanowałem. A ot, dziś, pobiłem się przed karczmą z chłopami. Z twojéj przyczyny, Pietrusia, *hawantura* ta mnie spotkała. Pfe! wstyd tylko, zgryzota, *taj hodzi*!

Splunął i głowę od żony odwracając, skaleczone oko dłonią sobie zakrył. Ona milczała i stojąc przed ogniem patrzała na niego szeroko otwartemi oczami, z rękami wzdłuż ciała opadłemi. Po chwili ozwał się znowu.

— Rozmawiam ja sobie z arendarzem o *jenteresie*, aż słyszę, przed karczmą, chłopi na ciebie wykrzykują, że ty Klemensu Dziurdzi chorobę zrobiła... Szymon Dziurdzia wykrzykiwał, Jakób Szysz-

ko, złodziéj ten wiadomy, i Stepan potém przyszedł i także gadać zaczął i baby, co od zbierania kartofli tamtędy wracały, stanęły także i jak wrony krakać zaczęły: taka ona, owaka ona, krowom mleko odebrała, a teraz Klemensa struła. Słuchał ja, słuchał, aż nie wytrzymał, z karczmy wyleciał, kłócić się o ciebie zaczął. Od słowa do słowa, do bitwy przyszło. Bił ja, bili mnie... pfe! wstyd! Człowiek pracuje jak ten ostatni parobek, prowadzi się porządnie, ludzi i samego siebie szanuje, aż tu, niewiadomo zkąd, przyjdzie na niego hańba taka... co to? miło to słyszeć, że żonkę od wiedźm i czartowskich kochanek przezywają, a potem na twarzy nosić ślady pijackich i złodziejskich kułaków! Oj, Bożeż mój, Boże, za co na mnie taka hańba i ta zgryzota przyszła!

Przez rozżalenie i zawstydzenie jego przebijała się uraza, do żony uczuwana. Ona wciąż milczała, przestraszona tak, że aż jéj ręce, któremi garnek ze strawą z pieca wyciągała, drżały widocznie. Ze spuszczonemi powiekami zapaliła lampkę i wieczerzę na stole stawiała. Kiedy wedle zwyczaju, bochen chleba i nóż mężowi podawała, on, przysłaniając wciąż dłonią spuchnięte oko, drugiem bacznie na nią popatrzył.

— Pietrusia! rzekł, co ty takiego ludziom zrobiła, że oni na ciebie, jak te kruki na ścierwo napadli...

Zwolna wzruszyła ramionami.

— Czy ja wiem? szepnęła.

— Już to nie może być bez przyczyny? ha? zapytał jeszcze.

Zapytywana w ten sposób kobieta, sama pogrążała się w coraz głębsze zamyślenie.

— Czy ja wiem? powtórzyła.

Widocznie sama zagadki losu swego zrozumiéć nie mogła i czy w istocie przyczyna jego w niéj saméj nie spoczywała, pewną nie była. Pomimo téj niepewności, inna roztopiłaby się cała w zaprzeczeniach, przysięgach, uniewinnianiu siebie a złorzeczeniu ludziom. Ona tego nie uczyniła. Nigdy jeszcze przed mężem nie skłamała. Żyli oni z sobą, jedno drugiemu duszą w duszę patrząc, jak dwa przejrzyste, obok płynące potoki. A teraz, kłamałaby, gdyby mu powiadała, że jest czegokolwiek pewną, gdy wnętrze jéj nurtowała trwoga, nie tyle przed ludźmi, ile przed czémś nieokreśloném, tajemniczém, groźném, uczuwana.

— Czy ja wiem? powtórzyła i z czołem zmarszczoném w dwie głębokie fałdy, od męża twarz odwróciła. On patrzał na nią i dziwiąc się jakby czemuś, lub nad czémś smutnie rozmyślając, parę razy głową zakołysał. Potém dzieci ku sobie przywołał, a do niéj już nic nie mówił i ani razu tego wieczora, *zuzulą* jéj nie nazwał. Markotny

i milczący spać się położył, ciemność i cisza zaległy izbę, aż w połowie nocy, w ciemności i ciszy, ozwał się szelest ludzkich kroków i ktoś wdrapał się na wierzchołek pieca.

— Babulo! babulo! czy ty śpisz? Na wierzchołku pieca zaszemrał szept, wyraźném przerażeniem przejęty.

— Nie *splu*, *ditia*, *nie splu*! *Wsieńko* o tobie myślę, odpowiedziała Aksena, któréj od czasu pewnego starość przywodzić już zaczęła bezsenne nocy.

— Babulo! zajęczał głos drugi, cościś mnie dziś okrutnie dusiło... na żywocie i piersi cościś położyło się i tak dusiło, że tylko co już Panu Bogu duszyczki nie oddałam...

— *Szto heto*? zadziwiła się stara a po chwili zapytała.

— Może ty w świętą niedzielę robiła co takiego, co pozwolone nie jest?

— Nie robiła, babulo, nic w świętą niedzielę nigdy nie robiła...

— *Prypomnij* sobie tylko... może robiła! Bo jeżeli robiła, znaczy, niedziela do ciebie przyszła i dusiła za to, że ty ją obraziła... Takie rzeczy na świecie bywają... ja sama takiego człowieka znałam, co w niedzielę zawsze wszystko robił. Aż tu razu jednego, niedziela do niego przyszła, taka wielka jak to słońce złote, położyła się na nim i zadusiła... na śmierć zadusiła. *Prypomnij*, tylko sobie, czy czego broń Boże, w niedzielę nie robiła...

— Nie robiłam, Babulo, pobożę się, że nigdy w niedzielę nic nie robiłam...

— No, to *szloż heto*, co ciebie dziś dusiło?

Długie potém zapanowało milczenie, aż w ciemności, szept młody i przerażony, cichutko zaszemrał.—Babulo! ja słyszałam, że kiedy *czort* do kogo przyczépi się, to tak samo dusi...

U wierzchołka pieca, gwałtownie coś zaszeleściło, może ślepa baba wyprostowała się na swym sienniku.

— Przeżegnaj się, *ditia*, przeżegnaj się ty krzyżem świętym...

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen.

Znowu chwilowa zapanowała cisza, potém, stara Aksena zaszepleniła jeszcze.

— Zgryzota to ciężka dusiła ciebie, Pietrusia ty moja, *zhryzota* i żałość.

— A-le! twierdząco odszepnął głos drugi.

Cościś Michałek markotny był dzisiaj i *hniewny*...

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

LISTY CZESKIE.

XII.

Powodzenia Czechów. Wszechnica. Muzeum. Teatr. Wycieczka do Pesztu. — Stosunki z Niemcami. — Wolnomularstwo i jego dzisiejsze zadania. — Dawniejsze a obecne stanowisko Niemców austryackich. — Zatargi plemienne.

Nie zapomniałem o przyrzeczeniu uczynioném w moim ostatnim liście, mianowicie, że nakreślę dokładny obraz pocieszających postępów w naszéj literaturze narodowéj, a jeżeli dziś nie wypełniam obietnicy, to sądzę, że mnie w zupełności usprawiedliwi treść niniejszego listu.

Po takiém zastrzeżeniu, pobieżnie tylko wspomnę o tém, co może być dla nas pocieszającém i przyjemném, zachowując większą część listu na rzeczy nierównie ważniejsze, na odmalowanie stosunków, które nie są dla nas ani pocieszającemi ani przyjemnemi.

Do przyjemnych dla nas rzeczy należy przedewszystkiém widoczne wzmaganie się świadomości narodowéj w społeczności czeskiéj. Wszyscy napół już zgermanizowani Czesi garną się do swego rodzinnego plemienia. Większa część szlachty, najpierwsze w kraju rodziny: Scharzenbergowie, Lobkowicowie, Clam-Martinice, Harrachowie, Kaunice, wielu Thunów i Kinskich, przystają do narodu czeskiego, z którym ich łączy rzetelnie austryacka i dynastyczna polityka. Możemy więc żywić uzasadnioną nadzieję, że lud czeski będzie znów posiadał szlachtę narodową.

Nowa czeska wszechnica, *Carolo-Ferdinandea*, rozwija się pomyślnie. Wiadomo, że po rozdziale jéj na niemiecką i czeską, ponieważ fakultet teologiczny został przy uniwersytecie niemieckim, a raczéj nie jest jeszcze rozdzielonym, wszechnica niemiecka ma wszystkie cztery, czeska tylko trzy fakultety.

W roku szkolnym 1884/5 uczęszczało do obu uniwersytetów:

Niemiecki uniwersytet	Czeska wszechnica
4 fakultety	3 fakultety
1304	1530
odliczywszy 272 teologów,	doliczywszy czeskich teologów 231
1032	
dodawszy zaś 41 niemieckich teologów,	
1073	1761

Na ostatniém posiedzeniu wiedeńskiéj rady państwa dr. Edward Gregr wykazał dosadnie niestosowność pomieszczenia, wyznaczonego dla czeskiego fakultetu medycznego, wskutek czego zaradzono już téj niedogodności i w czerwcu roku bieżącego wypracowano na podstawie kosztorysów, sporządzonych przez komisyę, szczegółowe plany przebudowania i ulepszenia tych lokalów za sumę 170,000 złr. Zatwierdzenie tego wydatku nastąpi niewątpliwie na najbliższém posiedzeniu rady państwa.

Budowa pomnikowego gmachu na muzeum czeskie, które będzie instytucyą krajową, jest już rozpoczęta. Miasto Praga ofiarowało na ten cel bezpłatnie na rogu placu Ś-go Wacława obszar wynoszący 13,598 metrów □, sejm czeski wyznaczył na to niedawno w drodze prawodawczéj sumę 1,793,500 złot. reńs. z funduszów krajowych. Wielkie zasługi w téj ważnéj sprawie położył i niezmordowaną działalnością zdobył sobie prawo do wdzięczności ogółu profesor czeskiéj wszechnicy Jan Kvičala, członek wydziału krajowego. Budowa ma być ukończona najpóźniéj w ciągu 3 lat i stanie się nową ozdobą stolicy upiększanéj rozmaicie, dzięki godnéj uznania zapobiegliwości obecnéj reprezentacyi gminnéj.

Nowy teatr narodowy czeski jest ciągle przedmiotem ogólnéj sympatyi ludności słowiańskiéj Czech i Morawii, a nawet wywiera już znaczną siłę przyciągającą na niemiecką część ludności Pragi.

Mamy do zawdzięczenia umiejętnemu kierownictwu téj instytucyi narodowéj, że artystyczna jéj działalność o wiele jest wyższą w czeskim aniżeli w niemieckim teatrze. Byłoby do zyskania, w dobrze zrozumianym interesie obu teatrów, ażeby zakończyły się raz narodowe niesnaski; zyskałyby na tém zarówno czeski jak niemiecki teatr. Tak zwane „pociągi teatralne“ (divadelni vlaky), których początek przedstawiłem w moim ostatnim liście, dowożą ciągle teatrowi czeskiemu entuzyastycznych wielbicieli z Czech i Morawii i przyczyniają się, szczególniéj w téj drugiéj prowincyi, do zupełnego rozwoju samowiedzy narodowéj.

Wypada mi w tém miejscu wspomnieć o niezwykłym wypadku, o przybyciu do Hamburga w połowie czerwca okrętu z teatralną publicznością z Ameryki północnéj. To przypłynięcie czeskich gości

z Ameryki, pozostanie na długo w pamięci wszystkim, którzy tego świadkami byli. Emigranci od dawnych lat, osiedli w Ameryce i po większéj części bardzo zamożni, tamtejsi Czechowie postanowili wybrać się wspólnie do czeskiego teatru narodowego. Własny wynajęty w tym celu statek „Westphalia“ przywiózł ich z Nowego-Yorku do Hamburga. Tam już przyjęła ich umyślnie wysłana deputacya czeska, na któréj czele stanął znany czeski patryota Náprstek, który sam długo mieszkał w Ameryce. Na przeciw gości wyjechał do czeskiéj stacyi granicznéj Podmokli (Bodenbach) pociąg z kilkuset Czechami (mężczyznami i damami), a dwa długie pociągi nadzwyczajne przywiozły stamtąd amerykańskich gości i ich towarzyszy do Pragi. Prawie na wszystkich stacyach kolei, między Podmoklami a Pragą, witano i przyjmowano uroczyście amerykańskich ziomków. Przyjęcie w Pradze było wspaniałem, a ja, jako naoczny świadek, mogę zaznaczyć, że nigdy jeszcze ulice Pragi nie były wypełnione takiemi tłumami, jak w dniu przybycia Amerykanów i że nigdy jeszcze nie widziałem tak powszechnéj, tak serdecznéj radości.

Dziś już nie potrzebuję nadmieniać, że na cześć gości amerykańskich dano w teatrze narodowym kilka uroczystych przedstawień, na których parter oddany był im bezpłatnie, że wszyscy umieszczeni zostali w mieszkaniach prywatnych, i że ze strony Prażan uczynione było wszystko, coby przyjezdnym mogło pobyt uczynić jaknajprzyjemniejszym. Niedawno dopiero „amerykanie“, jak ich powszechnie zwano, odjechali znów z Pragi do Hamburga. Niemcy zarzucali nam przy téj sposobności zbyt wielki entuzyazm; zarzutu jednak tego podnosić nie myślę, bo Niemcom w obecnych stosunkach zapał taki musiał nie tylko wydać się za gorącym, ale był zupełnie niesympatycznym.

Z kolei, kierując się angielskim „*last not least*“, zaliczę do pomyślnych dla nas rzeczy, wytworzenie lepszego porozumienia z Madziarami, jest-to już ostatnie, ale nienajmniejsze dobro ze wszystkich przytoczonych. Przywódcy polityczni narodu czeskiego starali się przeprowadzić przyjazny kompromis między Czechami a Madziarami, i można dziś powiedzieć, że uczciwe ich usiłowania zostały uwieńczone dobrym skutkiem, a nawet, dodać wypada, że ogólno-państwowy interes Austryi nic na tém nie ucierpi. Inicyatywę tego pomyślnego wypadku zawdzięczamy wypróbowanéj przezorności politycznéj naszego narodowego przywódcy i pierwszego w téj sprawie szermierza d-ra Rigera. On to, przy pomocy doświadczonych spółpracowników politycznych, założył do tego podwalinę podczas posiedzeń ostatnich, austro-węgierskich delegacyi, które odbyły się ustanowioną koleją w jesieni w 1884 r. w Buda-Peszcie. Obecnie,

w lipcu 1885 r., wytworzone wtedy zbliżenie przyniosło praktyczne owoce; Madziarowie znajdują się w Czechach, a 1500 rolników czeskich, którzy udali się do Pesztu w celu zwiedzenia węgierskiéj wystawy rolniczéj, przyjęci zostali demonstracyjnie w Węgrzech jako przyjaciele. Że to Niemcom wypadnie nie na rękę, przekonamy się dowodnie poniżéj, zresztą pojmie to każdy łatwo, pamiętając, że taktyka Niemców polega na możliwém odosobnianiu Czechów.

Wogóle niełatwo nam przyjdzie dogodzić Niemcom, dopóki między niemi panować będą te dążności, których jasnemu określeniu zamierzam w tym liście szczególną poświęcić uwagę i z których, jak sądzę, okaże się dość wyraźnie, że to, co w przytoczonych faktach znajdzie się przyjemnego, nie tyle cieszyć nas może wobec ogólnie niepokojącego stanu, w jakim się znajdujemy.

Pisząc te słowa, jestem silnie przeświadczony, że nie należę bynajmniéj do kategoryi czarnowidzących pesymistów, przenoszących swoje własne rozdrażnienie na wszystko, co zgodnie z rzeczywistością powinno było w jaśniejszych barwach być przedstawioném; ale nie jestem téż dość lekkomyślnym, ażeby to, co mi się wyraźnie w groźnéj postaci przedstawia, uważać za mniéj znaczące, aniżeli jest istotnie.

Narodowa rozterka z Niemcami stanowi czarny punkt naszego położenia i nastręcza obecnie wielkie pytanie, czy będziemy w stanie oprzéć się uorganizowanym przeciwko sobie napaściom, albo ściśléj mówiąc, czy będziemy tak szczęśliwi, ażebyśmy widzieli te napaści odparte samą siłą sprzyjających nam okoliczności.

Ponieważ w każdéj walce rzeczą jest przedewszystkiem ważną znać siłę nieprzyjaciela, jego pozycyę i sposób w jaki uderzyć zamierza, jeżeli się nie chce być zaskoczonym znienacka, będę przeto zmuszonym mówić tu o rzeczach, o których dotychczas nie wspominałem i wyjaśnić stosunki, trzymane rozmyślnie przez naszych nieprzyjaciół pod osłoną tajemnicy, w celu pewniejszego pobicia wroga, na podobny atak nieprzygotowanego. Czas już wielki tę zasłonę uchylić i grożącemu nam niebezpieczeństwu zajrzéć prosto w oczy. Jeżeli niebezpieczeństwa uniknąć można, uniknie się go tém łatwiéj.

A teraz do rzeczy.

Naród niemiecki odniósłszy zwycięstwo nad Austryą, szczególniéj zaś po swoich świetnych a bezprzykładnych tryumfach wojennych nad Francyą, przejął od Francuzów te wszystkie właściwości, które ich od czasów napoleońskich cechowały.

Niemcy mają dziś przeświadczenie, że są pierwszym narodem na świecie; Anglików i Francuzów uważają za swoich rywali a wszystkich Słowian za niższą rasę, za przedmiot swojéj rozbudzonéj żądzy panowania.

Spotęgowanie siły i wielkości państwa niemieckiego jest dziś przewodnią myślą patryotyzmu niemieckiego, a jako naturalny tego skutek, stało się zadaniem narodowo-niemieckiéj propagandy zaszczepić we wszystkich Niemcach przekonanie, że wszędzie powołani są i przeznaczeni na władców.

Zachodnia połowa Austryi, która i tak należała już raz do rzeszy niemieckiéj i wszędzie uważana była za część Niemiec, przedstawia się prawdziwym patryotom niemieckim, jako prowincya gotowa do anneksyi, i chodzi tylko o to, ażeby przygotować dziś to co, według ich mniemania, prędzéj czy późniéj stać się musi.

Ponieważ, zdaniem mojém, niemiecki związek wolnomularski, rozwijając w tym kierunku groźną działalność, jest dla istnienia Austryi wielce niebezpiecznym, niech mi wolno będzie w krótkich słowach to moje twierdzenie udowodnić.

Przedewszystkiém muszę tu wystąpić przeciwko ogólnie rozpowszechnionemu poglądowi, jakoby całe wolnomularstwo mogło być uważane za coś zgoła niewinnego, za jakieś nieszkodliwe amatorstwo kosmopolityczno-humanitarnych ideałów przyszłości. Rzecz się ma inaczéj. Wolnomularstwo dzisiejsze, wolnomularstwo z 1885 r. nie jest już tém, czém było przed stu laty, przyjęło bowiem w różnych krajach Europy według istniejących obecnie stosunków odrębną, śmiało rzecz można, narodową cechę. W Anglii masonerya nie ma żadnego znaczenia pod względem politycznym i społecznym, we Francyi jest prawie wyłącznie anty-katolicką, we Włoszech i w Hiszpanii republikańską, w Niemczech zaś zdecydowanie monarchiczną a przedewszystkiém niemiecko-narodową, z dążnością rozszerzenia granic państwa niemieckiego, tak daleko, jak tylko sięga mowa niemiecka.

Rozpowszechnianemu przez wolnomularzy twierdzeniu, że z zasady nie zajmują się kwestyami religijnemi ani politycznemi, wierzyć nie należy. W masoneryi dzieje się tak, jak w armii: zwykły szeregowiec nie wié dziś, co wódz na jutro przygotowuje, ale jutro wykona to, co mu wódz rozkaże. W wolnomularstwie znajdują się, jak wiadomo, niższe stopnie niewtajemniczonych, tak zwane loże Janowe (*Johanneslogen*) i wyższe stopnie wtajemniczonych według obrządku szkockiego.

„Gazeta wolnomularzy“ z 1874 r. (Nr. 19) zawiera na str. 150 nader pouczającą pod tym względem mowę wolnomularza włoskiego, w któréj powiedziane jest między innemi:

„Punkt ciężkości naszéj pracy znajduje się wśród wyższych stopni. *Tam stwarzamy postęp, politykę i historyę.* Dla tego szkocki obrządek utrzymuje się w całéj swéj rozległości. W tym rytuale

ojcowie nasi pełnili swoje sławne czyny, strącali tyranów, wypędzali obcych. Ale wielkie dzieło nie jest jeszcze we Włoszech spełnioném (utworzenie rzeczypospolitéj), dla tego potrzebny nam jest jeszcze obrządek szkocki. Czém ma być dla nas Joannes (niższe stopnie)? *Niczem więcéj tylko spokojną nazwą, potrzebną do zaskoczenia nieprzyjaciela z nienacka.* Co dla nas znaczy symbol? Ma być tarczą i osłoną w dniu walki—niczém więcéj. Do czego służyć nam mają wszystkie formy lóż? Ukryją nas przed wrogiem, ilekroć zdarzy nam się nieszczęście, lub ilekroć będziemy potrzebować wypoczynku, skupienia."

W Niemczech wolnomularstwo ma dążyć do „najwyższych celów ludzkości." Otóż dla narodu niemieckiego najwyższym celem obecnie jest panowanie nad światem, a według Findla (Duch i forma wolnomularstwa, str. 69), wolny mularz ma być „człowiekiem pojmującym swój czas i pracującym nad utorowaniem drogi dla piękniejszéj przyszłości."

Pod tym względem na uwagę zasługuje okoliczność, że w Niemczech przed rokiem 1866, a więc przed wielkiemi powodzeniami Prus i dynastyi Hohenzollerów, wątpiono dość powszechnie o wartości i pożytku naówczas jeszcze humanitarnego wolnomularstwa, i że masonerya rehabilitowała się i znacznie rozpowszechniła dopiero po roku 1866.

Z 492 istniejących w Niemczech lóż i tak zwanych „kółek", 199 powstało po 1866 r. albo zupełnie na nowo, albo téż odrodziło się z dawnych, które porozwiązywano z powodu, iż zupełnie utraciły swoje znaczenie.

W Alzacyi i Lotaryngii po 1871 r. znikli francuscy wolnomularze, a na ich miejsce zjawili się niemieccy, co dowodzi, że dawny kosmopolityczny charakter masoneryi ustąpił wobec nowych cech narodowych.

Cesarz niemiecki jest protektorem wielkich lóż pruskich, a następca niemieckiego tronu jest jego namiestnikiem.

Jeden z „dawnych wolnych mularzy", należący widocznie do kierunku kosmopolitycznego, pisze w swojéj książce „Loże masońskie i anneksya" (str. 16) co następuje:

„Wypada tu jeszcze wspomnieć, że zgodnie z najwyższemi intencyami Związku, probowano zaczepić i o politykę." A na str. 25 pisze daléj:

„Dotychczas poczynano sobie w Prusiech w ten sposób, że wszystkie loże, tworzące się pod zwierzchnictwem innych (t.j. niepruskich), były rozwiązywane, loże zaś przybywające wskutek zdobycia innych krajów zmuszano do poddania się wielkim ložom pruskim."

Rzecz zatém tak się ma od 1866 r. Wielkie loże pruskie wytwarzają w innych krajach, a mianowicie w Austryi, loże masońskie, albo tak zwane kółka humanitarne, ale żadnéj niepruskiéj loży niewolno jest w Prusach, (co ma znaczyć w całém państwie niemieckiém) zakładać filii miejscowych.

Wielkie loże berlińskie sterują obecnie szczuplejszém kołem lóż niemieckich, w których dawniejszy kosmopolityzm humanitarny stanowczo ustąpił miejsca narodowo-niemieckiemu kierunkowi szowinistycznemu.

Od 1872 r. istnieje niemiecki związek wielkich lóż, składający się z 8 wielkich lóż niemieckich, z których 3 w Berlinie, a po jednéj w Bayreucie, Darmsztadzie, Dreznie, Frankfurcie nad Menem i Hamburgu.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości że działalność wolnomularstwa niemieckiego jest obecnie prawie wyłącznie polityczną. Przytoczę tu kilka dowodów.

W uroczystéj loży w Stendalu, brat Ronnenfahrt mówił 22 marca 1869 r.

„On (król pruski) jest nietylko naszym królem, ale członkiem naszego związku i protektorem wolnomularstwa. Jak niegdyś Jehowa mówił do Dawida i Salomona: „„Zbudujcie mi dom, ażebym mógł mieszkać przy moim ludzie, któremu przygotowałem ojczyznę w Chanaanie,““ tak Bóg wszechmocny powiedział do naszego króla *„Zjednocz mi wszystkie ziemie niemieckie w jedną wielką dzierżawę,* ażebym nareszcie mógł znaleść upodobanie w tym ludzie, który zawsze miłowałem mimo jego niezgodności, odśrodkowych dążeń i kłótliwych skłonności.““

Następca tronu niemieckiego miał z powodu stuletniego jubileuszu wielkiéj loży w Berlinie, 24 czerwca 1870 r., mowę, w któréj, jako ówczesny mistrz zakonu, otwarcie wypowiedział: „że wolnomularstwo nie może uchylać się od umysłowego ruchu swego czasu.“

O co wtedy chodziło, wiadomo powszechnie, a co pod tym względem loże mają do czynienia, wyjaśnia nam „Gazeta wolnomularzy“ z 1874 r. na str. 141, w słowach dość wyraźnych.

„Ażeby loże ze swemi braćmi skuteczniéj działać mogły, należy je więcéj oświecać i obznajmiać z wielkim ruchem współczesnym. W Niemczech zrobiono już krok ku temu celowi. Jeżeli w pewnym punkcie centralnym będą przygotowane niektóre zgodne z duchem czasu temata i tak przygotowawczo opracowane dostaną się do lóż pod rozprawy, aby jednocześnie uwaga wszystkich lóż zwróconą została na te kwestye, w takim razie wytworzy się spokojne, duchowe przekonanie, a w następstwie zbawienna działalność.“

Jeżeli przytoczone wyżéj fakta zdołają czytelnika przekonać, że wolnomularstwo niemieckie rozwinęło w ostatnich czasach działalność polityczną, czyli ściśléj mówiąc, służy za dobrowolne narzędzie do celów politycznych to w dalszym ciągu wypadnie odpowiedziéć na pytanie: jak się zachowuje masonerya niemiecka względem cesarstwa austryackiego?

Tu wydaje mi się szczególniéj ważnym manifest rewolucyjny Mazziniego, wolnomularza najwyższego stopnia. Manifest pochodzi z 1851 r. i jest drukowany w „Journal des Débats“ z 16 maja 1851 r. Mowa tam o Austryi:

„Wymowny głos wyrzekł co do Austryi słowa, które mówią wszystko: *Delenda est Austria!*“

Za najstosowniejsze środki do tego celu uważa Mazzini: „*l'exploitation de la rivalité des nationalités diverses*“—a zatém rozniecanie i podtrzymywanie waśni narodowych. Tym sposobem zginąć ma Austrya. „Należy zawładnąć Prusami, budząc wojskową ich ambicyę i drażliwość; trzeba opanować Austryę, podburzając i szczując jedne przeciwko drugim rozmaite ludy, z których się składa.“ Tak mówi Mazzini w 1851 r.

Możnaby zaiste mniemać, że Bismarck, zarówno jak stronnictwo niemiecko-narodowe w Austryi, kształcił się w szkole Mazziniego.

Posłuchajmy teraz partyi narodowo-liberalnéj w Niemczech, o któréj wiadomo, że ma z masonami niemieckiemi powinowactwo z wyboru, jeżeli nie zupełną jednomyślność.

„Dziennik drezdeński“ z 21 sierpnia 1859 r. podaje nam program ówczesnego stronnictwa narodowo-liberalnego, w którym czytamy:

1) Utworzenie jednego wielkiego stronnictwa narodowego z tą samą względem Prus postawą, jaką zachowywali konstytucyjni względem Piemontu.

2) Stronnictwo nie liczy się zupełnie z Austryą. W tym kierunku winno czekać chwili, kiedy to państwo wskutek nowego ruchu narodowego, rozpryśnie się na prowincye. *Wtedy prowincye niemiecko-austryackie same z siebie połączą się z Niemcami.*

Trudno wyraźniéj powiedziéć, czego się chce i do czego się dąży. Pierwszy ruch narodowy w Austryi przypadł w 1848 r. Wtedy Niemcy z Czech i Morawii poszli do Frankfurtu, a Słowianie do Wiednia i nie ulega wątpliwości, że Austrya w 1848 r. utrzymała się tylko przez Słowian. Otóż drugi ruch narodowy w Austryi ma zdziałać to, czego w 1848 r. nie osiągnięto, i nie ulega wątpliwości, że tak zwane niemiecko-narodowe stronnictwo w Austryi przyczynia się do tego ze swéj strony, o ile mu sił starczy.

„Dziwne są czasy, w których żyjemy, pisał „Cyrkiel,“ wiedeński organ masońskiego kółka *Humanitas* w maju 1874 r. „Stoczyły się potężne wojny, a wszystkie były wyzwalającemi, bądź z najhaniebniejszéj niewoli (Ameryka), bądź téż z więzów, które ludom, broniącym nieprzedawnionych praw wolności i zjednoczenia, nakładały mocarstwa i dynastye, nie mogące przeciwstawić tym odwiecznym prawom nic więcéj, prócz przestarzałych i w dzisiejszych czasach zgoła już niezrozumiałych zasad prawowitości.“

Jestto również dość wyraźnie powiedziane—a dla stosunków austryackich byłoby zajmującém wiedzieć pod jakim wpływem wydane zostało rozporządzenie ministeryalne z 19 stycznia 1868 r., na mocy którego z roty przysięgi urzędników austryackich wykreślono klauzulę, że wstępujący na urząd nie należy, ani nigdy należyć nie będzie do jakiegobądź związku tajnego.

Że w Austryi, a szczególniéj w niemieckiéj części Czech jak niemniéj w Pradze, istnieją związki wolnomularskie i że egzystują wszędzie tam, gdzie się znajdują stowarzyszenia niemiecko-narodowe, o tém wiadomo powszechnie. Nie jest również żadną tajemnicą że Schneeberg w Saksonii, o kilka godzin od Karlsbadu oddalone, ma naczelną zwierzchność nad związkami wolnomularskiemi w Czechach *via* Karlsbad i że tym sposobem kierunek całego niemiecko-narodowego ruchu w Czechach wychodzi właściwie z cesarstwa niemieckiego. Trudno przypuszczać, aby znalazł się ktoś tak naiwny, ktoby wierzył, że celem całéj agitacyi jest utrzymanie samoistności, potęgi i wielkości cesarstwa austryackiego, gdyby mu nawet niemiecko-narodowe zwierzenia nie otwierały uszów na wręcz przeciwne cele. Do stronnictwa niemiecko-narodowego należy wielu młodych ludzi, którzy, najprzód nie nauczyli się jeszcze milczéć, a powtóre, szukają w tém sławy, ażeby pewne rzeczy bez obawy jawnie wypowiadać, jak np. *studiosus philosophiae* Brückner, który oświadczył w Wiedniu na publicznėm zebraniu, 12 listopada 1883 r. odbytém, „że możemy się jeszcze spodziewać ostatniego aktu wielkiego dramatu narodowego, w którym bohaterką jest Germania, a treścią rewindykacya zachodniéj części Austryi jako ojcowizny prawnie należącéj się narodowi niemieckiemu.“

Widzimy z powyższego, że z téj strony pracowano otwarcie i charakterystycznym jest zaiste objawem, że wobec tego rząd austryacki zachowuje się niemal bezwładnie, możnaby nawet powiedziéć, niezaradnie; że zaś w tych sprawach idzie o samo istnienie Austryi,—wątpić niepodobna. Ponieważ jednak chodzi tu również o narodowe istnienie Czechów, więc czytelnik pojmie, że było koniecz-

ném wyświecić te stosunki i knowania, których znaczenia lekceważyć nie należy.

W mowie, którą miałem 3 marca 1883 r. w wiedeńskiéj radzie państwa z powodu rozpraw nad budżetem, powiedziałem między innemi:

„Wtedy gdy naród czeski wypisał na swoim sztandarze równouprawnienie narodowe i polityczne i nic nad to więcéj, gdy naród czeski spodziewa się osięgnąć to równouprawnienie w wolnéj konstytucyjnéj Austryi i o niczem inném nie myśli, kiedy naród czeski niczego gorącéj nie pragnie jak pokojowego porozumienia się z Niemcami, ażeby potém wspólnemi siłami strzedz interesów materyalnych i umysłowych kraju (Czech) i cesarstwa, stronnictwo niemiecko-narodowe, mimo swego, tak zwanego liberalizmu, obstaje przy mniemaném prawie do narodowéj przewagi, odtrąca rękę, podaną do porozumienia się i pojednania, i w razie konieczności, chce przy pomocy potężnego cesarstwa niemieckiego wszechwładztwo swoje utrzymać, choćby nawet runąć przy tém miała pozycya Austryi jako wielkiego mocarstwa a w końcu i jéj istnienie. Partya niemiecko-narodowa głosi: Austrya musi być niemiecką albo nie istniéć wcale.“

W tych kilku słowach scharakteryzowana jest nasza sytuacya w stosunku do Niemiec, ponieważ zaś ta sytuacya doszła już obecnie do punktu nader niepokojącego, na którym musi się rozstrzygnąć waśń narodowa, wiec sądzę, że nie od rzeczy będzie dorzucić jeszcze parę uwag dla dopełnienia obrazu i zupełnego wyjaśnienia położenia. W tym celu muszę cofnąć się nieco w przeszłość.

W roku 1866, Niemcy w Austryi (mogę tu powiedziéć, nie mijając się z prawdą: inteligentna ich klasa, zajmująca się politycznemi sprawami i wypadkami) byli, z małym wyjątkiem, zdecydowanemi przeciwnikami Prus. Konstytucya Schmerlinga z 26 lutego 1861 r. uczyniła ich ludem rządzącym w nowéj kostytucyjnéj Austryi; na podstawie Schmerlingowskiéj ordynacyi wyborczéj mieli większość w sejmach Czech i Morawii, stanowili wyłącznie uprzywilejowaną, uzdolnioną do rządzenia ludność zachodniéj Austryi, czyli tak zwanéj Przedlitawii, nic nie zagrażało ich narodowemu istnieniu, a jako konstytucyjni obywatele Austryi, mieli prawo domagać się korzystania ze wszelkich materyalnych zysków, jakie przysługiwały Niemcom, mającym za sobą znakomitą większość w ciałach reprezentacyjnych. Mieli przy tém wielko-niemieckie zachcenia, ale jako austryacy, z dążeniem ku austryackiéj przewadze w Niemczech. Ruch narodowo-niemiecki w krajach Rzeszy nie występował jeszcze urzędownie,—miał raczéj tu i owdzie stanowczo rewolucyjny charakter.

W Czechach i w Morawii Niemcy byli *beati possidentes*; sądzili, że przewagę swoją utrzymają bez wielkich zachodów za pomocą *ad hoc* obmyślanych urządzeń prowincyonalnych i że z opozycyą czeską załatwią się kilkoma w duchu narodowym ustępstwami.

Wypadki 1866 r., zwycięstwo Prus nad Austryą i wykluczenie téj ostatniéj z Niemiec, z zagrodzeniem jéj z góry drogi, w tajemnych traktatach Prus z Badenem, Wirtembergiem i Bawaryą, do utworzenia związku południowo-niemieckiego, nie wprowadziły właściwie żadnych zmian ważnych do przedstawionego wyżéj stosunku między Niemcami a Słowianami w Czechach i Morawii. Uprzywilejowana pozycya pierwszych wzmocniła się raczéj i utrwaliła, dzięki stworzonemu w 1867 r. dualizmowi; wtedy bowiem otwarcie wygłoszoną została maksyma państwowa dualistycznéj Austryi. We wschodniéj połowie panującym narodem są Madziarowie, w zachodniéj—Niemcy.

Rok 1870, niewątpliwie epoka w dziejach Europy, miał również i dla stosunków austryackich, następstwa stanowcze, rozstrzygające. Jeżeli w początku tego roku żywiono jeszcze w Austryi nadzieję, że można będzie przeszkodzić utworzeniu się zjednoczonego cesarstwa niemieckiego pod berłem króla pruskiego, to w końcu roku bezprzykładne klęski Francyi położyły kres tym nadziejom. Hrabia Beust, karmiący się temi złudzeniami, musiał oddać ster polityki austryackiéj w inne ręce, których zadaniem było wytworzenie między Austryą a zwycięzkiém nowopowstałém cesarstwem niemieckiém jakiegoś sąsiedzkiego pożycia, odpowiadającego nowym stosunkom. Chodziło przedewszystkiém o zupełne i stanowcze zamknięcie rachunków z niemiecką polityką austryacką, która polegała na utrzymywaniu przewagi Austryi w Niemczech i na przedstawianiu w tym celu Austryi za bardziéj niemiecką, aniżeli nią jest w rzeczywistości. Jeżeli dotąd warunkiem dążenia do téj supremacyi była uprzywilejowane stanowisko Niemców w Austryi, jako narodu panującego, a zatém wypieranie i możliwa germanizacya wszystkich nie-niemieckich ludów Austryi, to nadal należało wyrzec się stawiania przewagi Niemców jako *conditio sine qua non* austryackiéj polityki państwowéj, interesom bowiem dynastyi austryackiéj odpowiadało raczéj przedstawienie nie-niemieckiego charakteru Austryi w świetle odpowiadającém rzeczywistym stosunkom, słowem, wypadało rozproszyć fikcyę, którą dotychczas sztucznie podtrzymywano, bynajmniéj nie w interesie zdrowéj polityki wewnętrznéj, ale w celach polityki zagranicznéj.

Że przy takiém radykalném przekształceniu polityki wewnętrznéj w Austryi, Czechy musiały odegrać główną rolę, dowiodły tego właśnie teraz istniejące stosunki. Naród czeski, tak długo rozmyśl-

nie ignorowany, przeznaczony był do wykazania *ad oculos* przed całą Europą nie-niemieckiego charakteru zachodniéj połowy Austryi.

Przeprowadzenie nowéj zasady politycznéj państwa austryackiego powierzono gabinetowi Hohenwartha w lutym 1871 roku. Sama okoliczność, że dwóch Czechosłowian (dr. Habĕtinek jako minister sprawiedliwości i Jireček jako minister oświaty) należeli do tego gabinetu, była wskazówką charakteryzującą obrany kierunek i dostateczném ostrzeżeniem dla Niemców, że ich uprzywilejowane w Czechach wszechwładztwo zbliża się ku końcowi. Sytuacya stała się zupełnie jasną, kiedy sejm czeski został rozwiązany i nastąpiły nowe wybory, w których przez widoczne wpływy rządu niespodzianie wyszła na jaw czeska większość w sejmie czeskim. Powinienbym raczéj powiedziéć „nie-niemiecka“ większość, i pozwolę sobie pokrótce o tém przypomniéć, że według obowiązującéj obecnie ordynacyi wyborczéj w sejmie czeskim zasiada prawie jednakowa liczba niemiecko-narodowych i czesko-słowiańskich posłów i że 70 deputowanych z większéj własności ziemskiéj stanowią zarówno o charakterze jak i o barwie sejmu. Ponieważ tych 70 posłów z wielkiéj własności ziemskiéj wybierani są jednym aktem wyborczym, więc zwycięża albo stronnictwo, które nazwać można niemiecko-narodowém albo tak nazwana partya zachowawcza, która wprawdzie nie jest czesko-narodową, ale w sejmie głosuje z Czechami przeciwko niemieckim narodowcom.

Nowy sejm czeski w 1871 energicznie zabrał się do roboty. Wypracowano dla Czech nową ordynacyę wyborczą, która miała zaradzić jawnym niesprawiedliwościom ordynacyi Schmerlingowskiéj, naturalnie nie na korzyść Niemców; stworzono prawo o narodowościach, które zastrzegając równe prawa dla obu narodów, również nie wypadło na korzyść Niemców, zmierzało bowiem do położenia tamy ich uprzywilejowanéj supremacyi i nareszcie w okrzyczanych „artykułach zasadniczych“ zaprojektowano daleko sięgającą zmianę w konstytucyi, która podobnież nie mogła przypaść do smaku Niemcom, jako nie z ich korzyścią zrobiona, bo wbrew ich centralistycznym dążeniom miała na widoku szerszą autonomią pojedynczych królestw i krajów.

Opozycya Niemców przeciwko gabinetom Hohenwartha była ogólna i bardzo gwałtowna. Właśnie w chwili; kiedy Niemcy austryaccy poczuli się w swéj świadomości narodowéj tak wysoko podniesionemi, jako cząstka zwycięzkiego narodu niemieckiego, kiedy cała Europa z podziwem, ze zdumieniem patrzyła na bezprzykładne tryumfy zjednoczonego w chwale i rozgłosie narodu, właśnie w téj chwili mieli być pozbawieni panowania, które im się, przynajmniéj

według ich przekonania, należało z prawa wyższości umysłowéj i które było im dotąd zapewnione zasadniczemi ustawami państwa. Nie można było wymagać takiéj rezygnacyi od Niemców austryackich, ani od Niemców w nowém cesarstwie. Mówiono, że upadek gabinetu Hohenwartha był dziełem wpływów berlińskich głównie, i w istocie trudno o tém wątpić.

Ale nieudana próba przekształcenia Austryi na wyłącznie austryackich podstawach, zrobiona przez ministeryum Hohenwartha, fatalnie oddziałała na stosunek między Niemcami i Słowianami w Czechach. Jeżeli dotąd Niemcy widzieli w Czechach przeciwników narodowych, których skłonni byli zadowolnić i zaspokoić w pewnych granicach i pod pewnym względem, to od téj chwili Czesi wydali im się nienawistnemi wrogami, dążącemi do wydarcia im najdroższego dobra, nieprzyjaciółmi, których właśnie dla tego trzeba było uczynić nieszkodliwemi. Wina Czechów stała się w oczach Niemców, o tyle większą, że ten mały naród, pozostawiony na etacie wymarcia, chciał się zmierzyć z częścią wielkiego rozsławionego narodu niemieckiego, że tak zwany pogardliwie przez Niemców „narodek,“ który uważano po prostu za przedmiot do prób cywilizacyjnych, wstąpił w szranki o zdobycie jako nagrody, wpływu politycznego w zapasach z narodem „kulturowym,“ który nadto przyznawał sobie prawo nazywania się pierwszym między narodami kulturowemi.

Po gabinecie Hohenwartha nastąpiło niemiecko-narodowe ministeryum Auersperga, dla którego naród czeski był przedmiotem namiętnego prześladowania. Blizko 8 lat trwał terroryzm tego ministeryum, które mimo bezwzględnéj energii nie zdołało złamać oporu Czechów, zakończył się zaś ten okres cierpienia narodu czeskiego nie wskutek owego oporu, ale dla tego, że cesarstwo niemieckie potrzebowało mieć pod ręką dogodnego, przejednanego sprzymierzeńca. We wrześniu 1879 r. przybył książę Bismark do Wiednia w celu zawarcia z Austryą nowego przymierza za cenę swobodniejszego dla Austryi ruchu w polityce wewnętrznéj. Hrabia Taafe podjął się trudu przekształcenia Austryi na samoistnie z cesarstwem niemieckiem sąsiadujące państwo, na podstawach istniejących w niém stosunków rzeczywistych. Dawniejszą, niemiecką politykę porzucono stanowczo, bo nie było już żadnego interesu w przedstawianiu Austryi za bardziéj niemiecką aniżeli nią jest istotnie; przeciwnie leżało w interesie dynastyi przedstawić ją jako nie-niemieckie, złożone z różnych ludów mocarstwo. Czesi ukazali się w radzie państwa (1879), a przez ten ich udział dotychczasowa większość niemiecko-narodowa stała się mniejszością. Nowy rząd wziął się bardzo ostrożnie do dzieła; niemniéj jednak prześladowanie narodowe i ucisk nie-niemieckich ludów,

a szczególniéj Czechów został zaniechany; słowem gabinet Taafego nie był rządem systematycznie germanizującego, wrogo dla Słowian usposobionego stronnictwa narodowców niemieckich. Przeciwnie, ta ostatnia partya uczuła, że to dla niéj kwestya życia lub śmierci i poruszyła wszystkie sprężyny celem obalenia nienawistnego gabinetu. Środki, użyte do tego celu przez stronnictwo niemiecko-narodowe, prowadzą do nowéj fazy waśni narodowéj w Czechach. Niemiecka ludność w Czechach była w kierunku narodowym z dwóch stron obrabiana i miała służyć za narzędzie do osiągnięcia dwóch zupełnie odrębnych celów.

Po jednéj stronie stała niemiecka partya konstytucyjna, koterya złożona z parlamencistów z profesyi, którzy, dzięki uprzywilejowanéj pozycyi, zdobyli sobie siłę, znaczenie, a nawet majątek, i którzy nie mogli oswoić się z myślą, że ich nowy porządek rzeczy pozbawi tych wszystkich przyjemnych i pożytecznych nabytków. Ludziom tym szło przedewszystkiém o to, żeby na nowo dostać się do wpływu i znaczenia i nie czuć nadal braku związanych z tém wszystkiém korzyści materyalnych. Jako przywódcy stronnictwa niemieckiego, musieli naturalnie głosić *pro domo sua* teoryę, że Austrya jest państwem niemieckiém, w którém jedynie niemiecka partya może być uważana za istotnie przeznaczoną do rządzenia i za podporę państwa. W tym téż celu musiała być postawiona zasada, że Niemcy, z powodu swéj wyższości narodowéj, są, jako naród kulturowy, powołani do panowania w Austryi nad innemi, niższemi rasami, które tylko przy pomocy wyższéj kultury Niemców mogą się spodziewać lepszéj, godnéj człowieka przyszłości. Jeżeli to wszystko było w ich oczach niezbitym pewnikiem, to należało pracować nad rozbudzeniem wśród niemieckiéj ludności w Czechach rzetelnego uczucia godności narodowéj, to jest nad rozpowszechnieniem przekonania, że Niemcy są czémś nierównie lepszém, szlachetniejszém, wyższém od słowiańskich ziomków, i że tylko przez utrzymanie w nieposzlakowanéj czystości téj narodowéj przewagi, mogą godnie odpowiedzieć swojéj wzniosłéj misyi wszechwładztwa.

Dzięki samolubstwu wrodzonemu naturze ludzkiéj, bywało po wszystkie czasy wdzięczném zadaniem, wmawiać w kogoś, że jest lepszym od innych, i nie trzeba zaiste długich wywodów ani historycznych cytat, ażeby dowieść słuszności tego twierdzenia. Nietrudno też było rozpowszechnić wśród ludności niemieckiéj podobne poglądy, na których żądna władzy koterya niemieckich wiernokonstytucyjnych oprzéć chciała urzeczywistnienie swoich egoistycznych planów. Rozporządzenie w przedmiocie języka z kwietnia 1880 r. było pod tym względem doskonałym przedmiotem do agitacyi.

Główna zasada tego rozporządzenia, równouprawnienie obu narodowości, natrafiła na gwałtowny opór i przedstawioną została jako niesłychana krzywda, którą wyższości niemieckiéj wyrządzono. Uznano to za tyrańskie poniżenie Niemców, żeby urzędnicy zmuszeni byli do uczenia się języka niższego ludu, a z graciarni absolutyzmu odgrzebano twierdzenie, jakoby język niemiecki był językiem rządu, z czego miało wynikać, że powinien być nietylko urzędownie obowiązującym we władzach politycznych i sądowych, ale że i strony powinny być zmuszane do używania z władzami urzędowego języka niemieckiego.

Ażeby w zupełności ocenić skuteczność téj agitacyi wśród niemieckiéj ludności, trzeba należycie zwrócić na to uwagę, że działano tu na dwie wiadome słabe strony natury ludzkiéj: na próżność i lenistwo, na próżność, podniecając przeświadczenie o narodowéj wyższości, na lenistwo, przedstawiając mozoł uczenia się języka czeskiego. Że przytém podraźni się wiele nieszlachetnych i gwałtownych namiętności wśród mieszkańców niemieckich, o to panowie niemieccy kandydaci do rządu zdawali się niewiele troszczyć, bo mieli zawsze tylko jeden cel przed oczyma: obalić istniejący systemat rządowy przy pomocy wzrastającego zaniepokojenia i niezadowolenia ludności niemieckiéj i samym znów dostać się do steru.

Winienem tu wyraźnie zastrzedz, że istniejący systemat rządowy nie tamuje żadnemu Niemcowi swobodnego rozwoju jego życia narodowego, że ten rząd, zwany nieprzyjacielem niemczyzny, nierównie troskliwszą otacza opieką duchowe interesa Niemców, aniżeli takież sprawy innych nie-niemieckich ludów, że językiem najwyższych władz centralnych i korporacyi przedstawicielskich w parlamencie (rada państwa i delegacya) pozostał bez sporu ani opozycyi z czyjéj bądź strony język niemiecki, że zatém w Austryi istnieje faktycznie państwowy język niemiecki, jakkolwiek niemieckie stronnictwo nie jest panującém w parlamencie ani w państwie; daléj, że w sejmie czeskim, gdzie obecnie partya niemiecko-narodowa znajduje się w mniejszości, że w urzędach gminnych miasta Pragi, w którego radzie gminnéj i kolegium municypalném niema obecnie ani jednego Niemca, równouprawnienie narodowe przeprowadzone jest jaknajprzezorniéj i jaknajsumienniéj. *Nie istnieje zatém w Austryi ani w Czechach najlżejszy ślad ucisku Niemców, lub prześladowania żywiołu niemieckiego*, a cała krzywda, jaką wyrządzono Niemcom w Austryi i w Czechach, według ich mniemania i twierdzenia, polega na tém, że uprzywiliowane zwierzchnictwo niemieckie nie jest już uważane za *conditio sine qua non* istnienia i utrzymania się cesarstwa austryackiego.

Mimo to, ruch narodowy wśród ludności niemieckiéj Czech doszedł teraz do takiego punktu, że musi każdego szczerego patryotę austryackiego napełnić obawą i można nawet śmiało twierdzić, że przywódcy niemieckiéj partyi konstytucyjnéj, którzy pierwiastkowo ten ruch według gotowego planu wywołali, teraz stoją bezsilni wobec własnego dzieła, nie wiedząc co z niém począć. Kierownictwo ruchu wymknęło im się z rąk w zupełności, a agitacya zeszła na drogę, na któréj panowanie Niemców w Austryi przestało już być jedynym celem.

Wspomniałem wyżéj, że niemiecka ludność w Czechach z dwóch stron jest obrabianą pod względem narodowym, z kolei więc wypada mi pomówić o téj drugiéj stronie. I tu proszę przedewszystkiém czytelnika, ażeby raczył przypomniéć sobie to, co powiedziałem o niemieckim związku wolnych mularzy. Żądni władzy panowie z niemieckiéj partyi konstytucyjnéj w Austryi, swoją zorganizowaną propagandą, w któréj namiętne podniesienie niemieckiego uczucia narodowego główną odgrywało rolę, przygotowali doskonale ludność niemiecką do stania się przedmiotem wielkoniemieckich narodowych agitacyi masonów germańskich. Taki jest, treściwie określony, obecny stan rzeczy.

Program narodowy, przedstawiony ludności w Czechach przez pp. Herbsta i Schmeykala, o których austryackiém usposobieniu nie chcę bynajmniéj wątpić, i streszczający się w słowach: „Panowanie polityczne Niemców w Austryi“, uległ wielkiéj zmianie i zamiast specyficznie austryackiego, nabrał czysto wielko-niemieckiego charakteru. Wszystkie niemieckie stowarzyszenia i śpiewackie i gimnastyczne i narodowe, które pozakładało właściwie stronnictwo konstytucyjne austryackie w niemieckich częściach Czech dla popierania własnych celów, stały się teraz ryczałtem stowarzyszeniami z wielko-niemiecką dążnością, których centralny kierunek znajduje się już nie w rękach d-ra Herbsta, lecz w lokalu *Związku wielkich lóż*. Ton tym stowarzyszeniom nadaje już nie Herbst lub Schmeykal, lecz p. dr. Knotz, adwokat w Czeskiéj Lipie, i jego współwyznawcy. Sytuacya zmieniła się zupełnie; dla nas Czechów, jak to wkrótce będę miał sposobność wykazać — nie polepszyła się bynajmniéj.

Że w obozie Niemców chodzi o radykalną zmianę pozycyi i szyku bojowego, dowodzi stanowczy opór, jaki postawili przeciw kandydaturze dra Knotza w wiedeńskiéj radzie państwa pp. Herbst i Schmeykal. Wiedzieli dobrze, co znaczy Knotz i sądzili z początku, że własnym wpływem przeszkodzą jego wyborowi. Ale kiedy spostrzegli, że trwając w oporze, mogą sami stracić dotychczasowy

wpływ na ludność niemiecką, poddali się konieczności, przyjęli Knotza jako swego własnego kandydata i uniknęli w ten sposób fatalnego dla siebie starcia. Dr. Knotz ukazał się na ostatniéj sesyi rady państwa na początku 1885 r. w charakterze przedstawiciela tak zwanéj „ostrzejszéj tonacyi“, jak się eufemistycznie wyrażano. Dr. Knotz pragnął téż w radzie państwa zabrać głos, ażeby najprzód po swojemu coś powiedziéć o stosunkach czeskich.

Dr. Knotz jest synem swęgo czasu, stworzonym do takiego zadania, jak namiętne podbudzanie mas, mała przysadzista figurka, potężny, niezbyt przyjemny, ale tém hałaśliwszy głos, namiętna dykcya z odpowiednią gestykulacyą. Sądząc z wrażenia, jakie wywierają jego mowy na długoletniego i pod tym względem zahartowanego parlamencistę, słowo d-ra Knotza musi zapalnie działać na masy i tém się tłómaczy jego popularność wśród niemieckiéj ludności Czech w tych burzliwych czasach. Nie będę czytelnika utrudzać treścią mów, które wypowiadał dr. Knotz w radzie państwa, bo to, co tam mówił nie jest jeszcze ważniejszém od tego, co ma właściwie do powiedzenia. Oczywistym celem jego mów było naturalnie rozbudzenie namiętnéj nienawiści przeciwko Czechom. Ta praca jest teraz głównem zadaniem agitatorów narodowo-niemieckich i główną treścią tak zwanego poczucia narodowego niemieckiéj ludności w Czechach. Winienem tu jednak dodać, nie całéj ludności, wśród któréj znajdują się przecie żywioły umiarkowane, dające do siebie przystęp ludzkości i słuszności, których głos, niestety, jak to się zwykle dzieje w chwilach niespokojnych, zagłuszają namiętne i krańcowe hasła.

W ostatnich czasach (blisko od 2 lat) wytworzyła się w północnych Czechach „austryacka partya ekonomiczna“, rekrutująca stronników głównie między ludem wiejskim. Sama nazwa już wskazuje, że zadaniem tego stronnictwa ma być występowanie przeciwko nieaustryackim zachciankom, a przytém zwrócenie publicznéj działalności, wyzyskiwanéj jedynie na agitacye narodowe, w innym kierunku, przez wytknięcie jéj, jako celu, pracy około interesów materyalnych. Ta austryacka partya ekonomiczna wegetuje bez szczególniejszego powodzenia, jakkolwiek na jéj czele stoi kilku dzielnych mężów niemieckich. Stronnicy jéj napiętnowani zostali przez krańcowych narodowców mianem zdrajców, cierpią przy każdéj sposobności najbrutalniejsze prześladowanie i mimo, że są prawdziwemi Niemcami, denuncyowani byli ludności niemieckiéj jako przyjaciele Czechów, lub po prostu jako Czechowie, a zatém jako wrogowie i godni pogardy nieprzyjaciele świętéj sprawy narodowéj. Austryackie usposobienia stały się już nieledwie występkiem w oczach

prawdziwych narodowców niemieckich w Czechach, a najlżéj przychylne zdanie o Czechach uchodzi u tych egzeltowanych za zdradę przeciwko czci niemieckiéj. Namiętne wzburzenie, szczególniéj wśród młodszéj części niemieckiéj ludności w Czechach, z pomiędzy któréj rekrutują się stowarzyszenia śpiewackie i gimnastyczne, doszło obecnie do tego stopnia, że dla Czecha stało się rzeczą ryzykowną podróżować po okolicach niemieckich, nie jest bowiem bezpieczny od publicznych obelg i czynnych zniewag. Mógłbym pod tym względem przytoczyć cały szereg poszczególnych wypadków, które posłużyłyby za dowód tego co wyżéj powiedziałem.

Ponieważ w większéj części miast, mówiących po niemiecku, znajdują się czeskie mniejszości (w Reichenbergu naprzykład około 5000) dochodzące w niektórych miastach przynajmniéj do kilkuset, a jednym z punktów programatu narodowców niemieckich jest przedstawienie terytoryum, na którém przeważa język niemiecki jako czysto niemiecki i miast na niém jako na wskróś niemieckich, można więc sobie łatwo wyobrazić, że egzystencya tych czeskich mniejszości w niemieckich miastach w Czechach, nie może być obecnie arcy przyjemną. Stanowią one teraz przedmiot sporny walki narodowéj, prowadzonéj z wielką zawziętością; ze strony Czechów robi się co tylko można, żeby je utrzymać i wzmocnić, Niemcy pracują nawet nad możność, żeby im życie zatruć i zmusić do usunięcia się. W téj walce stowarzyszenie staje przeciw stowarzyszeniu, *Ústředni matice školská*, przeciw niemieckiemu stowarzyszeniu szkolnemu, *Pošumavská jednota* przeciw „Związkowi Lasu czeskiego“, *Severočeská jednota* przeciw miejscowym stowarzyszeniom narodowym. Czy lud czeski, mimo całą swą ofiarność, ostoi się wobec coraz obficiéj napływających środków pieniężnych od mnogiego narodu niemieckiego, jest-to kwestya, któréj tu podnosić nie będę. Sądzę natomiast, że zajmie czytelnika to, co o ofiarności narodu czeskiego powiedział jego przeciwnik. Dr. Langer miał 26 stycznia 1885 r. w niemieckiém kasynie w Pradze odczyt o działalności wymienionych wyżéj stowarzyszeń narodowych, pozwolę więc sobie z téj prelekcyi przytoczyć dosłownie następujące wyjątki:

„W niemieckim „Böhmerwaldbund“ doszliśmy z wielkim trudem do 45 grup miejscowych; Czesi mają ich przeszło cztery razy więcéj, t. j. 200 w swojéj *Pošumavská jednota*, choć nie zwracali się ani do Wiednia, ani do Linzu. Gorliwość Czechów jest istotnie zdumiewająca, jeżeli się weźmie na uwagę, że przed czterema tygodniami mieli tylko 170 stowarzyszeń miejscowych i że w tym krótkim czasie przybyło ich 30. Gdy oni posiadają w jednym tylko okręgu Volyńskim 12 czeskich stowarzyszeń miejscowych, my posiadamy

w całych zachodnich i północnych Czechach tylko 9, wyraźnie dziewięć, a doliczywszy do nich 2 w Pradze,—11. Do tego winienem dodać, że Czesi mają w trzech okręgach (1) po 7 stowarzyszeń miejscowych, w 7 okręgach po 6, a w wielu innych po 3 lub po 2. Czesi ogłaszają ciągle w swoich dziennikach obfite składki, a my musimy milczéć, żeby sobie nie wystawić świadectwa ubóstwa. Czesi mają 84 członków-założycieli swego stowarzyszenia, wnoszących po 100 złr., my posiadamy tylko 6 członków téj kategoryi. Między temi 84 członkami-założycielami liczą Czesi 29 korporacyi, a mianowicie reprezentacye okręgowe, gminy, kasy oszczędności, kasy zaliczkowe i inne stowarzyszenia. Czesi mają w swoich stowarzyszeniach wielu członków, płacących rocznie od 10 do 5 złr.; my posiadamy jednego członka wnoszącego 10 złr., a kilku zaledwie płacących 5 złr. W swojéj „Ustředni matice školská" mają Czesi 22,574 członków, 181 stowarzyszeń miejscowych; w 1884 roku osiągnęli dochodu 210.928 złr.; liczą 112 członków-założycieli składających po 500 złr., 1254 płacących po 100 złr., 1159 rzeczywistych członków ze składką roczną 10 złr. i 1951 opłacających rocznie po 5 złr. Czesi rozdali już w swojéj *Pošumavská jednota* 18 stypendyów wynoszących rocznie po 2520 złr.,—my dopiero 2 po 600 złr. Czesi wyznaczyli 500 złr. wsparcia jednemu dusz-pasterzowi czeskiemu, my w tym kierunku nie robimy nic, jakkolwiek potrzeba nam niemieckich dusz-pasterzy. Ale Czesi prześcigają nas nietylko w rzeczach pieniężnych, są o wiele ruchliwsi i pod innym względem: mianowicie podczas ostatnich świąt Bożego narodzenia *uszczęśliwili* (sic) 36 miejscowości Lasu Czeskiego wędrownemi nauczycielami z Pragi, Pilzna i Kolina. Nasz *Böhmerwaldbund* wyprawił w tym roku z trudnością 4 nauczycieli wędrownych."

Jest u nas wielu ludzi, którzy dają się łatwo ukołysać zaspakajającemu uczuciu pewności tryumfu wobec takich świadectw naszych przeciwników i zgoła o tém nie wątpią, że Czesi muszą jako zwycięzcy wyjść z walki, która między niemi a ich niemieckiemi ziomkami doszła w ostatnich czasach do takiéj gwałtowności, że możnaby ją nazwać walką nieledwie na śmierć lub życie. Ja nie mogę poddać się bezwarunkowo takiemu uczuciu i uważam za odpowiedniejsze celowi spokojnie rozważać wszystko, co jest możliwém, ażeby być przygotowanym na wszelkie ewentualności.

Z jednéj więc strony mam zaspakajające przekonanie, że zapasy, w których walczymy, są sprawiedliwe, bo jest to walka samozachowawcza, walka o byt narodowy ludu czeskiego, zatém walka

(1) Okręgi polityczne administracyjne.

o dobro, do którego każdy naród, każde państwo ma naturalne, nie podlegające sporowi prawo. Celem naszéj walki nie jest ani przemoc, ani podbój, nie chcemy ani ujarzmiać, ani wynaradawiać żadnego narodu, chcemy sobie tylko zdobyć rzeczywiste prawo utrzymania w państwie austryackiém naszéj odrębności narodowéj i miéć zabezpieczone warunki życia narodowego, bez troski i bez żadnego ograniczenia.

Według idealnego nieco, albo raczéj chrześciańskiego, czy téż humanitarnego na świat poglądu, możnaby wierzyć, że osiągnięcie celu, do którego wyłącznie i jedynie dążymy, nie może być tak trudném. Możnaby mniemać, że w Europie, w tym centralnym punkcie tak zwanéj cywilizacyi, wszystkie tak zwane narody kulturowe, musiały przynajmniéj w tém dojść do jasnego pojęcia, co właściwie stanowi cywilizacyę ludzką, na czém duchowy postęp ludzkości polega, a zatém do jakich celów zdążać muszą narody, które rzeczywiście chcą zasłużyć na nazwę narodów cywilizowanych i krzewicieli kultury. Możnaby przypuszczać, że czasy, kiedy nie istniały żadne prawa, kiedy czynami ludzkiemi nie kierowały żadne zasady humanitarne, lecz tylko siła brutalna, która na każdą potrzebę tak zwane prawa tworzyła, aby je potém znów podeptać, że takie czasy barbarzyństwa daleko już po za nami zostały. Możnaby wierzyć, że moralność chrześciańska: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło“, takiego już znaczenia nabrała w świecie chrześciańskim, że powinnaby miéć wpływ rozstrzygający na stosunki międzynarodowe ludów i państw chrześciańskich. Należałoby przypuszczać, że zasady tak zwanego humanitaryzmu, według których utrzymanie i pielęgnowanie życia pojedyńczych osobników winno być otoczone wszelkiemi możliwemi względami i pieczołowitością, według których uważa się za barbarzyństwo zabijanie słabych dzieci i ułomnych starców, mogłyby być również zastosowane do pielęgnowania życia całych narodów, że zatém nie może być pozwoloném żadnemu narodowi choćby materyalnie najsilniejszemu, najpotężniejszemu, a duchowo najwyżéj stojącemu, jedynie z samowoli wykreślać z liczby żyjących imię innego narodu. Możnaby mniemać, że tak zwane nowożytne idee: wolności, równości i braterstwa nie są przecież pustemi słowami bez wszelkiego znaczenia praktycznego, lecz stanowią ogólne duchowe mienie całéj ludzkości, do którego każdy naród może swoje skromne rościć pretensye. Możnaby przypuszczać, że w chrześciańskiéj cywilizowanéj Europie XIX stulecia wszędzie już powinna była przeniknąć zasada, że niema zarówno między jednostkami jak między narodami urodzonych tyranów i urodzonych niewolników, ale że drogi swobodnego rozwoju i możność zdobycia sobie rów-

nych praw i równego znaczenia muszą stać otworem dla każdego narodu, jako przyrodzone jego prawo.

Gdybyśmy liczyć mieli na potężny wpływ takich idei (a nie przeczę bynajmniéj, że nań po części liczymy), w takim razie nie mielibyśmy potrzeby lękać się o rezultat naszéj walki narodowéj. Niestety jednak, w rozwoju humanitarnym europejskiéj powszechności nastąpiło niepokojące cofnięcie się ze strony tego właśnie narodu, który sądzi, że stoi obecnie na czele narodów europejskich. Dawniejszy kierunek humanitarny narodu niemieckiego, tego narodu myślicieli i filozofów ustąpił w nowszych czasach przed wojowniczym szowinizmem, a hasło jego moralności publicznéj zawiera się w słowach: *siła stwarza prawo.* Czy słowa te wymówił i uświęcił Bismarck, jest w gruncie rzeczy obojętném,— idzie głównie o to, że postępuje się według nich. Samolubstwo narodowe w najostrzejszéj formie nastąpiło po dawniejszym kosmopolityzmie humanitarnym. Potęga i wielkość cesarstwa niemieckiego, panowanie Niemców—oto polityczne *credo* nowożytnych patryotów niemieckich; prawa innych narodów, nie wykluczając prawa do istnienia pogardliwie przez nich nazywanych „narodków“, są to rzeczy, których , wobec wzniosłego celu, t. j. rozszerzenia własnéj potęgi, nie mogą brać na uwagę. Tém się téż tłómaczy najnowsze przekształcenie masoneryi niemieckiéj.

Istnienie narodu czeskiego jest zasadniczą przeszkodą na drodze do urzeczywistnienia wielko-niemieckich planów i nienawistnym kamieniem obrażenia przy tworzeniu wielko-niemieckiego dzieła narodowego. Więc próbowano w obozie niemieckim po prostu zaprzeczyć rzeczywistemu istnieniu narodu czeskiego, rozwojowi własnéj czeskiéj literatury narodowéj i przedstawić wszystko, co naród czeski może wykazać na polu duchowém, jako importowane z Niemiec, jako pracę niemieckich krzewicieli kultury. W tym celu trzeba było przedewszystkiém podać w wątpliwość autentyczność królodworskiego rękopisu, a to i owo co najmniéj z góry ignorować. Gdy to wszystko nie pomogło i naród czeski wydźwignął się do znaczenia narodowego i politycznego, wzięli się do propagowania w najbrutalniejszy sposób wojny, tępiącéj niewygodny dla wielkoniemieckich planów naród czeski i do rozniecania przeciwko Czechom fanatycznéj nienawiści rasowéj nietylko w Niemcach czeskich, ale w całym wielkim narodzie niemieckim. Każde narodowe dążenie Czechów przedstawiane jest jako krzywda wyrządzona narodowi niemieckiemu, a Niemcy czescy, bynajmniéj nie zagrożeni w swojém życiu narodowém ani ze strony rządu austryackiego, ani ze strony Czechów, odgrywają rolę upośledzonych dzieci cesarstwa niemieckiego i uważa się za narodowy obowiązek narodu niemieckiego wy-

zwolić te nieszczęśliwe dzieci z ich ciężkich cierpień, a niegodziwych Czechów ukarać należycie za wyrządzaną im krzywdę.

W chwili, gdy piszę te słowa (21 i 22 lipca), odbywa się właśnie w Dreznie ogólno-niemiecka uroczystość gimnastyków. Samo z siebie rozumie się, że na ten festyn zaproszone zostały i przybyły stowarzyszenia gimnastyczne niemieckie z Austryi, a zatém i z Czech. Gdyby gdzieś w Rosyi była urządzona ogólno-słowiańska uroczystość gimnastyków, a czeskie stowarzyszenia „Sokoła“ chciały w niéj przyjąć udział, możeby rząd austryacki uznał taki udział za zbyteczny lub niestosowny i miał coś przeciw niemu do nadmienienia. Jeżeli zatém nie uczynił tego względem zjazdu niemieckich gimnastyków w Dreznie, to dla każdego nieuprzedzonego badacza stosunków austryackich będzie to dowodem, jak Niemcy austryaccy uciskani są pod względem narodowym. Pragnąc wykazać, jakie znaczenie dla Austryi mają takie zjazdy gimnastów niemieckich, pozwolę sobie nadmienić co następuje.

Kiedy austryacko - niemieckie stowarzyszenia gimnastyczne przyjechały swoim własnym pociągiem do pogranicznéj stacyi austryackiéj, Podmokli, skąd pociąg saski miał je daléj wieźć do Drezna, zarząd kolejowy saski chciał dla nich okazać uprzejmość i przyozdobić świątecznie przeznaczoną do pociągu lokomotywę. Jedlina i chorągwie stanowią, jak wiadomo, materyał do takich ozdób. Sasi więc sądzili, że robią stosownie i odpowiednio do przyjaznych sąsiedzkich stosunków między obu cesarstwami, wywiesiwszy na lokomotywie przy większych chorągwiach niemieckich dwie mniejsze czarno-żółte flagi austryackie. Ale rozsądny saski zarząd kolejowy nie dość w tym razie uwzględnił anty-austryackie usposobienie dziarskich niemieckich gimnastów z Czech, w czém oświecił go dopiero następujący epizod. Gdy kilku niemieckich gimnastów z Czech spostrzegło czarno-żółte flagi austryackie na lokomotywie saskiéj, owładnęło dzielnemi młodzieńcami z nieprzepartą siłą uczucie, jakiego doznaje byk na widok czerwonéj chusty, rzucili się na lokomotywę, zerwali z niéj flagi austryackie, podarli je na strzępy i podeptali nogami, przyczém, widocznie dla odróżnienia się od byków, wydali z siebie kilka ludzkich odgłosów, mniéj więcéj téj treści: „Jesteśmy Niemcami, nie Austryakami.“ Ten pośpieszny nieco sposób postępowania kilku nierozważnych młodzików, którzy, widocznie niepowołani, urządzili taką anty-austryacką demonstracyą wielko-niemiecką, był może niezupełnie przyjemnym dla rzeczywistych przywódców politycznych ultra-narodowców niemieckich w Czechach, bo tym sposobem cała taktyka zbyt jawnie wyszła na wierzch, a pp. dr. Knotz, Strache *e tutti quanti*, którzy również jechali z gimnastami

do Drezna z Czech niemieckich, w celu wypowiedzenia tam politycznych mów i nadstawiania się do pieszczot, jako upośledzone dzieci musieli być ostrożniejszemi w swych mowach i zasłonić trochę karty tak nieopatrznie odkryte. Powiedziano jednak i tak dosyć (Strache z Warnsdorfu w Czechach oświadczył bez ceremonii: „Względem naszego cesarza austryackiego spełniamy obowiązki, cesarza niemieckiego i jego kanclerza szanujemy i kochamy“), mianowicie do Czechów wzięto się znów ostro, ogłaszając ich za wyklętych jako dziedzicznych wrogów Niemców, przeciwników wszelakiéj prawdziwéj cywilizacyi i ludzkiéj kultury, co naturalnie znaczy, że jest obowiązkiem narodowym każdego prawdziwego Niemca w Czechach, nienawidziéć z całéj duszy Czechów i narodowym ich dążeniom brutalną przeciwstawić siłę. Możemy się więc spodziewać, że zrywanie czeskich napisów i szyldów w miejscowościach niemieckich, wypędzanie ztamtąd czeskich robotników i służących, odbieranie roboty rzemieślnikom czeskiéj narodowości, systematyczne prześladowanie urzędników, nauczycieli i duchownych, którzy, jakkolwiek urzędujący w niemieckich miejscowościach, nie chcą wyprzéć się swéj narodowości czeskiéj, nakoniec znieważanie pojedynczych Czechów pokazujących się tam przypadkowo, słowem, że narodowa partyzantka przeciwko Czechom w niemieckich częściach Czech, z nową energią będzie prowadzoną, że z téj partyzantki wywiąże się formalna wojna rasowa, w któréj naród niemiecki z całą swoją zbrojnością będzie musiał wystąpić, celem rozstrzygnięcia nareszcie walki według swych pragnień (1).

---

(1) Następujące fakta niech służą za ilustracyę tych stosunków:

1. W sprawie, toczącéj się 21—23 lipca r. b. przed sądem w Jičinie przeciw Robertowi Schmidtowi, lat34, cieśli, Józefowi Riedlowi, lat 20, czeladnikowi rzeźniczemu, Janowi Helligemu, lat 41, gospodarzowi oberży, akt oskarżenia jest takiéj osnowy:

„W dniu 13 listopada 1884 założona została w Arnau (w północ. wschod. Czechach) czytelnia czeska „Čtenářská beseda.“—21 grudnia 1884 r. w lokalu hotelowym Henryka Bürgla w Arnau, odbyła się z powodu założenia tego stowarzyszenia uroczystość otwarcia, w któréj przyjmowali udział oprócz członków stowarzyszenia z Arnau, obcy goście ogółem do 60 osób.—Kiedy członkowie stowarzyszenia „Čtenářskiéj besedy“ odbywali ten obchód, zebrało się około wpół do 11 godz. wieczorem w tymże domu, w pokoju z drugiéj strony sieni położonym i urządzonym na bufet, jak również w saméj sieni i przed domem do 200 osób narodowości niemieckiéj, które dawały folgę swemu gniewowi z powodu uroczystości otwarcia stowarzyszenia czeskiego, w słowach: „czeskie psy, czeska chałastra“ itp.—Jednym z pierwszych, który wyraził chęć wtargnięcia do lokalu, gdzie odbywała się uroczystość, był Gustaw Rückmilch; wołał on przed oberżą Henryka Bürgla: „My tam wejdziemy.“ Kilku innych chciało dostać się do lokalu, w którym znajdowali się członkowie stowarzyszenia, pod pozorem że jestto zwykły szynk i że oni chcą tam także napić się piwa. Oberzysta, H. Bürgel bronił im wstępu, oświadczając, że

„Gazeta Reichenberska,“ jeden z głównych organów ultra-narodowców w Czechach, otwarcie to przepowiada, gdyż oto co pisze o zjeździe gimnastów niemieckich w Dreznie:

„Nasi bracia w cesarstwie uważają nas jako upośledzone dzieci rodziny niemieckiéj, które nieszczęśliwa wojna 1866 r. rozdzieliła politycznie ale nie narodowo. Uroczystość zbratania między Niemcami cesarstwa i Niemcami austryackiemi nie przejdzie bez trwałych następstw. Dziś przecie nie ulega wątpliwości, że w walce którą toczymy o utrzymanie naszego języka i obyczaju, stoją za nami całe Niemcy; a jeżeli my, Niemcy czescy, znajdujemy się w pierwszéj potyczce przeciwko odwiecznemu, niezmordowanemu wrogowi wszystkiego co niemieckie, to za nami stoi w zwartym szeregu, na wszelki wypadek gotowa do pomocy, rezerwa potężnego i zjednoczonego lu-

---

się tam teraz znajduje zamknięte towarzystwo; i prosił cisnących się, żeby weszli do przeciwległego lokalu zamienionego na piwiarnię. Robert Schmidt odrzucił tę propozycyą gospodarza, wołając „my chcemy tam wejść!“ Ale Bürgel stał przededrzwiami i nie pozwolił wejść nikomu.—Podczas tych rokowań z gospodarzem, wzrastało wzburzenie między zebranemi przed domem Niemcami, i jak to się zwykle dzieje w podobnych wypadkach, objawiało się coraz gwałtowniejszemi obelgami, rzucanemi na członków stowarzyszenia czeskiego. Robert Schmidt, chcąc widocznie podburzyć do wtargnięcia przemocą, zawołał z podniesionemi rękami do zgromadzonego tłumu: „Tylko śmiało na nich!“ Świadkowie tego są wymienieni. W tym wykrzyku akt oskarżenia widzi przestępstwo podburzania do gwałtu publicznego. Wezwanie Schmidta do napaści na lokal pozostało jednak bez skutku.—Wtedy Schmidt zawołał do stojących przed domem, ażeby zerwali tablicę z napisem czeskim „Čtenářská beseda,“ umieszczoną nad drzwiami wchodowemi domu. Jan Stiller i Edward Kahn próbowali to zrobić, ale im przeszkodził gospodarz Bürgel w wykonaniu tego zamiaru. Nareszcie, część zgromadzonego przed domem tłumu udała się do tymczasowéj piwiarni w sieni a z nią Schmidt i Riedel. Tu odezwał się Riedel do Schmidta, ażeby stanął na czele szturmu do lokalu stowarzyszenia czeskiego. Schmidt nie usłuchał téj namowy, bo tymczasem zjawiła się policya, ażeby czuwać nad utrzymaniem porządku publicznego i spokojności, a w końcu przybył i burmistrz; tłum rozszedł się i oberża została zamkniętą koło 11 w nocy.—Dnia 22 grudnia 1884 r. koło godziny 2 po połud. przyszedł do oberży H. Bürgla, gdzie właśnie znajdował się dyrektor stowarzyszenia „Čtenářská beseda,“ Franciszek Kazda, ten sam R. Schmidt, a z nim Jan Hellige i kilku innych. Fr. Kazda powitał wchodzących czeskiém pozdrowieniem: „Má ucta!“ na co Jan Hellige odpowiedział: „Má ucta basamateremtete! My ci damy Má ucta! po pysku.“ Fr Kazda oddalił się. R. Schmidt i jego towarzysze zasiedli do piwa a świadkowie słyszeli łajanie: „Psy czeskie, motłoch czeski“. R. Smidt wołał: „My nie ścierpimy tego, żeby w Arnau istniała czeska Beseda. Jeżeli tylko przyjdzie taki czeski pies, to mamy porozstawiane straże i zaraz go wypędzimy—nie wejdzie tu żaden Czech!“ J. Hellige krzyczał także: „Arnau jest naszém; nie będzie w niém żadnéj Besedy; już my tego dopilnujemy.“ Na to jest kilku świadków.—Potém R. Schmidt mówił, widocznie w celu rozdraźnienia H. Bürgla, że on z Helligem kupią dynamitu i besedę w powietrze wysadzą; że ma u kogoś pieniądze, 1400 zlr., odbierze je i odda Helligemu, który kupi oberżę H. Bürgla i w powietrze ją wysadzi: J. Hellige podał Schmidtowi rękę na znak zgody, mówiąc. „Tak, ku-

du niemieckiego. Przy tém moralném poparciu podają nam dziś Niemcy silne ramię do krzepienia i podtrzymania ducha niemieckiego. Sieć licznych miejscowych filii niemieckiego stowarzyszenia szkolnego rozpostarta jest po całéj Saksonii i wkrótce ogarnie całe Niemcy."

Niemieckie stowarzyszenie szkolne! Wszakże o niém mówią ciągle Niemcy, że stoi zdala od spraw politycznych i że jedynym jego celem jest utrzymanie zagrożonéj narodowości niemieckiéj. W rzeczywistości to stowarzyszenie ma na celu zakładanie szkół niemieckich nawet tam, gdzie sam rząd postępując według praw obowiązujących, zakładać ich nie może z powodu braku dzieci niemieckich; główne zaś jego zadanie—to germanizacya, któréj obecny rząd austryacki również nie uważa już za punkt kardynalny swojéj polityki wewnętrznéj.

---

pimy dynamitu." Przytém wszyscy obecni hałasowali uderzali szklankami w stół i oddalili się dopiero o 4 g. popolud., *mimo interwencyi policyi, którą wezwał H. Bürgel do przywrócenia porządku.*—Postępowanie R. Schmidta i J. Helligego wydało też wkrótce złe owoce.—Wieczorem tego samego 22 grudnia przyszli do H. Bürgla robotnicy czescy Antoni Hlavatý, Antoni Hurka i Józef Mahrle i pili piwo. Wkrótce potém przybyli robotnicy niemieccy Józef Hawel, Antoni Gottwald, Gustaw Geznert, Józef Richter, Gustaw Hackel, Gustaw Kraus i inni, żądali piwa, hałasowali, uderzali kuflami w stół, łajali i krzyczeli ostentacyjnie: „Nie ścierpimy u nas czeskiéj hałastry!"—Józ. Hawel i Gust. Hackel przystąpili do H. Bürgla i powiedzieli doń, jak on sam świadczy: „Nie chcemy u ciebie znosić czeskiéj hałastry; będziem do ciebie zawsze przychodzić i wypędzać hałastrę czeską." Mówiąc to Józ. Hawel podarł leżące na stole dzienniki czeskie. Tumult trwał do 10 godz. poczém hałasujacy goście oddalili się z oberży.—26 grudnia ponowiły się te hałaśliwe sceny i tym razem przyszło do zajść czynnych. Gromada robotników niemieckich, na czele których stał Fryderyk Fischer, wtargnęła przemocą do lokalu stowarzyszenia „Čtenářska beseda" i poturbowała obecnych tam członków, przyczém kilka osób poniosło na ciele mniéj więcéj ciężkie obrażenia."—Tyle w urzędowym akcie oskarżenia, którego skromne miejscami brzmienie umyślnie zachowałem, ażeby czytelnik sam sobie dopełnił obraz nieśmiało wskazanéj sytuacyi.—Okręg sądowy Jičiński, należy według narodowości do mięszanych, a przy wylosowaniu przysięgłych, Niemcy znaleźli się w większości. To też wszyscy oskarżeni zostali uwolnieni.

2. Mała próbka stylu dziennikarstwa niemiecko-narodowego. „Gablonzer Zeitung" pisze: „Na piątkowym targu, wśród stosów ogórków i główek kapusty czeskich przekupniów, stała fura, któréj powierzchowność miała na sobie wyraźne ślady niedawno uskutecznionego transportu guana, i z któréj wnętrza wyglądała pewna ilość jarzyny, nazwanéj podobno przez Franciszka Drakego „brambori" [czeska nazwa kartofli]. Nie byłoby w tém nic nadzwyczajnego, bo wozy gnojowe naładowane kartoflami przychodziły już do nas często z „czeskiego kraju." Ale do wozu przyczepiona była tablica z następującym napisem: „Jan Bernard, Rychnov, cis. 80," co poniemiecku znaczy: „Jan Bernard, Reichenau, N. 80." Ten Jan Bernard jest proboszczem w niemieckiéj na wskróś miejscowości [„Na wskróś niemieckiéj" jeżeli się ignoruje mieszkających tam Czechów], zaledwie o godzinę drogi odległéj od Gablonz, i ten człowiek ma czoło swoje produkta

Jeżeli streścimy to wszystko, co tu wyłożyłem, to okaże się następujący rezultat.

Waśń narodowa między Niemcami a Czechami dosięgła w Czechach niepokojącego punktu i mimo wszelkie, *ciągle* z naszéj strony ponawiane propozycye pojednania, popychana jest przez Niemców do jakiegoś gwałtownego rozstrzygnięcia, którego ostatecznym celem ma być wytępienie narodu czeskiego. Morawia ma być dla tego tylko trzymana w więzach germanizacyi, ażeby Czechów odosobnić a w końcu pochłonąć. W tym celu, dawniejsza, austryacka jeszcze, dążność niemieckiego stronnictwa konstytucyjnego musi ustąpić wyłącznie narodowéj, to jest kierunkowi wielko-niemieckiemu, z zupełném poświęceniem Austryi. Wobec tych, otwarcie już występujących dążności, możemy wprawdzie ściśle zjednoczoném postępowaniem, i natężoném skupieniem całéj narodowéj siły ludu czeskiego

---

gospodarskie pod firmą czeską do niemieckiego Gablonzu posyłać i zbywać je tu za pośrednictwem swojéj, naturalnie, czeskiéj kucharki! Ksiądz, który ma powierzone duszpasterstwo w miejscowości niemieckiéj, nie wstydzi się przyczepiać demonstracyjnie do fury z kartoflami swoich czeskich opinij! Zaiste, my Niemcy godni jesteśmy pożałowania, nie dla tego że czescy duchowni publicznie chełpią się swoim husytyzmem, ale że niemiecki kler, z małemi wyjątkami nie idzie tak ręka w rękę ze swoim ludem, jak czescy fanatycy swego wyznania."

3. Fakt charakterystycznego znaczenia. Czeskiemu proboszczowi Nykličkowi w Trutnowie wytruto chlorkiem wapna wszystkie pstrągi w strumieniu. Niemiecki „Tygodnik Trutnowski" wyraża jawnie swoje zadowolenie z téj udatnéj psoty.

4. Prazki „Politik" podaje w wydaniu wieczorném z 24 lipca r. b. następującą korespondencyę z Reichenberga: „Do jakiego stopnia doszedł upadek moralny „Gazety Reichenberskiéj" i jéj stronników, tak zwanéj partyi, posiadającéj „pieniądze i ukształcenie," pokazuje artykuł jéj zamieszczony 19 lipca 1885 r. w N. 167 pod tytułem: „Czesi w Reichenbergu". Artykuł ten napada poduszczająco na stowarzyszenie kobiece „Karolina Světlá," założone przez tutejszych Czechów jedynie z pobudek własnéj obrony. To stowarzyszenie powstało z powodu, że tutejsze niemieckie „Stowarzyszenie wspomagania ubogich położnic" odmówiło wszelkiéj pomocy położnicom czeskim i ponieważ tak to stowarzyszenie jak również niemieckie stowarzyszenie „Żłobek" (*Krippe*) nie chciało przyjąć czeskich kobiet na członków i odrzuciło ofiarowane przez nie składki. Wobec takich okoliczności tutejsze kobiety czeskie postanowiły założyć stowarzyszenie „Karolina Světlá" celem wspomagania ubogich czeskich położnic i dzieci. I to właśnie nie przypada do smaku „cywilizowanym" Reichenberczykom; z jednéj strony pogardzają czeskiemi pieniędzmi na zapomogę biednym, odbierają ubogim położnicom czeskim potrzebną pomoc, a kiedy kobiety czeskie decydują się zrobić to, co właśnie jest potrzebném, stawia im się zarzut, że dążą do odebrania miastu Reichenbergowi jego czysto niemieckiéj cechy. Humanitarny wiek XIX tworzy stowarzyszenia celem wspierania rannych wojowników,—bez względu na to, czy niemi będą przyjaciele czy wrogowie—a tak zwana „niemiecka metropolia Czech" powstaje przeciwko stowarzyszeniu wspomagającemu ubogie dzieci czeskie! Czy tém chcą tutejsi Niemcy dowieść swéj cywilizacyi i duchowéj wyższości? Zaiste godni pożałowania pionierowie niemieckiéj kultury!"

Wszystko to, mojém zdaniem nie potrzebuje żadnego komentarza.

utrudniać Niemcom urzeczywistnienie ich niemiecko-narodowych planów, ale stanowcze rozstrzygnięcie pozostaje w rękach wielkiéj polityki europejskiéj, po któréj tylko możemy się spodziewać, że nie wystąpi przeciw Austryi, a więc i nie zwróci się przeciw nam.

Mówiąc wszakże o potrzebie jedności i zgody w naszym obozie narodowym, jako o niezbędnéj konieczności w tak ciężkich dla nas czasach, nie mogę nie wspomniéć o przeszkodach, które ma do zwalczenia we własném łonie naród czeski, a mam tu na myśli przedewszystkiém działalność człowieka, którego nazwisko zawsze będzie powtarzane w dziejach naszych narodowych walk, ale którego działalność musi być stanowczo potępioną przez bezstronną historyę tych walk. Tym człowiekiem jest dr. Juliusz Grégr, właściciel prazkiego dziennika „Narodni listy.“

Człowieka tego należy oddzielić od jego pisma, jeśli go się chce słusznie osądzić; trzeba go oddzielić od tak zwanych „młodych Czechów“, bo Grégr odgrywa w naszym narodowym obozie rolę jaknajbardziéj osobistą. „Narodni listy“ mają kilku utalentowanych współpracowników, których cenne artykuły spożytkowywane są przez właściciela gazety w celu podtrzymywania jéj dziennikarskiéj wartości, a między „młodo-Czechami“, o ile ci mogą miéć znaczenie, jako radykalniejszy odłam czeskiéj partyi narodowéj, są prawe charaktery, których nie należy utożsamiać z zupełnie osobistemi dążeniami dra Grégra.

. . . .

Silny terroryzmem i ostracyzmem dziennikarskim, wprowadzonym do swojéj gazety, dr. Grégr, jak prawdziwy uzurpator, stał się winnym gorszącego nadużycia władzy, którą mu do rąk oddano, co mu tém bardziéj musiało odjąć powagę ukształconych i rozważnych ludzi, że wywierał ten terroryzm i ostracyzm w sposób jaknajbardziéj bezwzględny, rzucając obelgi i podejrzenia na wszystkich, którzy nie chcieli poddawać się bezwarunkowo jego uzurpatoskiéj wielmożności. „Narodni listy“ dr. Grégra doprowadziły naród czeski do zupełnéj obojętności na gazeciarskie łajania, a historya dziennikarstwa czeskiego nie podziękuje kiedyś temu człowiekowi, że tego dokonał i że tym sposobem dotkliwie zaszkodził godności i znaczeniu tak ważnego czynnika w życiu polityczném.

Do czego zaś posunąć się może człowiek, kierujący się tylko interesem osobistym i osobistą ambicyą, dowodzi przymierze d-ra Grégra z naszemi wrogami narodowemi. Dr. Juliusz Grégr stoi ze swoim dziennikiem na nieprzyjaznem stanowisku względem „klubu czeskiego“ w wiedeńskiéj radzie państwa, a zatém względem posłów narodu czeskiego, i ilekroć chodziło tam o stanowcze działanie, tyle

razy był po stronie niemieckiéj lewicy i skutecznie ją popierał. Przytém wykonywa najdziwniejsze polityczne skoki, które mniéj roztropnym czytelnikom jego dziennika miały dowodzić, że on sam w każdéj potrzebie ma najbardziéj na sercu cześć i znaczenie narodu czeskiego, jak np. kiedy w swojéj gazecie proponował na seryo, ażeby naród czeski wysłał delegata na zjazd cesarzów do Skierniewic.

Wszystko to tém tłómaczą, że dr. Grégr, nie wiedząc co czyni, przystał do masonów niemieckich i teraz jakoby słucha ich komendy. Istotnie, to wyjaśniłoby wiele rzeczy, a nie jest nieprawdopodobném, gdyż wiadomo, że i dr. Sladkowski dał się przez masonów zwerbować. Prawda, że między Sladkowskim a Grégrem wielka zachodzi różnica; Sladkowski bowiem był prawdziwym charakterem i rzetelnym patryotą czeskim, który, gdy wystąpiła na jaw wroga nam dążność wolnomularzy niemieckich, robił wszystkie wysiłki, żeby się z pod ich wpływu wydostać; gdy tymczasem dr. Grégr jest tylko pospolitym samolubem, dla którego dobre są wszystkie środki, pozwalające mu osiągnąć jego osobiste cele.

Gwiazda d-ra Juliusza Grégra zaczyna już blednąć. Ostatnie wybory do rady państwa (w końcu maja i na początku czerwca) dowiodły wszystkim jego dotychczasowym zwolennikom, że jego sztandar nie prowadzi do zwycięstwa. Wielkie, coraz bardziéj jednolite stronnictwo narodowe, na czele którego stoi dr. Rieger, ma oprócz niemieckiego „Politika“, dwa, bardzo dobrze redagowane organa czeskie, „Pokrok“ i „Česká Politika“, które w ostatnich czasach usiłowały z powodzeniem przedstawić we właściwém świetle szkodliwą pod każdym względem i antynarodową działalność d-ra Grégra. Dr. Grégr, jak istny uzurpator, liczył zawsze tylko na ograniczone umysły mas i nie ujdzie zwykłego, zasłużonego losu podobnych uzurpatorów.

Dr. Gabler.

PSYCHOLOGIA DOŚWIADCZALNA.

(Outlines of Psychology by James Sully).

W ciągu ostatnich lat trzydziestu psychologia uległa zupełnemu przeobrażeniu. Ze służebnicy, niewolniczo kroczącéj śladami metafizyki i zmieniającéj swą postawę stosownie do systematu, w którego służbie zostawała—stała się umiejętnością niezależną, opartą na podstawach trwałych i ściśle oznaczonych. Zamiast, jak dotąd, zajmować się duszą ludzką i gubić w scholastycznych subtelnościach, dotyczących jéj istoty, usiłuje ona zbadać zjawiska umysłowe, tak jak one same podają się wewnętrznéj i zewnętrznéj obserwacyi, bez wszelkiéj troski się o to, co się po za temi zjawiskami kryje.

Wyzwolenie swe zawdzięcza psychologia głównie naukom przyrodniczym, które, wykazawszy ścisły związek między czynnościami umysłowemi a sprawami cielesnemi, dowiodły tém samém, że abstrakcyjne rozważanie umysłu za pomocą saméj tylko wewnętrznéj obserwacyi do niczego zgoła nie prowadzi. Jakoż od téj chwili, gdy do badań nad umysłem została zastosowana metoda zewnętrznéj obserwacyi i doświadczenia, psychologia postąpiła w krótkim przeciągu czasu tak daleko, że obecnie jest ona o tyleż ścisłą w swych zasadniczych twierdzeniach, ile każda inna umiejętnosc. Odtąd stała się ona nauką doświadczalną, która czerpie wskazówki dla siebie nie w metafizyce, ale w naukach biologicznych, a szczególniéj w fizyologii. Zapatruje się ona na zjawiska umysłowe, jako na objawy życia w ogóle, i w zasadniczych prawach życia szuka klucza do wyjaśnienia owych zjawisk. Z tém wszystkiém, nie zaciera różnicy, jaka zachodzi między czynnością umysłową, a sprawami cielesnemi, i nigdy nie traci z oczu właściwego im charakteru. Uznając wzajemną zależność ciała i umysłu, stara się ona zbadać każdy szczególny

objaw umysłowy w związku z innemi tegoż rodzaju objawami, oraz z towarzyszącemi mu zjawiskami fizyologicznemi. W ten sposób, określa warunki jego powstawania i dochodzi powoli do uogólnień, które pozwalają jéj sformułować prawa, jakiemi się rządzą czynności umysłowe w ogóle. Stąd indukcya odgrywa w niéj tak ważną rolę, jakkolwiek nie gardzi ona i dedukcyą, która, właściwie użyta, oddaje nieocenione usługi, pozwalając jéj zastosowywać prawdy ogólne do pojedyńczych wypadków.

Badania psychologii doświadczalnéj dadzą się sprowadzić do trzech kierunków, odpowiednio stanowisku, z jakiego zapatrują się na sprawy umysłowe:

a) Kierunek abstrakcyjny. Wychodząc z założenia, że świadomość jest zjawiskiem swego rodzaju, dostępném tylko wewnętrznéj obserwacyi, kierunek ten wymaga, ażeby wszelkie badania psychologiczne opierały się na faktach obserwacyi wewnętrznéj, gdyż w nich jednych leży klucz do wytłómaczenia faktów, jakich dostarczają obserwacya zewnętrzna i doświadczenie.

b) Kierunek fizyologiczny. Ten, odrzucając, za przykładem Kanta i Comte'a obserwacyę wewnętrzną, jako złudzenie, posługuje się w swych badaniach wyłącznie obserwacyą zewnętrzną i doświadczeniem, gdzie takowe jest możliwém. Nie zajmuje się on więc analizą faktu umysłowego, lecz przyjmując go całkowicie, jak go znajduje w świadomości, bada on jego warunki fizyologiczne i tą drogą stara się wykryć pierwiastki jego składowe.

c) Kierunek rozwojowy. Przedmiotem psyschologii rozwojowéj jest embryologia umysłu. Chodzi w niéj nie tyle o przyczynowy związek stanów świadomości i warunki ich fizyologiczne, ile o to, ażeby zbadać, jak w rozwoju postępowym żyjących organizmów urabiały się pod wpływem otoczenia wszystkie te różnorodne czynności umysłowe, które w najniższych zwierzętach dają się zaledwie domyślać, a które w człowieku wykształconym dochodzą do najwyższego stopnia rozwoju.

Trzy te kierunki badań psychologicznych, jakkolwiek uprawiane są z osobna, uzupełniają się wzajemnie. W każdym razie punktem wyjścia dla nich są dane psychologii abstrakcyjnéj.

Badania te, zawarte w dziełach ściśle naukowych, takich jak: Bain'a, Spencera i Wundt'a, lub w monografiach, bądź oddzielnie wydawanych, bądź pomieszczanych w różnych czasopismach — są w ogóle niedostępne dla szerszéj publiczności. Nie łatwo w nie się zaopatrzéć, a następnie, czytanie ich wymaga pewnego przygotowania naukowego. Dla tego téż powszechnie dawał się uczuwać brak dzieła, któreby, podając w zsumowaniu ostateczne wypadki psycho-

logii, ułatwiało czytelnikom bliższe zapoznanie się z jéj zadaniem i główncmi założeniami. Wprawdzie ostatniemi czasy próbowano spopularyzować psychologią doświadczalną; próby te wszakże nie odpowiadają swemu przeznaczeniu. Jeżeli jedne z nich grzeszą tém, że są zbiorem luźnych wiadomości, bez naukowéj ścisłości połączonych; to inne znowu noszą na sobie zbyt wyraźną cechę indywidualności autora i są raczéj wykładem jego własnych zapatrywań, jak sprawozdaniem z osiągniętych przez naukę rezultatów. Jedynym pod tym względem wyjątkiem jest psychologia Sully'ego, o której francuskie pismo peryodyczne *Revue Philosophique*, powiada, że „ze wszystkich prób, jakie dotąd były robione, jest ona najdokładniejszém i najbardziéj metodycznėm przedstawieniem rezultatów psychologii empirycznéj."

Imię Sully'ego nie znaném jest naszéj publiczności, jakkolwiek należy on do pierwszorzędnych filozofów angielskich i używa wielkiéj powagi w świecie naukowym. Pierwsze jego prace z dziedziny psychologii i estetyki, pomieszczane przed dziewięciu laty w pismach peryodycznych, zwróciły na niego powszechną uwagę i odrazu wyrobiły mu zaszczytne stanowisko w filozofii współczesnéj. Bain, a za nim inni krytycy powitali go jako pierwszorzędnego psychologa.

W 1874 r. wydał on w osobnym tomie wszystkie swe rozprawy, rozrzucone po pismach peryodycznych, pod zagłówkiem: *Sensation and Intuition*, którego drugie wydanie, poprawne i pomnożone ukazało się w 1880 r. Na szczególną uwagę zasługują w nim dwa artykuły: teorya rozwoju w zastosowaniu do psychologii i rodowód doktryny o wolnéj woli. W 1877 r. ogłosił dzieło o pesymizmie. W pierwszéj jego części podaje dokładny rys historyczny doktryny, która zawdzięcza swe powodzenie w naszych czasach Schopenhauerowi i Hartmannowi; w drugiéj zaś przeprowadzona jest szczegółowa krytyka zasad owych dwóch filozofów, oraz rozbiór podstaw, na jakich się opiera pesymistyczny pogląd na świat. Odrzucając pesymizm zarówno, jak i optymizm, które są dwiema ostatecznościami, godzi on sprzeczne zapatrywania za pomocą teoryi rozwoju, która pozwala mu ustanowić na ich miejscu *melioryzm*. W 1881 roku ukazało się w „Bibliotece międzynarodowéj" nowe jego dzieło: *Illusions, a psychological study*, w którém stara się wytłómaczyć wszelkie złudzenia, jakim człowiek ulega we wszystkich sferach życia umysłowego tak podczas czuwania, jakoteż we śnie i w stanie hipnotycznym. Nareszcie w roku ubiegłym wydał swą psychologią, któréj drugie wydanie ma się niebawem ukazać. Dodać potrzeba jeszcze, że będąc stałym współpracownikiem kwartalnika „Mind", zamieszcza w nim liczne artykuły i rozbiory dzieł z zakresu psychologii i pedagogiki.

Wszystkie te dzieła, odznaczające się obszerną i gruntowną wiedzą, dokładną znajomością filozofii obcych narodów, a szczególniéj niemieckiéj, świadczą o wielkim talencie pisarskim autora, który umié zestroić harmonijnie powagę traktowania o rzeczy z wykładem przystępnym, pełnym wdzięku i prostoty. Lecz co stanowi największą wartość jego dzieł, to oryginalność poglądów. Ani filozofia niemiecka, na któréj kształcił się, ani genialne pomysły Spencera, którego teoryą rozwoju przyjmuje w zasadzie, nie zdołały pozbawić go samodzielności myślenia. To téż słusznie widzą w nim filozofa, który kiedyś godnie zastąpi Bain'a i Spencera i przyczyni się znacznie do rozwoju filozofii. We wszystkich swych pracach trzyma się on ściśle gruntu doświadczenia, strzegąc się pilnie zbyt pośpiesznego uogólniania. A jakkolwiek nie odrzuca metafizyki, pojmuje ją inaczéj, niż niemieccy filozofowie, którzy najwyższe zagadnienia rozumu usiłują rozwiązywać w sposób abstrakcyjny, w oderwaniu od danych doświadczenia. Woli on w braku dostatecznych danych poprzestawać na gołém zaznaczeniu faktu, niż wdawać się w jego tłómaczenie, któreby żadnéj nie miało podstawy. Wszechstronne wykształcenie, zarówno jak i pewna moc panowania nad sobą, dozwalająca mu oprzéć się urokowi przyjętych teoryi, dają mu możność dopatrzéć się nowych dróg badania, wyszukać nowe punkty widzenia, które ukazują mu rzecz ze strony albo zgoła dotąd pomijanéj, albo tylko niedokładnie pojętéj.

Poprzestając na téj pobieżnéj charakterystyce prac Sully'ego i jego stanowiska w filozofii angielskiéj, przystępuję do jego psychologii. Rozbierając ją szczegółowo, będę się starał uwydatnić w niéj te punkty, w których autor zaznacza własny swój pogląd na czynności umysłowe. Gdzie zaś jest tylko sprawozdawcą z nabytków osiągniętych przez naukę, tam wystarczy pobieżny onych nabytków przegląd. Nie chodzi tu bowiem o systematyczny wykład psychologii, co może być przedmiotem tylko obszernéj pracy, lecz o uwydatnienie stanowiska, jakie zajmuje w nauce Sully.

Psychologia Sully'ego, jako dzieło popularne, przeznaczone dla szerszéj publiczności, która nie ma ani czasu, ani odpowiedniego przygotowania do czytania dzieł obszernych i ściśle naukowych, ma charakter przeważnie sprawozdawczy. Ogranicza się w niéj autor na podaniu faktów dowiedzionych, a przynajmniéj ogólnie przyjętych, przytacza główniejsze teorye i hypotezy, za pomocą których objaśniają bądź wszystkie w ogóle, bądź tylko niektóre objawy umysłowe,—ale sam wstrzymuje się po większéj części od wypowiedzenia swego zdania, zostawiając zupełną swobodę czytelnikowi w wyborze mniemań o zagadnieniach spornych. Z tém wszystkiém nie

zrzeka się on samodzielności—i takową uwydatnia tak w określeniu stanowiska, z jakiego zapatruje się na czynności umysłowe i na zadanie psychologii, jako téż w całym układzie dzieła, wynikającym konsekwentnie z obranego punktu widzenia.

W przedmowie do dzieła określa on swe stanowisko w sposób następujący:

„Upieram się przy dawném zapatrywaniu na psychologią, a mianowicie, że jako podstawa nauk moralnych, różni się ona od umiejętności fizycznych i przyrodniczych. Ma ona do czynienia ze zjawiskami świata wewnętrznego i posługuje się metodą jéj tylko właściwą—obserwacyą wewnętrzną. Utrzymują następnie, że zostaje ona w najściślejszym stosunku do zagadnień filozoficznych, czyli metafizycznych, takich, jak natura poznania i jego granice, oraz odpowiedzialność moralna.

„Jednocześnie uznają, że psychologia, jako nauka o umyśle, jest nauką w tém znaczeniu, że naprzód zajmuje się wypadkami, czyli sprawami, które, podobnie jak zjawiska świata zewnętrznego, wykazują pewien porządek następstwa, pewną jednostajność, i dla tego mogą być sprowadzone do praw dokładnie oznaczonych; powtóre, że własne jéj metody badania, należycie pojęte i zastosowane, są dostatecznym środkiem do wykrycia owych praw i ich sprawdzenia.“

Zajęcie tego tradycyjnego stanowiska nie przeszkadza autorowi ocenić słusznie najnowszéj dążności, która stara się „właściwe psychologiczne badanie nad umysłem uzupełnić poszukiwaniami fizyologicznemi nad jego warunkami nerwowemi i współczynnikami natury fizycznéj.“ Tego rodzaju poszukiwania, lubo nie mogą zastąpić bezpośredniéj obserwacyi zjawisk umysłowych, są przecież ważnym przyczynkiem do nauki o umyśle, szczególniéj w jéj dziale najprostszym — w teoryi wrażeń zmysłowych.

„Podzielam—powiada daléj—zdanie Lewes'a, że ponieważ psychologia zajmuje się głównie typem rozwoju umysłowego, jaki się ujawnia w członkach społeczeństwa oświeconego, należy przeto uwydatnić w niéj wychowawczy wpływ, jaki ukształtowany systemat społeczny wywiera na jednostkę za pomocą budowy języka, tradycyjnych form myślenia i t. d.

„A jakkolwiek za główne zadanie psychologii uważam badanie spraw umysłowych, zachodzących w życiu indywidualném, uznaję przecież za konieczne, ażeby nie spuszczano z uwagi szerszego, genetycznego poglądu na umysł, podług którego, wzrost i rozwój indywidualnego umysłu jest rezultatem przeszłego doświadczenia rasy, działającego nie tylko pośrednio, za pomocą zewnętrznych wytwo-

rów takich, jak: język, tradycyjna wiedza, obyczaje i t. d., które stanowią otoczenie społeczne; ale także wprost i bezpośrednio przez odziedziczone zdolności i usposobienia.

„Dla tego zastanawiam się obszernie nad tym, co możnaby nazwać embryologią umysłu, a mianowicie nad najwcześniejszemi i najprostszemi formami typowych czynności umysłu, jak one objawiają się w życiu dziecka. Oprócz tego, do ogólnéj teoryi umysłu dołączam krótkie uwagi, wykazujące ważniejsze różnice indywidualne.“

Dodam tu jeszcze od siebie, że autor nie zaniedbuje korzystać, ile na to zakres dzieła pozwala, z faktów, jakich dostarczają psychologia etnograficzna i zwierzęca.

Z tych głównych punktów programatu, jaki sobie autor nakreślił i który wypełnił jaknajstaranniéj, o ile na to pozwalał materyał gotowy, łatwo można przekonać się, że chociaż psychologia Sully'ego jest przeważnie abstrakcyjną, zawiera ona jednakże wszystkie nabytki, jakie zostały osiągnięte w drodze badań fizyologicznych i porównawczych. Tym sposobem jest ona jedyném w literaturze filozoficznéj dziełem, które, podając ostatnie wyniki badań psychologicznych, osiągnięte w różnych kierunkach, wtajemnicza czytelnika w sposób przystępny we wszystkie zagadnienia psychologii empirycznéj i przez to samo ułatwia dalszą pracę w celu głębszego jéj poznania.

---

1. Na samym wstępie nasuwa się pytanie: czy psychologią można uznać za umiejętność samoistną, opartą na własnych podstawach? Pytanie to nasuwa się tém natrętniéj, że są uczeni, którzy odmawiają jéj samoistności, którzy ją uznają za jedną z gałęzi biologii i uprawiają ją ze stanowiska czysto fizyologicznego. Sully odpowiada na to pytanie w sposób twierdzący — w czém idzie za tradycyą psychologii angielskiéj, któréj przedstawicielami głównymi są dziś Bain i Spencer. Psychologia, posiadając przedmiot ściśle określony i używając sobie tylko właściwéj metody, tém samém jest już umiejętnością, która ma za sobą wszystko, co jest potrzebném do zapewnienia jéj niezależnego stanowiska. Autor określa psychologią w sposób następujący.

Psychologia jest ogólném poznaniem umysłu, sprowadzoném do formy ścisłéj i systematycznéj. Przedmiotem więc psychologii jest umysł. Cóż to jest umysł? Muszę tu wprzódy usunąć pewne wątpliwości, dotyczące samego wyrazu. Zrobiono zarzut, że umysł nie oznacza tego, co angielskie *mind*. Zarzut ten jest niesłuszny. Umysł tak samo, jak i *mind* ma dwojakie znaczenie: ściślejsze i szersze.

Oznacza on zarówno tak władzę poznawania, inteligencyę, jak i wszystkie w ogóle władze razem wzięte, a więc uczucie i wolę. W tym ostatnim wypadku znaczy on to, co nazywamy duszą. Mówimy więc w tém znaczeniu, naprzykład: wzniosły umysł, szlachetny umysł, a przeciwnie nie powiemy logiczny umysł. Że psychologia empiryczna woli używać wyrazu umysł zamiast dusza, to dla tego, że ten ostatni wyraz ma uświęcone przez tradycyą znaczenie i nasuwa pojęcia, które nie zgadzają się ze stanowiskiem psychologii doświadczalnéj, któremi ona zajmować się nie może. Wyraz zaś umysł nie przesądza o kwestyi istoty duszy i oznaczając całość zjawisk psychicznych, wszystkie wiążące się z niemi zagadnienia metafizyczne usuwa na bok. Tym sposobem umysł w znaczeniu, w jakiém go pojmuje psychologia doświadczalna, jest sumą zjawisk psychicznych. A jakkolwiek w podstawie jéj badań leży przypuszczenie jedności umysłu, jedność tę przyjmuje ona jako fakt empiryczny i nie wdaje się w rozstrzyganie, czy jest ona substancyalną, czy tylko fenomenalną.

Co się tyczy zjawisk umysłowych, to nie podobna ich bliżéj określić. Są to pierwsze dane świadomości, których nie można sprowadzić do czegoś prostszego. Można je oznaczyć tylko za pomocą zdań równoznacznych, jak np. że zjawiska umysłowe są stanami naszéj świadomości, że stanowią one część naszego świadomego życia i t. d. Jakkolwiek wątpliwém jest jeszcze, czy świadomość ogarnia wszystkie w ogóle stany psychiczne, czy nie ma zjawisk umysłowych bezwiednych.

Zresztą, chcąc ściśléj oznaczyć umysł, można go przeciwstawić temu, co nim nie jest—materyi rozciągłéj. Umysł jest nierozciągłym i jego zjawiska nie dadzą się podciągnąć pod formę przestrzeni. Zaznaczając jednakże różnicę między umysłem, a ciałem, nie powinniśmy zapominać o ich ścisłym związku. To, co nazywamy człowiekiem, składa się z organizmu cielesnego i z umysłu. Nasza jaźń jest jaknajściśléj związana z materyalną budową. Każda czynność umysłowa zespala się z czynnością układu nerwowego. Jaknajbardziéj oderwanéj myśli towarzyszy zawsze pewien rodzaj czynności ośrodków mózgowych.

Stosunek umysłu do ciała należy do najzawilszych zagadnień filozofii. Psychologia empiryczna musi poprzestać na uważaniu umysłu i ciała, jako zespolonych z sobą w życiu. Przekonywa się ona, że nie tylko czynność fizyczna towarzyszy zawsze czynności umysłowéj, ale nadto zachodzi między niemi wzajemne oddziaływanie. W pewnych wypadkach czynność nerwowa poprzedza i zdaje się wywoływać zjawiska umysłowe; w innych znów, jak w ruchach do-

wolnych, czynność umysłowa zdaje się być przyczyną choć w części zjawiska fizycznego. Z tém wszystkiém, lubo czynności umysłowe są uwarunkowane sprawami nerwowemi i od nich zależne — nie są one przecież tém samém, co owe sprawy — i psychologia nie powinna nigdy spuszczać z uwagi różnicy, jaka zachodzi między czynnością nerwową, a zjawiskiem umysłowém. Pewna czynność nerwowa, poprzedzająca np. wrażenie światła, dźwięku i t. d. nie jest tém samém, co owe wrażenia. Taki jest zakres przedmiotu, którym psychologia zajmuje się. Jakież są metody, których ona używa do poznania owego przedmiotu?

Dwie są metody, za pomocą których poznajemy umysł. Pierwszą z nich jest obserwacya wewnętrzna, wyłącznie saméj tylko psychologii właściwa. Jest-to metoda podmiotowa. Daje nam poznać wprost i bezpośrednio to, co się dzieje w naszéj świadomości. Zwracając uwagę na zjawisko umysłowe, na pewien stan naszéj świadomości, poznajemy, jaka jest jego natura, jakie składowe jego części, jakie w nim zmiany zachodzą pod wpływem danych okoliczności itd.

Szkoda, że autor nie oznaczył dokładniéj, na czém polega metoda wewnętrznéj obserwacyi. Wiadomo bowiem, że nowo-kantyści, uczniowie A. Comte'a, a nawet Wundt utrzymują, że to, co nazywają obserwacyą wewnętrzną, nie jest czém innéma, jak zwykłą świadomością i na miano metody wcale nie zasługuje.

Drugą metodą, przedmiotową, jest obserwacya zewnętrzna, za pomocą któréj poznajemy umysły innych ludzi, jak one się obiawiają w słowach, spojrzeniach, ruchach ciała i w całém ich postępowaniu. Tą drogą poznajemy nie tylko umysły ludzi, z którymi stykamy się, ale i takich, o których dowiadujemy się z opowiadania lub z historyi. W ten sam sposób poznajemy także umysły zbiorowe narodów, jak one ujawniają się w wypadkach dziejowych. Badania porównawcze nad różnicami, jakie zachodzą pod względem umysłowym między rasami ludzkiemi, jak również między zwierzętami, dokonywają się także za pomocą obserwacyi zewnętrznéj. Do niéj nareszcie i do doświadczenia należy badanie czynności umysłowych w związku ze sprawami fizyologicznemi.

Cechą umiejętnego poznania jest pewność i dokładność, a następnie ogólność. Musimy bacznie obserwować, ażebyśmy byli pewni tego, co postrzegamy i mogli dokładnie zdać sobie z tego sprawę. Musimy następnie od poznania szczegółów wznosić się do poznania ogółu. Stąd łatwo przekonać się, że ani obserwacya wewnętrzna, ani zewnętrza, oddzielnie wzięta, nie wystarczają i potrzeba je łączyć z sobą. Wypadki jednéj potrzeba objaśniać, uzupełniać i sprawdzać wypadkami drugiéj. Naturalnie, że każde badanie psycholo-

giczne musi opierać się na pewnéj sumie postrzeżeń bezpośrednich. Obserwacya wewnętrzna jest koniecznym warunkiem zewnętrznéj. Jeżeli obserwacya wewnętrzna sama przez się daje nam tylko poznać nasz własny, indywidualny umysł, — to przez obserwacyą zewnętrzną, pozwalającą nam porównywać objawy umysłowe różnych ludzi, w różnym wieku i na różnych stopniach wykształcenia, dochodzimy do ogólnego poznania umysłu. Sama zaś obserwacya zewnętrzna dostarcza tylko znaków, zewnętrznych objawów, które są dla nas tém, czém wyrazy obcego języka. Dla ich zrozumienia potrzeba się odwołać do obserwacyi wewnętrznéj.

Zadaniem psychologii jest uogólnienie wiadomości o umyśle. Dochodzi ona do tego za pomocą analizy, która pozwala jéj rozklasyfikować zjawiska umysłowe, a następnie wykryć prawa niemi rządzące. Ponieważ zjawiska umysłowe zachodzą w czasie, przeto prawa niemi rządzące, dotyczą ich następstwa, przyczynowéj zależności. Zależność ta panuje nie tylko między zjawiskami bezpośrednio po sobie następującemi, ale i między takiemi, które są oddzielone od siebie znacznym przeciągiem czasu, jak np. wprawa, nałóg. Stąd jedném z najważniejszych praw umysłu jest prawo jego rozrastania, rozwoju.

2. Na pograniczu między fizyologią a psychologią leżą zagadnienia, dotyczące stosunku ciała i umysłu. Stanowią one treść tak zwanéj psychologii fizyologicznéj i są niejako wstępem i przygotowaniem do systematycznego badania zjawisk umysłowych. Do takich zagadnień należą pytania: gdzie jest siedlisko życia umysłowego? jakie są ośrodki mózgowe, odpowiadające pewnym czynnościom umysłu? Jaki jest stosunek ilościowy zjawisk fizycznych i umysłowych? Jakie są następstwa psychiczne zmian, zachodzących w organach nerwowych? Co się tyczy pierwszych dwóch pytań, psychologia fizyologiczna nie daje stanowczéj odpowiedzi. Pewném jest, że siedliskiem umysłu jest mózg, wątpliwość jednakże zachodzi, czy wszystkie jego części biorą udział w czynnościach życia świadomego, czy tylko niektóre, a następnie, czy do organów życia umysłowego nie potrzeba zaliczyć i innych ośrodków nerwowych.

Większa jeszcze niepewność panuje pod względem umiejscowienia szczególnych czynności umysłu. Podział mózgu na oddzielne organy, jak go dawniejsza frenologia obmyśliła, nie ma dziś żadnéj wartości naukowéj. To zaś, co pod tym względem zrobiła fizyologia przy pomocy patologii i anatomii porównawczéj, bardzo jeszcze wiele pozostawia do życzenia.

W każdym razie, dwa są główne poglądy, tłómaczące związek czynności umysłowych ze sprawami mózgowemi. Podług jednego,

pierwiastki składowe życia umysłowego, wrażenia zmysłowe, są umieszczone w oddzielnych komórkach szaréj masy mózgu; podług drugiego, cały mózg, a przynajmniéj znaczne jego części biorą udział w pojedyńczych czynnościach umysłowych.

Do ważniejszych rezultatów doszła psycho-fizyka w kwestyi ilościowego stosunku umysłu i ciała. Drogą doświadczenia wykryto, że ażeby powstało wrażenie zmysłowe, potrzeba, ażeby bodziec zewnętrzny posiadał pewne natężenie; tak samo, ażeby powstało zjawisko umysłowe, musi nerwowe działanie lub pobudzenie w mózgu miéć pewne natężenie i pewną trwałość. Są pewne zmiany mózgu, które, będąc zbyt raptowne, nie dochodzą do świadomości i stanowią to, co nazywamy czynnościami bezwiednemi.

Tak samo drogą doświadczenia wykryto, że wszelka zmiana w warunkach nerwowych wywołuje odpowiednią zmianę w czynnościach umysłowych, że zmiany w stanie umysłu można spowodowywać nawet sztucznie za pomocą czynników fizycznych, które działają na układ nerwowy. Wogóle mówiąc, czynność umysłu zależy jak najściśléj od rozporządzalnéj przez mózg energii, która znowu zależna jest od zdrowia organizmu, od odżywiania się, rodzaju pracy i wypoczynku.

3. Życie umysłowe, rozwijając się w czasie, przedstawia się jako pasmo różnorodnych zjawisk psychicznych, które wiążą się z sobą i splatają w jedną całość. Za pomocą tylko analizy można każde takie pasmo rozłożyć na składowe pierwiastki i oddzieliwszy je od siebie, sprowadzić do pewnych grup, czyli rozklasyfikować.

Takie czynności, jak postrzeganie, wyobrażanie, sądzenie i t. d. zaliczamy do poznania; ból, radość, smutek—do uczuć; wszelkie następnie działanie wraz z pobudkami, które niemi kierują — do woli. Trzy te działy faktów umysłowych opierają się na naturalnych różnicach, jakie między niemi zachodzą, a które są większe niż ich wzajemne podobieństwa. Stanowią one trzy strony życia umysłowego, trzy jego kardynalne przymioty. Można je nazwać władzami, ale z zastrzeżeniem, że się nie będzie przez nie rozumiało tego, co psychologia popularna przez nie rozumie. Nie są one czémś zewnętrznie tylko z sobą zestawioném, jakąś wiązką oddzielnych sił, które niezawiśle jedna od drugiéj działają. Nie są one czém inném, jak odmiennemi sposobami działania tego samego umysłu, odmienném oddziaływaniem na zewnątrz. W uczuciu umysł zachowuje się biernie, w poznaniu—bierno-czynnie: biernie, o ile wrażenia zmysłowe są mu dane, czynnie zaś, o ile na to wrażenie oddziaływa; czynnym zaś jest w woli.

Że poznanie, uczucie i wola są oddzielnemi, czynnościami umysłu, który w każdém z nich bierze udział w całości — dowodzi tego najprzód antagonizm, jaki między niemi panuje, a następnie ta okoliczność, że wszystkie one w mniejszym lub większym stopniu występują w każdym akcie umysłu. Gwałtowne uczucia nie pozwalają człowiekowi ani myśléć, ani działać swobodnie. Jakoż codzienne doświadczenie uczy nas, że ludzie zbyt wrażliwi i uczuciowi nie odznaczają się ani ścisłością logiczną, ani stałością i wytrwałością. Przeciwnie zaś ci, u których władze rozumowe silnie są rozwinięte, zazwyczaj grzeszą brakiem uczucia i niepewnością w postępowaniu. Ludzie znów żelaznéj i nieugiętéj woli, jakkolwiek mogą miéć wysoko rozwinięty rozum, rozum ich atoli nie posiada nad nimi takiéj mocy, żeby w danym razie skłonić ich mógł do takiego, a nie innego działania. Upór jest ich właściwą cechą. Tłómaczy się to tém, że zasób energii, jaką mózg posiada, jest ograniczony i zużyty w jednym kierunku, nie może już dostatecznie zasilać innych.

Pomimo tego antagonizmu panuje między niemi ścisła łączność. Poznaniu towarzyszy zawsze uczucie przyjemności lub przykrości, oraz wola, jako uwaga, utrzymująca myślenie w natężeniu; uczuciu towarzyszy poznanie, jako odróżnienie danego uczucia od innych i umiejscowienie go, tudzież wola, jako usiłowanie przedłużenia uczucia, gdy jest przyjemném, lub pozbycia się go, gdy jest przykrém; we wszelkiém nareszcie działaniu, będącém aktem woli, łatwo odkryć pierwiastek uczuciowy w pobudkach, rozumowy w zamiarze i wytkniętym celu.

Analiza służy nam nie tylko do tego, byśmy mogli rozklasyfikować zjawiska umysłowe, lecz nadto, byśmy mogli głębiéj wniknąć w ich istotę, wykryć w nich zasadnicze pierwiastki i zbadać prawa, czyli warunki ich objawiania się.

Poznanie daje się sprowadzić do dwóch zasadniczych czynności: do wykrywania różnicy i podobieństwa między rzeczami. Poznanie nie jest czém inném, jeno odnoszeniem danéj rzeczy do innych, już poznanych, z któremi porównywamy ją i dochodzimy do wykrycia, czém się ona różni od nich, a w czém jest do nich podobną. Zasadniczym zaś faktem wszelkich uczuć, ich cechą charakterystyczną, jest uczucie przyjemności i przykrości. Wszelkie nasze uczucia są stanami umysłu bądź przyjemnemi, bądź przykremi. Co się tyczy woli, to ta, będąc wogóle działaniem, odznacza się tém, że towarzyszy jéj zawsze wysilenie, czyli po prostu jest ona usiłowaniem.

Prawa umysłowe oznaczają zależność przyczynową czyli warunki zjawisk umysłowych. Warunki te są psychiczne i fizyologiczne.

Tak w jednych, jak i w drugich potrzeba odróżniać bliższe, czyli bezpośrednie, i dalsze, a następnie —szczególne, właściwe pewnym tylko czynnościom umysłu, i ogólne, które dotyczą wszystkich jego spraw. Między temi ostatniemi najważniejsze ma znaczenie *uwaga*, która, będąc aktem woli, stanowi konieczny warunek tak poznania, jak i uczucia.

Umysłowe czynności nie u wszystkich ludzi są jednakie. Jedni z nich są mniéj, drudzy więcéj zdolni, ci odznaczają się większą żywością uczucia, niż tamci, lub téż większą od nich posiadają energią w działaniu.

Wszelkie różnice umysłowe dadzą się ocenić ilościowo, pod względem ich natężenia, trwałości i liczby pierwiastków składowych. Dwa są sposoby oceniania owych różnic: pierwszy polega na tém, że w dwu wypadkach używamy tego samego bodźca i porównywamy umysłowe nań oddziaływanie; drugi zaś na tém, że badamy, jaką potrzeba zachować różnicę w bodźcach, ażeby w obu wypadkach oddziaływania umysłu były równe. Metody te, lubo tylko w zakresie wrażeń zmysłowych dają się ściśle przeprowadzić, mogą być przecież stosowane do pewnego stopnia i w innych sferach umysłowego życia. — Niektórzy starają się wyprowadzać indywidualne różnice umysłu z pewnych stałych właściwości organizmu cielesnego, czyli z tak zwanego temperamentu; doktryna atoli temperamentu tak samo, jak dawniejsza frenologia nie wytrzymują naukowéj krytyki.

4. Jeżeli będziemy porównywać pod względem umysłowym człowieka dorosłego z dzieckiem, łatwo przekonamy się, że władze umysłowe pierwszego znacznie różnią się od władz umysłowych drugiego. Czynności umysłowe, które w wieku dziecinnym są proste, niedokładne, z trudnością wykonywające się i wymagają silnych bodźców, w wieku dojrzałym stają się łatwemi, potrzebują słabych bodźców, są doskonałe i złożone. Oddalając się coraz bardziéj od wrażeń zmysłowych, które są źródłem wszelkich czynności umysłowych, nabierają one coraz większéj ogólności i stają się bardziéj oderwanemi. Wszystkie te zmiany, zachodzące w umyśle człowieka w miarę jego wzrastania, stanowią rozwój umysłu. Prawa rozwoju umysłowego, czyli jego warunki są tak samo stałe i pewne, jak każdego innego zjawiska umysłowego.

Ponieważ umysł jest całością organiczną i wszystkie jego czynności wzajemnie od siebie zależą i oddziaływają na siebie, dla tego rozwój jednéj z nich pociąga za sobą z konieczności rozwój wszystkich, jakkolwiek nie w jednakim stopniu. Wyrabiana na przykład zdolność odróżniania i upodobniania w zakresie wrażeń zmysłowych, wpływa na rozwój wszystkich dalszych czynności rozumowych ta-

kich, jak postrzeganie, wyobrażanie, pojmowanie, sądzenie i rozumowanie, które w gruncie rzeczy nie są czém innéın, jak wykrywaniem różnic i podobieństw między rzeczami. Tak samo rozwój władzy poznania oddziaływa na uczucia i wolę, które towarzyszą każdéj czynności rozumowéj, żywy biorąc w nich udział, tém samém muszą się wznosić do wysokości, jaką rozum zajmuje, i doskonalić, stając się bardziéj złożonemi i coraz więcéj oddalając się od sfery zmysłowych wrażeń. W miarę, jak umysł się kształci, rozwija się także mózg, który jest organem życia umysłowego. Rozwój jego polega nie na wzrastaniu, powiększaniu się jego masy, która w siódmym roku życia dochodzi swego maksymum, ale na coraz doskonalszém ukształtowywaniu się jego wewnętrznéj budowy, na ciągłém różnicowaniu się w składowych jego częściach i wytwarzaniu między niemi szczególnych związków. Rozwój mózgu dokonywa się pod wpływem wprawy, ćwiczenia. Każda czynność umysłowa, oddziaływając na pojedyńcze części mózgu, wywołuje w nich zmianę i staje się powodem ich ukształtowania się, a jednocześnie wytwarza „*linie najmniejszego oporu*“, które, łącząc szczególne części mózgu, ułatwiają wspólną ich działalność w danym akcie umysłowym.

Rozwój tak umysłu jak i mózgu w odniesieniu do otoczenia jest ciągłém przystosowywaniem się do niego. Doskonałość organów zmysłowych nie jest czém innéın, jak dokładném przystosowaniem się mózgu do zewnętrznych czynników takich, jak światło, dźwięk itd. Zdolność trafnego sądzenia i wnioskowania jest przystosowaniem się umysłu do warunków otoczenia dalszych i pośrednich, oddzielonych od niego mniéj lub więcéj znacznym przedziałem czasu i miejsca. Delikatność i żywość uczuć pochodzi także z dokładniejszego przystosowania się umysłu do otoczenia, którego czynniki szkodliwe wywołują w nim uczucie przykrości, pożyteczne zaś— uczucie przyjemności. Wola, która w gruncie rzeczy nie jest czém innéın, jak usiłowaniem, mającém na celu zapewnienie tego, co jest przyjemném, a usunięcie i zabezpieczenie od tego, co jest przykrem, jest również o tyle rozwiniętą, o ile umysł zdołał się przystosować do otoczenia.

Chociaż rozwój mózgu i umysłu z tego stanowiska rozważany jest przystosowaniem się do otoczenia, nie można przecież tego przystosowania uważać za skutek czysto mechaniczny. Mózg, a tém bardziéj umysł, mają swe własne prawa rozwoju—i otoczenie jest wobec nich tylko warunkiem. Potrzeba więc w przystosowywaniu się umysłu do otoczenia odróżniać dwa czynniki: wewnętrzny i zewnętrzny. Do pierwszego należy dana organizacya umysłu ludzkiego, mocą któréj doznaje on różnych wrażeń i zdolny jest z nich tworzyć postrzeżenia,

pojęcia, sądy itd., doznawać przyjemności lub przykrości i odpowiednio temu oddziaływać na zewnątrz. W niéj ważną odgrywają rolę usposobienia odziedziczone, które są wypadkiem dziejowego doświadczenia rasy. Są to takie czynności umysłowe, które nie są nabyte przez indywidualne doświadczenie. Oznaczają one szczególny sposób myślenia, czucia i działania. Skutkiem dziedziczności psychiczny rozwój jednostki uwarunkowany jest stopniem rozwoju rasy, do któréj należy, a następnie, że każde nowe pokolenie przynosi z sobą pewien przyrost w zdolnościach wrodzonych.

Do czynników zewnętrznych należy świat zjawisk fizycznych i społeczeństwo.

Pod wpływem otaczającéj nas przyrody wytwarzają się w naszym umyśle nie tylko wyobrażenia i pojęcia o rzeczach, ale i o ich stosunkach. Porządek świata, współbytność zjawisk i ich następstwo, ich związek przyczynowy, ustalają w naszym umyśle pewien porządek myślenia, opierający się na tém, co nazywamy kojarzeniem się wyobrażeń.

Wpływ społeczeństwa na rozwój umysłowy słabo był dotąd uwzględniany. Tymczasem skutki jego są bardzo ważne, jakkolwiek nie w tym stopniu, jak to utrzymuje Lewes. Wpływ ten dokonywa się w części przez samo stykanie się z ludźmi, przez mimowolne zastosowywanie się do ich sposobu myślenia, czucia i postępowania, w części zamiarowo—za pomocą wychowania, kontroli moralnéj i prawnéj itd. W obu tych wpływach czynnemi są: budowa języka, tradycyjna wiedza, obyczaje, sympatya i naśladownictwo.

Poznanie.

1. Głównym warunkiem poznania jest uwaga. Zanim więc przystąpimy do rozpatrzenia wszystkich czynności, stanowiących zakres inteligencyi—rozumu, musimy zastanowić się nad tém, co to jest uwaga i jakie są jéj warunki.

Rozdział o uwadze stanowi oryginalną część dzieła Sully'ego. Rzuca on światło na zapatrywanie autora na naturę umysłu. Przyznaje on mu większą samodzielność, niż to czynią inni psychologowie angielscy, a szczególniéj Spencer, który wszelkie czynności umysłowe sprowadza do odruchów mniéj lub więcéj złożonych. Zapatrując się z tego stanowiska, poznanie nie jest czém innéni, jak dokładném odbiciem zewnętrznego porządku rzeczy lubo w formie symboliczném. Sully, wyprowadzając na jaw czynny pierwiastek umysłu, jakim jest uwaga, zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy czysto mechaniczną teoryą umysłu a teoryą spirytualistyczną. Zaznaczając bo-

wiem fakt, świadczący o pewnéj samodzielności umysłu tak w poznaniu, jak i w woli—poprzestaje na têm i nie wdaje się w żadne wnioski, wychodzące po za zakres psychologii doświadczalnéj.

Rzecz godna zanotowania, że Sully, wysuwając na pierwszy, na główny plan uwagę, jako najważniejszy czynnik poznania, zbliża się pod tym względem do naszego Śniadeckiego, który w swéj Filozofii ludzkiego umysłu powiada: „baczność jest czynnością wolną umysłu, jest najważniejszą siłą i istotnym warunkiem poznawań ludzkich.“

Czémże jest uwaga i na czém zależy? Jest ona samodzielném skierowaniem się i zastanowieniem umysłu nad przedmiotem, który mu jest obecny. Możnaby ją przeto nazwać świadomością danego przedmiotu, tylko że zakres świadomości jest daleko obszerniejszy, obejmuje ona bowiem i takie stany umysłu, które są tylko na pół świadome, jak gdyby na drugim planie zostawały.

Przedmiotem uwagi mogą być tak objawy myślenia, jako téż uczucia i woli. Bezpośrednio dostępnemi są dla niéj wrażenia zmysłowe, wyobrażenia, pojęcia i całe w ogóle myślenie; pośrednio zaś, czyli ubocznie—uczucia i czynności. W miarę, jak zwracamy na dany przedmiot uwagę i zastanawiamy się nad nim, staje się on wyraźniejszym. Znaczenie i charakter uwagi szczególniéj uwydatnia się w czynnościach poznawczych. Przedmioty, które się nastręczają naszym zmysłom, wtedy tylko mogą być odróżnione od innych czyli poznane, gdy pilną na nie zwrócimy uwagę, gdy mamy na baczeniu nie tylko wrażenia obecne, ale i te, które są z niemi skojarzone. Myślenie zatém czyli sprawa poznawania jest stanem umysłu czynnym, zależącym na dowolném zwracaniu się uwagi i zastanawianiu się. Sama zaś uwaga w odniesieniu do poznania jest udziałem czynnéj strony umysłu, dopomagającéj, kierującéj i kontrolującéj mechanizm myślenia.

Doniosłość uwagi bywa różna. Gdy przedmioty są rozproszone i nie mają związku z sobą, może ona po kolei tylko nad każdym z nich zastanawiać się; przeciwnie, gdy są połączone i stanowią jedną całość, może ona ogarnąć zarazem kilka z nich albo téż całą ich grupę. Co się tyczy natężenia, z jakiém uwaga może zastanawiać się i rozważać, zależy ono od ilości przedmiotów, któremi się zajmuje. Im więcéj będzie takich przedmiotów, tém natężenie uwagi musi być słabszém.

Przedewszystkiém siła natężenia uwagi zależy od energii, jaką w danéj chwili umysł rozporządza, a następnie od bodźców i pobudek, które zwracają uwagę w odpowiednim kierunku. Uwaga, posłuszna bodźcom zewnętrznym, działa w sposób czysto odruchowy

i jest mimowolną; staje się zaś dowolną wtedy dopiero, gdy zaczyna się powodować pobudkami wewnętrznemi.

Uwaga mimowolna, ulegająca niewolniczo bodźcom zewnętrznym, zwraca się zwykle na przedmioty, które robią silne wrażenie, sprawiają większą przyjemność albo téż przykrość, uderzają swą nowością, niezwykłością. W ogóle mówiąc, zmiana wrażeń, która jest jednym z głównych warunków życia umysłowego, ważną gra rolę także w uwadze mimowolnéj, działającéj, jak każda czynność odruchowa, w kierunku najsilniejszego ciągnienia. Z saméj natury jéj wynika, że jest ona chwilową, dopóty zastanawiającą się nad przedmiotem, pokąd nowy, większą siłę posiadający, nie pociągnie jéj ku sobie.

W miarę, jak umysł rozwija się, pobudki wewnętrzne nabierają w nim przewagi nad bodźcami zmysłowemi—i uwaga z mimowolnéj staje się powoli dowolną. Uwaga dowolna nie znosi uwagi odruchowéj, pozostaje ona zawsze czynną, jako skłonność, i łącząc się z uwagą dowolną, może ją znacznie wzmocnić, jakkolwiek w innych przypadkach może utrudniać jéj działanie.

Charakterystyczną cechą uwagi dowolnéj jest mniejszy lub większy stopień wysilenia, jaki towarzyszy jéj czynnościom. Od tego wysilenia uwaga mimowolna jest calkiem wolna. Pierwszym objawem uwagi dowolnéj jest zwracanie się jéj na przedmioty interesujące. W dalszym swym rozwoju zastanawia się ona i nad takiemi rzeczami, które tylko pośrednio obchodzą, same zaś przez się nie posiadają żadnéj wagi. Dla tego téż uwaga dowolna przedewszystkiém zależy na zdolności opierania się bodźcom zewnętrznym. Jéj doskonałość polega nie tylko na swobodném zwracaniu się na przedmioty, stosownie do pobudek wewnętrznych, do zamiarów i celów, jakiemi się kierujemy w życiu, ale także na jéj zdolności zastanawiania się nad rzeczami tak długo, jak tego okoliczności wymagają. Uwaga skupiona, niedostępna dla wszelkiego roztargnienia, niepodzielnie zajmująca się jednym przedmiotem, jest najwyższym stopniem rozwoju uwagi dowolnéj. Właściwa ona jest geniuszom. To właśnie dało powód do błędnego mniemania, że istotę geniuszu stanowi sama tylko uwaga skupiona.

Podzielność uwagi stanowi zdolność szybkiego przechodzenia od jednego przedmiotu do drugiego, jak np. malowanie lub granie i jednoczesne rozmawianie. Zależy ona na łatwém przystosowywaniu się do nowego przedmiotu i jest dziełem nawyknienia.

Wprawa, jak we wszystkich w ogóle czynnościach dowolnych, ważną odgrywa rolę w kształceniu uwagi. Za pomocą niéj wyrabia się nawyknienie do pilnego zastanawiania się, przez co uwaga staje

się swobodniejszą w swém działaniu, które się też odbywa z mniejszém wysileniem.

2. W dwóch następnych rozdziałach mówi autor o wrażeniach zmysłowych i postrzeganiu (percepcyi). Rozdziały te należą do najlepiéj opracowanych. Dziwić się temu nie można. Zajmują się one bowiem zagadnieniami, które stanowią podstawę poznania, a które, przynajmniéj u psychologów francuskich i niemieckich, obrabiane są w sposób, pozostawiający wiele do życzenia. Dwa fakty tak różne, jak czucie zmysłowe i postrzeganie, nie są u nich dokładnie określone, a kiedy jedni całą różnicę między niemi upatrują w tém, że czucia są proste, a postrzeżenia złożone; to inni utrzymują, że ścisłéj między niemi granicy przeprowadzić niepodobna.

Autor, wierny tradycyi filozofii szkockiéj, utrzymuje ścisłą granicę między czuciem a postrzeżeniem, co zresztą robią i inni współcześni psychologowie angielscy. W każdym razie uwydatnia on tu właściwe sobie zapatrywanie na sprawy umysłowe.

Nadmieniłem powyżéj, że według autora, poznanie jest sprawą czynną umysłu. Ponieważ wrażenia zmysłowe pochodzą z zewnątrz i w odbieraniu ich zachowuje się umysł biernie—stąd nie stanowią one jeszcze poznania, ale są tylko surowym dla niego materyałem. Właściwe poznanie zaczyna się od postrzegania, za pomocą którego umysł przerabia dany materyał zmysłowy.

Z tém wszystkiém, Sully nie uważa wrażeń zmysłowych za zjawisko czysto fizyologiczne. Podrażnieniu fizycznemu organów zmysłowych i spowodowanéj przez nie odmianie w nerwach odpowiada zwykle czucie, które jest faktem czysto umysłowym. Dla tego też potrzeba ściśle odróżniać stronę fizyologiczną wrażeń zmysłowych, od ich strony psychicznéj. Pierwszą właściwie byłoby nazywać wrażeniem, drugą zaś czuciem. Czucie bezpośrednio nam jest dane, kiedy o wrażeniu dowiadujemy się dopiero za pośrednictwem czucia. Że wrażenie zmysłowe, a czucie nie jest tém samém, przekonywamy się z tego, że nie każde wrażenie wywołuje czucie, które wtedy tylko powstaje, gdy umysł jest swobodny i może zwrócić uwagę na wrażenie, i że czucie zmysłowe może powstać niezależnie od wrażeń, co ma miejsce w tak zwanych czuciach podmiotowych.

Cóż to jest czucie w ogóle. Określić go niepodobna. Jest ono pierwszém daném świadomości i nie ma w umyśle prostszych zjawisk, do których by można było je sprowadzić. Dla wyrozumienia, czém jest czucie, potrzeba się odwołać do indywidualnego doświadczenia, do świadomości.

Czucia bywają powszechne, właściwe wszystkim częściom organizmu, posiadającym wrażliwość, i szczególne, które stanowią wła-

sność pewnych tylko części organizmu, zaopatrzonych w odpowiednie przyrządy nerwowe.

Czucia powszechne, czyli organiczne, nie mają oznaczonego charakteru i różnią się od siebie tylko mniejszym lub większym stopniem przykrości i przyjemności. Lokalny koloryt zawdzięczają one późniejszemu doświadczeniu, a mianowicie nabytéj zdolności umiejscowiania ich w odpowiednich częściach ciała. Związane jak najściśléj z fizyologicznemi sprawami organizmu, oznaczają one tylko stan jego w danéj chwili. O świecie zewnętrznym nie dają nam one żadnego poznania.

Czucia zmysłowe szczególne należą do znanych pięciu zmysłów. Posiadają one charakter ściśle oznaczony i przez to stają się znakami, które dają nam poznać własności rzeczy zewnętrznych, oraz zachodzące w nich zmiany. To też cały zakres naszéj wiedzy ograniczony jest ściśle ilością różnic, jakie zachodzą między zmysłowemi czuciami.

W czuciach zmysłowych potrzeba najprzód uwzględniać stopień ich natężenia. Zależy on od siły bodźca. Mierzeniem czuć zajmuje się psycho-fizyka. Podaje ona następujące prawo: każdy bodziec musi dojść do pewnego natężenia, ażeby mogło nastąpić dokładne czucie. Ten punkt natężenia zowie się progiem albo granicą natężenia. Oznacza on *bezwzględną wrażliwość* organu zmysłowego. Gdy próg zostanie przekroczonym, natężanie bodźca nie zawsze sprowadza natężenie czucia. Ażeby nastąpił pewien przyrost czucia, musi natężenie bodźca dojść do pewnéj określonéj miary. Miara ta, wyrażająca się za pomocą ułamka, oznacza *wrażliwość odróżniającą* (discriminative). Powiększając coraz bardziéj bodziec, dochodzimy nareszcie do punktu, w którym dalsze jego powiększanie nie wywołuje już w uczuciu różnicy. Punkt ten stanowi maksymum wrażliwości zmysłu, jéj *wysokość*. Wrażliwość odróżniająca podciągniętą została pod prawo, zwane prawem Webera. Daje się ono wyrazić w ten sposób: ażeby czucie mogło wzrastać w stosunku arytmetycznym, potrzeba, by bodziec wzrastał w stosunku geometrycznym.

Zdolność odczuwania najmniejszych różnic nie jest jednakowa we wszystkich zmysłach. Dla zmysłu dotyku równa się ona od $^1/_3$ do $^1/_{30}$; dla temperatury — $^1/_3$; dla słuchu — $^1/_3$; dla wzroku — $^1/_{100}$; dla zmysłu mięśniowego — $^1/_{51}$ w ocenianiu ruchu, $^1/_{25}$ — w ocenianiu ciężaru.

Czucia zmysłowe różnią się od siebie stosownie do organu, w którym powstają. Różnicę tę stanowi ich jakość, która zależy od budowy ich organów. W czuciach tego samego rodzaju zachodzą jeszcze pewne różnice, jak np. różne kolory, dźwięki itd.

Dla obserwacyi wewnętrznéj każde czucie szczególne przedstawia się, jako całość nierozdzielna. Tymczasem fizyologia wykazuje, że są one natury złożonéj. Spencer i Taine, posuwając analizę jeszcze daléj, utrzymują, że każde czucie, bez względu na ich jakościowe różnice, składa się z pewnych jednostek, atomów czucia, któremi są uderzenia nerwowe, że zatém różnice czuć naszych tak rodzajowe, jak i gatunkowe, zależą od różnéj kombinacyi owych pierwiastków psychicznych.

Wszystkie nasze czucia mają pewną trwałość, jakkolwiek ta różną bywa dla różnych zmysłów. Trwałość np. smaku i powonienia bywa bardzo nieoznaczona pod względem ich początku i końca.

Niektóre nareszcie czucia, jak dotyku i wzroku, odznaczają się właściwym sobie charakterem lokalnym. Dwa czucia, pochodzące od dwóch różnych punktów powierzchni organów, pomimo że są sobie równe pod względem jakości i natężenia, objawiają się jako dwa oddzielne czucia. Lokalny charakter czuć zależy na czynności oddzielnych grup włókien nerwowych, które, rozpościerając się na powierzchni organu zmysłowego, tworzą oddzielne, lubo zachodzące na siebie obwody czuciowe. Dotykając się skóry końcami cyrkla, gdy nóżki jego są odpowiednio rozstawione, wywołujemy dwa oddzielne czucia, albowiem dotyka on punktów, które leżą w dwóch osobnych obwodach czuciowych. Jeżeli zaś dotknięte punkty leżą w tym samym obwodzie, powstaje jedno tylko czucie. Wielkość tych obwodów jest różna—im część powierzchni organu jest wrażliwsza, tém obwody czuciowe są mniejsze.

Lokalnego charakteru czuć nie należy brać za jedno z ich umiejscowianiem. To ostatnie jest dziełem postrzegania i odbywa się na podstawie charakteru lokalnego, jakim odznaczają się czucia, od rozmaitych części powierzchni organu pochodzące.

Zmysły, stosownie do ich ważności pod względem poznania, można ułożyć w następującym szeregu: smak, powonienie, dotyk, słuch i wzrok.

Smak i powonienie są najniższemi zmysłami. Zbliżają się one do czucia organicznego, z którym mają to wspólnego, że przeważa w nich pierwiastek uczuciowy (przyjemność i przykrość). Czucia ich pozbawione są wyrazistości, a trwałość ich pod względem początku i końca jest nieokreślona. Dla tego téż w poznaniu świata zewnętrznego mają one małe dla nas znaczenie. Umieszczone u wnijścia kanałów oddechowego i pokarmowego, zdają się mieć jedynie za zadanie ostrzegać organizm o tém, co mu jest szkodliwém, a co zbawiennėm.

Dotyk, z którym się łączy zmysł temperatury, odegrywa wielką rolę w poznaniu, dzięki lokalnemu kolorytowi swych czuć, oraz naturalnemu swemu połączeniu ze zmysłem mięśniowym.

Najwyższe miejsce zajmują słuch i wzrok.

Słuch, posiadający wysoką zdolność odróżniania jakości i trwałości dźwięków, dostarcza nam za pomocą muzyki szlachetnéj przyjemności; za pośrednictwem zaś członkowanego głosu, czyli mowy, ogromnego zasobu wiedzy. Czucia jego atoli posiadają bardzo słaby koloryt lokalny.

Najbardziéj wykształconym organem zmysłowym i dla tego dostarczającym najliczniejszych informacyi o świecie zewnętrznym— jest wzrok. Zawdzięcza on swe znaczenie temu, że obdarzony jest ruchem i jaknajściśléj połączony jest z czuciem mięśniowém, że posiada wysoką zdolność odczuwania najmniejszych różnic w doznawanych wrażeniach tak świetlnych, jak i ruchomych, a następnie, że wrażenia siatkówki mają silny koloryt lokalny.

Osobne miejsce w szeregu zmysłów należy się czuciu mięśniowemu, które pochodzi nie od działania na jego organ przedmiotów zewnętrznych, ale od działania samegoż organu-mięśni. Dla tego téż, kiedy wszystkie inne zmysły są bierne, zmysł mięśniowy jest czynnym. Działaniom jego towarzyszy czucie energii, usiłowania. Źródłem tego czucia jest przedewszystkiem inerwacya nerwów odśrodkowych, czyli ruchowych, z którą się łączy czucie nerwów dośrodkowych, czyli czuciowych, naciskanych przy poruszeniach mięśni. Do właściwości jego należy jeszcze i to, że wchodzi on w ścisłe połączenie z innemi zmysłami, a mianowicie z dotykiem i wzrokiem, które téż, o ile się łączą ze zmysłem mięśniowym, mogą być uważane za zmysły czynne. Posiada on przytém wysoką zdolność odczuwania najmniejszych różnic, jakkolwiek czucia jego nie posiadają lokalnego charakteru.

Czucia mięśniowe są dwojakiego rodzaju: czucie ruchu, czyli energii niehamowanéj, czego przykładem jest ruch ręki w próżnéj przestrzeni, i czucie oporu. czyli energii hamowanéj, które objawia się, kiedy np. popychamy lub podnosimy ciężar.

Czucie ruchu różni się znowu stosownie do tego, w jakim kierunku i z jaką chyżością ruch odbywa się, oraz jak długo trwa i jaki zakres obejmuje.

Zmysły nie u wszystkich ludzi są jednakie. A jakkolwiek indywidualne różnice pod tym względem pochodzą z ich ukształtowania, w czém dziedziczność ważną odgrywa rolę, przecież wielkie ma znaczenie dla ich wykształcenia wprawa. Doskonałość zmysłów zależy nie na saméj tylko zdolności odczuwania różnic, ale i podo-

bieństw, jakie zachodzą między ich wrażeniami. Otóż jak jedno, tak i drugie nabywa się i wyrabia przez ćwiczenie.

3. Wiadomo już nam, że zmysły dostarczają tylko surowego materyału, który umysł obrabia, łącząc z sobą pojedyńcze wrażenia lub je rozdzielając. Pierwszą czynnością umysłu poznającego jest postrzeganie, które autor określa w sposób następujący: „Postrzeganie jest czynnością, za pomocą któréj umysł, odróżniwszy i utożsamiwszy rzeczywiste wrażenie proste lub złożone (z wrażeniami uprzednio doznanemi), uzupełnia je szeregiem wrażeń wznowionych, czyli przypomnianych i całą tę grupę zespolonych wrażeń rzeczywistych i odtworzonych ujmuje w formę postrzeżenia, które jest pozornie bezpośredniém poznaniem (intuicyą) przedmiotu, znajdującego się w danéj chwili w pewném miejscu przestrzeni."

Istotę postrzegania stanowi umiejscowianie wrażeń zmysłowych. Wrażenia organiczne odnosimy do pewnéj części obwodu naszego ciała, wrażenia zaś innych zmysłów wyrzucamy nie jako po za siebie i umiejscowiamy w przedmiotach zewnętrznych, które uważamy za ich przyczyny.

Postrzeganie może nastąpić wtedy dopiero, gdy umysł drogą doświadczenia codziennego zostanie zaopatrzony w pewien zasób wrażeń. Postrzeganie bowiem dokonywa się przez odróżnianie i utożsamianie wrażeń danych z wrażeniami przeszłemi. Zaczyna się ono więc w bardzo wczesnéj dobie życia i odtąd towarzyszy wszelkim wrażeniom. Jakoż w późniejszym życiu niepodobna oddzielić wrażeń zmysłowych od postrzeżeń. Lubo postrzeżenia dokonywają się w zakresie wszystkich zmysłów, głównemi atoli narzędziami jego są zmysły czynne dotyku i wzroku. W wieku dziecinnym zmysł dotyku przeważną odgrywa rolę w postrzeganiu i dopiero później ustępuje miejsca wzrokowi, który, wykształciwszy się pod jego kierunkiem, staje się w końcu jedynym prawie organem postrzegania.

Zmysł dotyku, który jedynie daje nam poznać twardość i ciężar, dwie najważniejsze własności ciał, wprowadza nas w najściślejszy związek ze światem zewnętrznym. Za jego pomocą również nabywamy intuicyi przestrzeni, któréj podstawę stanowi grupa jednoczesnych wrażeń dotykowych, odznaczających się miejscowym kolorytem, oraz czucia mięśniowe, towarzyszące ruchowi ręki.

Oprócz tego, za pośrednictwem zmysłu dotyku poznajemy względne i bezwzględne położenie przedmiotów, ich kształt, bryłowatość, wielkość, ilość, ich ruch i temperaturę, twardość i ciężkość, gładkość i chropowatość.

Nie podobna mi, idąc za autorem, wdawać się w szczegółowy rozbiór wszystkich doświadczeń, za pomocą których zmysł dotyku,

połączonego z ruchem, dochodzi do wytworzenia właściwych sobie postrzeżeń o świecie zewnętrznym. Dość, że postrzeżenia dotykowe są pierwsze, które dają nam bezpośrednio poznać istotne własności ciał i świata zewnętrznego, i które dla ludzi, pozbawionych od urodzenia wzroku, stanowią jedyny prawie zasób ich wiedzy. W postrzeżeniach dotykowych przeważa pierwiastek obecny (*presentative*) nad przedstawionym, odtworzonym (*representative*). Dla tego też zakres ich ogranicza się w danéj chwili do małéj tylko cząstki świata zewnętrznego, a mianowicie do tych tylko przedmiotów, których można jednocześnie się dotknąć.

Różnią się od nich pod tym względem postrzeżenia wzrokowe. Dla tych dostępnemi są nie tylko przedmioty bliskie, ale i w znacznéj znajdujące się odległości, jak np. ciała niebieskie. Jednym rzutem oka zdolni jesteśmy objąć rozległą grupę przedmiotów w najróżnorodniejszych kierunkach i w różnéj od nas odległości znajdujących się.

W postrzeżeniach wzrokowych działają te same czynniki, co i w dotykowych, a mianowicie: czucie mięśniowe, towarzyszące ruchom oczu i lokalny koloryt wrażeń siatkówki.

Wzrokowa przestrzeń tak samo, jak i dotykowa, składa się z grupy współczesnych wrażeń siatkówki, odznaczających się miejscowym kolorytem, skojarzonéj z czuciami mięśniowemi, towarzyszącemi ruchom oczu. W postrzeżeniu wzrokowém przestrzeni, oczy, poruszając się w kierunku pionowym i poziomym i naprowadzając w ten sposób najczulszy punkt siatkówki na różne miejsca powierzchni przedmiotu, działają na podobieństwo rąk, przesuwających palce po powierzchni przedmiotu, ażeby dać możność zmysłowi dotyku poznać kolejno wszystkie jego części Oczy nasze jednakże, poruszające się swobodnie z góry na dół, oraz na lewo i na prawo, nie mogą odbywać ruchu naprzód ani w tył, dla tego też w postrzeżeniu wzrokowém przestrzeni bezpośrednio dane są tylko dwa wymiary. Co się tyczy głębokości — takową poznajemy tylko za pośrednictwem dotyku. Głębokość bowiem nie jest czém inném, jak odległością pewnych punktów od punktu wyjścia. Otóż wszelka odległość dostępna jest tylko dla dotyku, połączonego z ruchem ręki lub też całego ciała. Nie mniéj jednakże wzrok nie jest całkiem pozbawiony zdolności postrzegania odległości, i, co za tém idzie, głębokości, bryłowatości ciał. Wzrok do oceniania odległości posiada dwa środki, a mianowicie: sprowadzanie osi widzenia do punktu przecięcia bliższego lub dalszego, oraz tak zwaną akomodacyę oka. Każdéj z tych czynności towarzyszą właściwe czucia mięśniowe, które same przez się nie mają znaczenia, ale nabierają go, gdy się

skojarzą ze współczesném doświadczeniem dotyku czynnego. W ten sposób stają się one symbolicznemi znakami, które w postrzeżeniach wzrokowych nabierają tém dokładniejszego znaczenia, im silniéj skojarzyły się z wrażeniami dotykowo-ruchowemi. Dla tego téż twierdzenie, że przedmioty zewnętrzne przedstawiają się naszym oczom, jako płaskie, tak mianowicie, jak je widzą w pierwszych chwilach po dokonanéj operacyj ślepi od urodzenia, a zapewnie i niemowlęta—nie jest słusznêm.

Wzrokiem poznajemy również kształt, wielkość pozorną, ruch przedmiotowy, względne położenie przedmiotów i ich ilość; ale wielkość rzeczywistą przedmiotów i ich położenie bezwzględne, tj. położenie ich części względem naszego ciała, a mianowicie, która z nich leży w górze, a która w dole, która po prawéj, a która po lewéj ręce—dają się poznać tylko za pomocą dotyku czynnego. I to właśnie tłómaczy, dla czego przedmioty, które na siatkówce mają położenie odwrócone, widzimy prosto. Fakt ten jest wynikiem doświadczenia dotykowego. Za jego współudziałem również dwa obrazy naszych oczu zlewają się w postrzeganiu w jeden, jakkolwiek ważną przytém odgrywają rolę symetryczne punkty siatkówek naszych oczu.

„Przekonywa to nas, że jakkolwiek postrzeganie wzrokowe w dojrzałym wieku jest czynnością automatyczną, jest ono przecież wypadkiem licznych doświadczeń. Prawdopodobnie, że dziecko w związku z odziedziczonym układem nerwowym przynosi z sobą usposobienie wrodzone do koordynowania wrażeń siatkówki z wrażeniami ruchowemi oka, oraz wzrokowych wrażeń, jako całości, z doświadczeniem dotyku czynnego.“

„Pomimo, że widzenie jest w ten sposób oparte na postrzeganiu dotykowém, przewyższa ono to ostatnie tak pod względem delikatności w ocenianiu najmniejszych różnic, jako i w tém, że jest bardziéj rozumowém. Widzenie jest czemś wiecéj, niż samém przetłómaczeniem dotykowego poznania na nowy język, lub prostém jego skróceniem. Spotęgowuje, udoskonala ono to poznanie pod tym względem, że jego pierwiastki czuciowe łatwiéj dają się odróżniać i dzielić i przez to mogą wchodzić w liczniejsze kombinacye.“

Postrzeganie własnego naszego ciała dokonywa się za pomocą dotyku czynnego, któremu towarzyszy podwójne czucie—palców lub całéj dłoni, za pomocą któréj dotykam się i miejsca dotkniętego, które się nadto odznacza kolorytem lokalnym. Pod kierunkiem tego doświadczenia wzrok poznaje względne położenie części ciała i wytwarza pewien rodzaj mapy, w któréj te części ułożone są we właściwych sobie miejscach.

Ponieważ dziecię powoli tylko wyrabia w sobie zdolność refleksyjną, za pomocą któréj zwracać możemy uwagę na to, co się wewnątrz nas dzieje, na stany naszego umysłu, przeto nie odróżnia ono swego ciała od jaźni. Następuje to dopiero późniéj, i to w miarę, jak ustala się w niém przeświadczenie o stałości zewnętrznych przedmiotów, co jest już dziełem wyższéj czynności umysłowéj.

Oprócz postrzeżeń dotykowych i wzrokowych, są jeszcze postrzeżenia słuchowe. Postrzeżenie słuchowe przestrzeni jest bardzo wadliwe—z trudnością tylko zdolni jesteśmy poznawać miejsce, z którego dźwięk nas dochodzi, oraz jego odległość. Za to postrzeżenia słuchowe czasu odznaczają się największą dokładnością—i téj to właśnie doskonałości ucha pod względem oceniania stosunków czasowych zawdzięczają muzyka i mowa ludzka swój rozwój.

Wszelkie postrzeganie wymaga w pewnym stopniu natężenia uwagi. Im z większą zastanawiamy się uwagą nad rzeczą i usiłujemy poznać wszystkie jéj szczegóły, tém postrzeganie staje się systematyczniejszém—i wtedy przybiera charakter obserwacyi. Obserwacya zatém nie jest czém inném jak usystematyzowaném postrzeganiem.

Władysław Kozłowski.

DRUGI WALNY ZJAZD

TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH

WE LWOWIE.

Rzadko która instytucya wykazać zdoła w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu istnienia tak dodatnie i ważne rezultaty swéj działalności, jak galicyjskie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych. Zawiązane w kwietniu 1884, powitane zostało w szerokich kołach społeczeństwa z radością, jako rzecz nie tylko pożyteczna ale i potrzebna, a skierowawszy swą działalność zaraz od samego zawiązku na właściwe tory, uprawniało do pięknych a daleko sięgających nadziei. Obrady walnego zjazdu Towarzystwa, odbytego we Lwowie podczas Zielonych świąt b. r. ziściły te nadzieje w zupełności; może je nawet przewyższyły. Opuszczaliśmy salę obrad z podniosłym nastrojem umysłu, dumni, że się pochlubić możemy tak żywotną w stosunkach naszych instytucyą; opuszczaliśmy ją z szczerém uznaniem dla pracy i zasług stanu nauczycielskiego, który związany w jedno stowarzyszenie, dał dowody, iż zadanie swoje uczciwie i rzetelnie pojmuje, i dobréj myśli, rzuconéj pośród siebie, nie da pójść na marne.

W tém żywém zainteresowaniu się sprawą Towarzystwa ze strony nauczycieli, w umiejętném a sprężystém jego kierownictwie ze strony zarządu, leży niewątpliwie wiele czynników, które rozwój jego umożliwiły i przyśpieszyły. Właściwa jednak tajemnica jego żywotności tkwi jeszcze głębiéj: w saméj naturze stosunków, wśród których Towarzystwo powstało, a które nie tylko usprawiedliwiają jego racyą bytu, ale nadto wskazują wyraźnie na konieczność jego istnienia.

Ktokolwiek tylko nieuprzedzoném okiem rozpatrzéć się zechce w stosunkach szkolnictwa galicyjskiego z ostatnich lat kilkunastu, ten przyznać musi, że w czasie tym osiągnięto nie mało dodatnich

rezultatów, że rozwój szkolnictwa tego jest na drodze coraz dalszego rzeczywistego postępu. Zapewne, że nie we wszystkich kierunkach można było iść naprzód jednakowym, równo wymierzonym krokiem; ale też zważyć trzeba, że olbrzymie zadanie reformy, jakie w tym względzie przedstawiało się do urzeczywistnienia, nie od razu dało się objąć w całości; że trzeba było przedewszystkiém zająć się szczegółami ważniejszymi, sprawami niecierpiącemi zwłoki, i tym najprzód poświęcić uwagę, ażeby potém przejść do innych kwestyi, dla których chwilowa zwłoka nie przedstawiała niebezpieczeństwa. Najbardziéj zaś piekącą ze wszystkich spraw było podniesienie wychowania elementarnego. Ku temu celowi zwrócono się też przed wszystkimi innymi. Zarówno sejm galicyjski, jak i rada szkolna krajowa rozwinęły sprężystą działalność, ażeby podnieść i ulepszyć stan szkół ludowych, wydoskonalić metodę nauczania, pomnożyć ich liczbę, zaopatrzyć je wreszcie w odpowiednio wykształcone, fachowe siły nauczycielskie. Nie małą dźwignią około podniesienia szkolnictwa ludowego stało się istniejące od dłuższego czasu Towarzystwo pedagogiczne, z siedzibą główną we Lwowie i całą siecią filii po kraju, które pomiędzy stanem nauczycieli ludowych potrafiło wytworzyć poczucie solidarności i wspólności interesów, zagrzać ich do wytrwałéj a racyonalnéj pracy w swoim zawodzie, które, jedném słowem, podniosło stan ten moralnie. Kto dzisiaj bada bliżéj urządzenie i wartość galicyjskich szkół elementarnych, i porówna je z temi, jakie widział przed laty dwudziestu, ten przyznać musi, że około podniesienia ich zdziałano bardzo wiele w ciągu tego stosunkowo krótkiego czasu.

Nie chcemy oczywiście twierdzić, jakoby stosunki dzisiejsze były już idealnie doskonałemi. Szkolnictwo ludowe w Galicyi ma jeszcze wiele braków, których usunięcie jest zadaniem przyszłości, a praca nad dalszym jego rozwojem musi być ciągle jeszcze wytrwałą i nieustającą. Przyznaliśmy tylko postęp względny, ale widoczny. A zarazem chcieliśmy zaznaczyć, że z chwilą, w któréj przynajmniéj z grubsza zreformowano ten dział wychowania publicznego, nadszedł czas, kiedy trzeba było objąć horyzont szerszy i zwrócić bliższą uwagę na podniesienie innych działów edukacyi, przedewszystkiém zaś t. z. szkół średnich, t. j. gimnazyów i szkół realnych. Nie da się zaprzeczyć, że w ostatnich czasach i na tém polu postąpiono o kilka kroków naprzód, ale w stosunku do tego, co zrobiono dla szkolnictwa ludowego, był to postęp nieznaczny. Wpłynęły na to dwie głównie okoliczności. Naprzód bowiem urządzenie szkół średnich w Galicyi nie przedstawiało tylu braków, ile organizacya szkół elementarnych; powtóre zaś, w myśl obowiązujących

ustaw, przysługuje władzom krajowym, mianowicie zaś sejmowi i radzie szkolnéj, o wiele szczuplejszy zakres atrybucyi co do urządzania stosunków w szkołach średnich aniżeli w szkołach elementarnych; w wielu tedy względach nie wystarczały nawet chęć i dobra wola władz krajowych, które pozostawiać musiały ostateczne rozstrzygnięcie centralnym organom austryackim.

Bądź-co-bądź jednak, kwestya poprawy stosunków w szkołach średnich nie była rzeczą, nad którąby kraj przejść mógł do porządku dziennego. Pewne braki, które początkowo mniéj zdawały się razić, z biegiem czasu występowały na jaw coraz jaskrawiéj; a nadto sama istota szkolnictwa galicyjskiego, regulowanego z góry przeważnie na tę samę modłę, jak w innych prowincyach austryackich, wymagającego jednak w licznych wypadkach uwzględnienia stosunków miejscowych, prowincyonalnych, nawoływała do wzięcia inicyatywy w reformie, inicyatywy, do któréj szczególniéj musiał się czuć powołanym sam kraj, jego władze autonomiczne, społeczeństwo, przedewszystkiém zaś stan nauczycielski, żyjący w codzienném zetknięciu ze sprawami szkolnemi, bogaty w doświadczenie i szereg praktycznych wiadomości, jakie zrodzić musi każda praca zawodowa. Ale w jakiejże formie wystąpić mieli nauczyciele z tą inicyatywą? Niezwiązani w żadną korporacyą, działać mogli chyba każdy na własną rękę, w odosobnieniu. Nie potrzeba tłómaczyć, że nie była to właściwa droga do wytkniętego celu. Jak wszędzie, tak i tutaj okazała się potrzeba połączenia sił rozstrzelonych w jedną całość, ażeby przy wspólném zajęciu się przedmiotem zyskać należytą podstawę do dalszego działania, rozszerzyć sobie horyzont jego, wreszcie zaś uchronić się od możliwych zboczeń, którym odosobniona jednostka daleko łatwiéj ulegać może.

Wychodząc z tego punktu widzenia, podjęto we Lwowie, z początkiem marca r. 1883 myśl założenia Kółka nauczycieli szkół wyższych, które, jako składowa część Towarzystwa pedagogicznego, postawiło sobie za cel uzupełniać prace przezeń podejmowane, przez bliższe zajęcie się sprawą szkół średnich. Od pierwszéj chwili zawiązania się, Kółko to skupiło około siebie poważny zastęp nauczycieli. Nie stanowiąc żadnego samodzielnego organu, nie mogąc zwłaszcza wystąpić samoistnie na zewnątrz, musiało Kółko ograniczyć początkowo działalność do skromnych rozmiarów. Najgłówniejszym punktem téj działalności było wspólne omawianie spraw dydaktycznych i pedagogicznych, na posiedzeniach odbywanych regularnie co miesiąc. Poruszano zagadnienia ciekawe i ważne, jak np. rzecz o wypracowaniach piśmiennych, o lekturze polskiéj w klasach wyższych, o egzaminach wstępnych do

pierwszéj klasy szkół średnich, o podręcznikach w nauce geografii, o uproszczeniach w nauczaniu fizyki, o najnowszym kierunku gramatycznym, o nauce matematyki i t. p. Nadto postanowiło Kółko zająć się ułożeniem szczegółowéj instrukcyi do nauki języka polskiego w szkołach średnich i wybrało w tym celu komisyą, złożoną z sił fachowych, poruczając jéj wykonanie tego zadania. Wreszcie zajęto się z samego początku kwestyą polepszenia opłakanych stostosunków t. z. suplentów szkół średnich—rzecz, którą poniżéj omówimy dokładnie—i wystosowano w tym celu dwie petycye do sejmu galicyjskiego i austryackiéj rady państwa, które niestety, dotychczas nie przyniosły jeszcze pożądanych rezultatów.

Życzliwe przyjęcie, jakiego czynności Kółka zewsząd doznały, oraz nasuwająca się sama z siebie potrzeba rozszerzenia zakresu jego działalności, która w dotychczasowéj formie nie mogła się należycie rozwinąć, skłoniły zarząd do podjęcia starań celem utworzenia osobnéj, samoistnéj S e k c y i n a u c z y c i e l i s z k ó ł w y ż s z y c h w łonie Towarzystwa pedagogicznego, któraby miała dążyć do popierania wszelkich spraw, zostających w związku z pomyślnym rozwojem szkół wyższych (mianowicie zaś t. z. szkół średnich, w przeciwstawieniu do elementarnych). Odbyte w tym celu walne zgromadzenie Towarzystwa pedagogicznego zmieniło odpowiednio statut towarzystwa i przedstawiło go do zatwierdzenia władzom przełożonym. Tu jednak zaszła nieprzewidziana przeszkoda. Ministerstwo spraw wewnętrznych zabroniło reskryptem z 15 grudnia 1883 utworzenia osobnéj sekcyi, z następujących powodów: 1) dla tego, że podanie przez zarząd wniesione, nie zawierało bliższych szczegółów o wewnętrznym ustroju sekcyi; 2) że kółka (t. j. kółko lwowskie, tudzież te, któreby się w przyszłości utworzyć miały w innych miastach) nie mając prawa do samoistnego występowania na zewnątrz, według przepisów ustawy o stowarzyszeniach nie mogą tworzyć związku; 3) że utworzenie krajowéj sekcyi nauczycieli szkół wyższych mogłoby naruszyć powagę zwierzchności szkolnéj.

Była chwila, w któréj można się było obawiać, że myśl dobra, dla braku formalności, upadnie; a groziło przytém niebezpieczeństwo, że raz porzucona, znowu długiego będzie potrzebowała czasu, zanim ją kto na nowo podniesie i w czyn zamieni. Na szczęście inicyatorowie sprawy nie cofnęli się przed trudnościami. Ponieważ głównie chodziło tylko o formalności, przeto postanowiono je ominąć, i zamiast tworzyć odrębną sekcyą w łonie Towarzystwa pedagogicznego, powzięto myśl (na wniosek prof. uniw. lwow. dra Bronisława Radziszewskiego) utworzenia całkiém samoistnego T o w a r z y s t w a n a u c z y c i e l i s z k ó ł w y ż s z y c h, obejmującego kraj

cały i działającego zupełnie niezawiśle od Towarzystwa pedagogicznego. Tak więc odmowna odpowiedź ministerstwa, na pozór dla sprawy szkodliwa, sprowadziła w rezultacie najkorzystniejsze jéj rozwiązanie. Nie trudno bowiem dojrzéć, że pomysł utworzenia samoistnéj korporacyi, niezawisłéj od innych, był najszczęśliwszym ze wszystkich, jakie dotychczas powzięto. Gdyby nawet była przyszła do skutku owa projektowana sekcya nauczycieli szkół wyższych, jako osobny oddział Towarzystwa pedagogicznego, nie byłaby ona w stanie rozwinąć tak skutecznéj działalności, jak całkiém osobne Towarzystwo. Byli wprawdzie tacy, którzy się obawiali, że rozstrzelenie sił nauczycielskich na dwa stowarzyszenia osłabi tylko dawniejsze, a nowemu nie zapewni warunków żywotności; zapomnieli jednak, że nie chodzi tu o rozstrzelenie, ale właśnie o skupienie tych sił; to zaś, co oni nazywali rozstrzeleniem było tylko racyonalnym podziałem pracy, który tak tu, jak i wszędzie indziéj dodatnie tylko przynieść może skutki. Byli znowu inni, którzy opierając się na treści ostatniego motywu w reskrypcie ministeryalnym, obawiali się, iżby nowe Towarzystwo nie weszło w kolizyą z krajową radą szkolną. Atoli i te obawy były płonne, bo działalność jego zmierzała przecież tylko do poparcia jednego z celów, do których dąży rada szkolna: do reformy szkół średnich; nie było zatém obawy, iżby instytucya ta nieprzychylném miała patrzéć okiem na usiłowania w tak szlachetnéj podjęte myśli, a zmierzające tylko do ułatwienia jéj zadań. Najbliższa przyszłość wykazała też w zupełności bezzasadność tych obaw.

Po załatwieniu czynności przedwstępnych, mianowicie zaś ułożeniu statutu i zatwierdzeniu go przez namiestnictwo, zwołanym został do Lwowa na dzień 9 kwietnia 1884 r. pierwszy walny zjazd, którego zadaniem było ukonstytuować się przedewszystkiém w Towarzystwo, następnie zaś porozumiéć się bliżéj co do kierunku działania, jakiby mu na przyszłość wytknąć należało. Na czele wydziału towarzystwa, z dwunastu członków złożonego, stanęli profesor uniw. Radziszewski, jako przewodniczący i dyrektor gimnazyum III-go we Lwowie, dr. Zygmunt Samolewicz, jako jego zastępca.

Statut przez walne zgromadzenie przyjęty wskazuje jako cel towarzystwa: popieranie wszelkich spraw, mających na względzie rozwój szkół wyższych lub dobro ich nauczycieli; wzajemne udzielanie sobie najnowszych zdobyczy naukowych tudzież spostrzeżeń i doświadczeń w praktyce nauczycielskiéj; zaznajamianie szerszéj publiczności z ustrojem szkół wyższych; pokrzepianie ducha koleżeństwa wśród stanu nauczycieli przez wzajemne zbliżanie się i wymianę myśli. Do urzeczywistnienia powyższych celów służą nastę-

pujące środki: posiedzenia zwyczajne, odbywane przez każde koło przynajmniéj raz na miesiąc, z porządkiem dziennym, obejmującym wykłady lub odczyty połączone z dyskusyami, roztrząsanie spraw pedagogiczno-dydaktycznych i organizacyjnych w zakresie szkół wyższych, oraz załatwianie innych spraw bieżących; daléj zgromadzenia walne, odbywające się raz na rok w miejscu przez wydział oznaczoném, powołane do omawiania tych samych spraw, jakie wchodzą w zakres czynności przedsiębranych na posiedzeniach; wnoszenie memoryałów i petycyj do władz, w sprawach dotyczących szkół wyższych i ich nauczycieli; wydawanie pism treści naukowéj, a przedewszystkiém czasopisma poświęconego sprawom szkół wyższych, jeżeli na to fundusze pozwolą; urządzanie odczytów publicznych, wreszcie znoszenie się z podobnemi towarzystwami w państwie austryackiém. Członkowie Towarzystwa dzielą się na honorowych i zwyczajnych. Członkiem honorowym może być każdy, który na polu oświaty lub około rozwoju Towarzystwa znakomite położył zasługi; członkami zwyczajnymi (czynnymi) mogą być: nauczyciele szkół wyższych tj. uniwersytetów, szkół politechnicznych, szkół specyalnych. seminaryów nauczycielskich, gimnazyów i szkół realnych, jak nie mniéj osoby zajmujące się sprawami szkół wyższych.

Nowo wybrany zarząd przystąpił bezzwłocznie z energią do organizowania filii czyli kół Towarzystwa w poszczególnych miastach, a poparty wszędzie dobrą wolą stanu nauczycielskiego, doprowadził w krótkim czasie do znacznych w tym kierunku rezultatów. Prócz koła lwowskiego zawiązało się w ciągu roku jeszcze pięć innych kół: w Krakowie, Przemyślu, Drohobyczu, Tarnowie i Stanisławowie. Nauczyciele innych miast nie połączyli się wprawdzie dotąd w osobne koła, ale należą prawie bez wyjątku do towarzystwa jako członkowie kół istniejących w sąsiednich miejscowościach. Dowodem prawdziwego zainteresowania się nową instytucyą, jak nie mniéj jéj żywotności i rozwoju jest znaczny wzrost liczby członków w ciągu ostatniego roku. W chwili zawiązania się przystąpiło do niego zaledwie 200 członków; do końca kwietnia 1885 r. liczba ich doszła do pokaźnéj sumy 482. Korzystnie téż przedstawia się rozkład téj cyfry na poszczególne kategorye szkół, świadcząc, że idea przewodnia Towarzystwa znalazła wszędzie prawdziwe uznanie. I tak mianowicie przypada stąd: na uniwersytety 44, na szkołę politechniczną 3, na akademią przemysłowo-techniczną 4, na szkołę sztuk pięknych 1, na gimnazya 305 (dyrektorów 12, profesorów 169, zastępców nauczycieli 124); na szkoły realne 63 (dyrektorów 4, profesorów 45, zastępców nauczycieli 14); na seminarya nauczycielskie 9 (dyrektor 1, profesorów 8). Oprócz tego należy do grona członków Towarzystwa: 1 in-

spektor szkolny krajowy, 1 radca szkolny, 5 inspektorów okręgowych, 12 nauczycieli innych kategoryi; 34 osób nie należących do stanu nauczycielskiego.

Poparcie to i uznanie, jakiego Towarzystwo zewsząd doznało, usprawiedliwiło ono działalnością swoją w zupełności. Z dwóch zaś stron wychodziła ta działalność: naprzód od zarządu lwowskiego, jako organu centralnego, powtóre zaś od poszczególnych kół.

Zarząd położył prawdziwą zasługę, wykonywując uchwałę walnego zgromadzenia w sprawie wydawnictwa czasopisma poświęconego sprawom szkół wyższych. Czasopismo to, pod tytułem: „Muzeum“, wydawane w zeszytach miesięcznych od początku r. 1885 przez komitet redakcyjny, w którym przedwodnictwo objął prof. Palmstein, stanęło od razu na wysokości swojego zadania. Jestto, o ile nam wiadomo, pierwsze u nas pismo poświęcone wyłącznie sprawom szkolnictwa wyższego, redagowane w sposób umiejętny i ze zrozumieniem rzeczy. Za wzór obrało sobie wprawdzie wychodzącą w Wiedniu: *Zeitschrift für österreichische Gymnasien* tudzież inne podobne niemieckie czasopisma, ale trzeba mu przyznać, że nie popadło w ślepe naśladownictwo, lecz umiało wszędzie zastosować się do potrzeb i warunków miejscowych. Prócz części, niejako urzędowéj, zawierającéj sprawozdania z działalności zarządu i kół, podaje każdy zeszyt artykuły w sprawach bieżących, o ile zostają w związku z kwestyą szkolnictwa wyższego, czasami także specyalne rozprawy naukowe, wreszcie zaś zawiera bogaty dział recenzyi książek szkolnych i naukowych tudzież wiadomości z zakresu szkoły i nauki. Kto się bliżéj przypatrzył trudnym warunkom, z jakiemi nauczyciele w pomniejszych miastach Galicyi walczyć muszą, ażeby iść razem z ciągłym rozwojem nauki i przyswajać sobie najnowsze jéj zdobycze, ten zrozumie, jakie usługi oddaje im „Muzeum,“ utrzymując ich w ustawicznèm zetknięciu z postępem umiejętności. Nadto zaś, częste poruszanie spraw bieżących i gruntowne ich wyświecanie podaje im cenne wskazówki do zoryentowania się w swém położeniu, obowiązkach, a zarazem zaostrza ich pogląd na sprawy zawodu i stosunki szkolne.

Nie mniéj energiczną działalność rozwinęły także sekcye Towarzystwa. W odczytach i wykładach poruszano najżywotniejsze kwestye pedagogiczno-dydaktyczne, wyjaśniane wszechstronnie w wyczerpujących dyskusyach, które po nich następowały. Najbogatszą w rezultaty była działalność dwóch kół: lwowskiego i krakowskiego, z których ostatnie, wyposażone w większą od innych autonomią, cieszy się pod umiejętném kierownictwem prof. Bobrzyńskiego, najpomyślniejszym rozwojem. Jednym z najciekawszych tematów, na po-

siedzeniach tego koła poruszonych, było wyjaśnienie wzajemnego stosunku między wychowaniem domowém a szkolném. Gruntowny referat dra Germana o téj sprawie wywołał dyskusyą, która się ciągnęła przez kilka posiedzeń. Lwowskie zaś koło, podejmując dalszą pracę nad rzeczą, poruszoną jeszcze przez dawniejsze, przed zawiązaniem Towarzystwa istniejące Kółko, ogłosiło drukiem elaborat komisyi, wybranéj w celu ułożenia instrukcyi do nauki języka polskiego, w opracowaniu prof. Franciszka Próchnickiego.

Wśród téj cichéj, powiedzielibyśmy, więcéj wewnętrznéj pracy, zbliżał się czas, kiedy w myśl statutu należało zwołać walne zgromadzenie. Była to chwila, w któréj nauczyciele szkół wyższych stanąć mieli po raz pierwszy wobec społeczeństwa i kraju jako jedna, w ścisły związek zorganizowana całość, w któréj złożyć mieli dowody, czy i o ile rozumieją swe powołanie i obowiązki, jak się zapatrują na potrzeby szkolnictwa, jakie na podstawie długoletniéj praktyki obmyślili środki, celem usunięcia jego wad i uzupełnienia braków. Była to chwila, w któréj najsnadniéj było wystąpić z inicyatywą reformy, o ile zachodziła jéj potrzeba; jasną bowiem było rzeczą, że lubo Towarzystwo reformy téj samo przeprowadzić nie może, to jednak zdanie, które wypowie tak kompetentne zgromadzenie, zaważy nie mało na szali u władz decydujących. Była to wreszcie chwila, w któréj rozrzuceni po rozmaitych stronach kierownicy oświaty mieli się zbliżyć do siebie, porozumiéć co do ducha, w jakim działać mają na przyszłość, wyrównać różnice, jakie między nimi zachodzą, pouczyć się wreszcie nawzajem, ażeby wychowaniu młodzieży nadać jednolity, na racyonalnych podstawach oparty kierunek. Zrozumiałą była każdemu ważność zbliżającego się (na Zielone Święta b. r. zwołanego) zjazdu; zrozumiał ją przedewszystkiém zarząd Towarzystwa. Za jego inicyatywą opracowano cały szereg ważniejszych kwestyi, w osobnych referatach, które następnie poddano pod dyskusyą i uchwały zgromadzenia. Rozpatrzmyż się bliżéj w tym ciekawym a obszernym, roztrząśniętym na zjeździe materyale, który z dwojakiego względu zasługuje na uwagę: raz dla tego, że pozwala ocenić całą dodatnią stronę działalności Towarzystwa, powtóre dla tego, że rzuca wiele żywego światła na stosunki szkolnictwa galicyjskiego.

Pierwszą z porządku dziennego, a zarazem najdokładniéj na zjeździe omówioną kwestyą była sprawa nauczania języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych. Dwaj referenci, prof. Próchnicki i Sędzimir, pierwszy w imieniu wydziału, drugi w imieniu koła krakowskiego, przedstawili braki, jakie pod tym względem odczuwać się dają, a zarazem środki, któreby im zapo-

biec mogły. Od czasu, kiedy w szkołach galicyjskich zaprowadzono język polski jako wykładowy, zrobiono wprawdzie bardzo wiele dla zapoznania młodzieży z naukowemi jego zasadami i prawidłami, i przyznać trzeba, że polszczyzna, jakiéj dzisiaj używają w Galicyi, jest znacznie lepszą od téj, jaka panowała tamże przed laty kilkudziesięciu, kiedy uczono wyłącznie w języku niemieckim. Z tém wszystkiém jednak, rezultat nauki języka polskiego nie jest jeszcze zadowalniającym, a to z następujących powodów.

Przedewszystkiém brak jest szczegółowéj instrukcyi dla nauki tego języka. Skutkiem tego nie ma w całym kraju dwóch zakładów naukowych, w którychby plan nauki tego przedmiotu zupełnie jednostajnie był przeprowadzony. W jednéj i téj saméj klasie uczą np. z gramatyki: tu fleksyi, tam składni, gdzieindziéj znowu etymologii; są zakłady, gdzie niektórych części gramatyki (np. etymologii) w zupełności się nie uwzględnia. Podobnaż niejednostajność okazuje się w innych częściach nauki języka polskiego, a szczególniéj co do lektury w klasach wyższych, któréj zadaniem jest zapoznać uczniów z najwybitniejszemi utworami literatury polskiéj, bądźto w wyjątkach, bądź téż w całości. Gdzieniegdzie rozkładają to odczytywanie według porządku historycznego, indziéj znowu według rodzajów poezyi i prozy, bez względu na chronologiczne następstwo; są zakłady, gdzie czytają wyjątki z autorów wieku złotego przez dwa lata, w innych tylko przez rok; w jednych poświęcają piśmiennictwu wieku XIX dwie klasy, w innych tylko jednę; w jednych czytają utwory literackie tylko w wyjątkach, w innych niektóre także i w całości; co do tych ostatnich zaś, wybór bywa rozmaity; i tak np. są zakłady, w których czytano Irydyona. Nieboską komedyą itp. rzeczy, trudne do zrozumienia dla ogółu uczniów, przystępne co najwięcéj dla najzdolniejszych z nich. Że taka niejednostajność w traktowaniu przedmiotu nie może wpłynąć na pomyślny rozwój nauki, to oczywista, a potrzeba uregulowania jéj okazuje się konieczną. Również pożądanemi byłyby wskazówki pod względem metodycznego obrabiania przedmiotu z uczniami, z którychby korzystać mogli nauczyciele, a których dotychczas nie ma. Wobec takiego stanu, potrzeba wydania szczegółowéj instrukcyi do nauki języka polskiego stała się od dawna żywotną, co więcéj, stała się konieczną. Od samego zawiązania Towarzystwa zajęło się téż ono bardzo gorliwie tą sprawą. Złożona przezeń komisya, o któréj już wspomnieliśmy rozebrała dokładnie zasady, na których instrukcya taka miałaby się oprzéć; owocem zaś narad w tym względzie przedsięwziętych były znane nam wskazówki do nauki języka polskiego, opracowane przez prof. Próchnickiego. Dziełko to

przesłane poszczególnym kołom do oceny, wywołało żywą dyskusyą naukową, któréj rezultatem był szereg opinii przez koła te nadesłanych, zwłaszcza zaś bardzo gruntowna opinia, opracowana przez koło krakowskie. Walne zgromadzenie rozporządzając tak bogatym materyałem, opartym na teoryi i praktyce, uchwaliło tedy, na wniosek wydziału, polecić raz jeszcze téj saméj komisyi, która obradowała nad „Wskazówkami," ponowne opracowanie instrukcyi; instrukcya ta przesłaną zostanie radzie szkolnéj krajowéj z prośbą, ażeby ją bądź to w brzmieniu projektu, bądź téż w formie zmienionéj, jaką uzna za stosowną, wprowadziła jako przepis obowiązujący w nauce języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych.

Dalszą okolicznością tamującą pomyślny rozwój téj nauki jest brak odpowiednich wypisów i to zarówno dla klas niższych (I—IV) jak i wyższych (V—VIII). Wypisy dla klas niższych, jakich w Galicyi używają, mają wprawdzie pewne zalety, wszakże brakuje im jeszcze wiele do prawdziwéj doskonałości. Ustępy w nich pomieszczone, nie zawsze są szczęśliwie wybrane, brak im niejednokrotnie zaokrąglenia, jakie tutaj okazuje się koniecznéin, brak téż odpowiednich wyjątków z poezyi, wreszcie w całym ich układzie, niekiedy nawet w pisowni nie widać jednolitego kierownictwa. Znacznie gorzéj jeszcze ma się rzecz z wypisami dla klas wyższych. W dwu rozmaitych wydaniach używane są one dotychczas w szkołach galicyjskich. Jedno, składające się z dwu tomów a czterech części, ułożone zostało jeszcze przed rokiem 1860, w czasach kiedy o racyonalnéj nauce jezyka polskiego nie miano w Galicyi dokładnego pojęcia. Widać téż w nich na każdym kroku zupełny brak planu, rażące błędy rzeczowe, wiele niedostatków i luk i więcéj jeszcze niewłaściwości. Używanie takich wypisów jest już dzisiaj anachronizmem, a zarazem rzeczą niebezpieczną, ponieważ skierować może naukę na niewłaściwe tory. A jednak, rzecz dziwna, w ostatnich czasach czytano je jeszcze w ośmiu zakładach naukowych! Daleko korzystniéj przedstawiają się już wypisy Mecherzyńskiego, w dwu tomach, używane we wszystkich innych gimnazyach i szkołach realnych. Widać w nich pewien plan naukowy, zawierają one ustępy niekiedy bardzo trafnie dobrane, ale mimo to nie brak im także wad zasadniczych. Uwzględniają one wprawdzie wielu pisarzy, ale nie dają poznać żadnego z nich dokładnie, przytaczają ustępy z ich dzieł tylko w krótkich wyjątkach. Zresztą znaczna część pomieszczonych tam ustępów jest z treści swojéj nieprzydatna dla szkoły. W końcu nie uwzględniają one niektórych rodzajów poezyi lub prozy, a nadto i wielu pisarzy nowszych, których ze względu na treść ich dzieł, jako téż i świetny język koniecznie uwzględnić należało. Wszystkie

te braki wymagają koniecznie naprawy, i to tém śpieszniejszéj, ile że odpowiednie ułożenie wypisów może dać jedyną podstawę do racyonalnéj lektüry, z któréj uczeń poznać może bogactwo języka i nauczyć się strzedz jego czystości. Licząc się z tą potrzebą, przedstawił wydział zebranym członkom do uchwalenia rezolucyą téj treści, iż zgromadzenie uważa wydanie odpowiednich wypisów dla niższych i wyższych klas gimnazyalnych i realnych za rzecz konieczną, jako podstawę metodycznego traktowania nauki języka polskiego. W dyskusyi, jaką wniosek ten wywołał, nie odezwał się nikt z obroną wypisów używanych w klasach wyższych; natomiast padło kilka głosów za zatrzymaniem wypisów wydanych dla klas niższych. Była to jednak niewdzięczna obrona; ci, którzy się jéj podjęli, przyznać musieli sami liczne niedostatki i błędy, wobec czego wydziałowi przyszło z łatwością przeprowadzić swe wnioski w całości. Dodatkowo poruszono jeszcze inną kwestyą, zostającą w związku z omawianym tematem. Ponieważ w wypisach nie dałoby się pomieścić wiele całkowitych, a dłuższych utworów, które w klasach najwyższych bywają czytane, przeto na wniosek prof. Wójcika uchwalono potrzebę wydania utworów tak prozaicznych jak i poetyckich, w całości lub stosownie skróconych, a przeznaczonych do czytania szkolnego lub domowego. Myśl tę, wydawnictwa utworów klasycznych do użytku szkolnego, praktykowaną już od dawna z powodzeniem za granicą, witamy jako bardzo szczęśliwą; należałoby tylko życzyć, aby do zadania tego przystąpiono z należytém przygotowaniem i ażeby je prowadzono według pewnego jednolicie i systematycznie obmyślanego planu.

Nie małą wagę dla pomyślnego rozwoju nauki języka polskiego przedstawia daléj powiększenie liczby godzin wykładowych tego przedmiotu. Według dotychczasowego stanu, przypadają dlań tygodniowo trzy godziny, w klasach najwyższych zwykle dwie. Jestto oczywiście zbyt mało czasu, ażeby przejść gruntownie gramatykę, objąć lekturą większą ilość utworów, a wreszcie znaleść jeszcze sposobność do częstszych wypracowań piśmiennych. Wobec niedostatecznéj ilości godzin wykładowych, nauka języka polskiego nie może stanąć na wysokości swego zadania, musi się z konieczności ścieśnić i ograniczyć. Istnieje wprawdzie okoliczność, która ten niekorzystny stan rzeczy tłómaczy. W szkołach galicyjskich młodzież uczyć się musi obok języka polskiego także i niemieckiego, który nie mało pochłania czasu; stosunek jest tu więc mniéj korzystny, aniżeli w innych prowincyach państwa, zaludnionych przez Niemców, gdzie z języków żyjących obowiązkowym jest tylko niemiecki. Tam poświęcić można nauce języka wykładowe-

go (niemieckiego) znacznie więcéj czasu; w Galicyi konieczność równoczesnego uczenia się dwu języków żyjących spowodowała ograniczenie liczby godzin przeznaczonych dla polszczyzny. Wyjście z tego przykrego położenia przedstawia dylemat trudny do rozwiązania; powiększenie godzin dla języka polskiego wymagałoby bowiem albo zmniejszenia godzin innych wykładów, co jest rzeczą trudną, albo też zwiększenia ogólnéj ilości godzin wykładowych, co jest już prawie niemożebném, wobec faktu, że młodzież gimnazyalna w Galicyi, jest daleko więcéj przeciążona nauką, niż w innych prowincyach państwa. Nie łudząc się co do trudności, jakich pomyślne rozwiązanie sprawy nastręcza, podniósł jednak wydział, a raczéj koło krakowskie przez usta swego referenta, myśl rozszerzenia czasu dla nauki języka polskiego, a walne zgromadzenie, mimo podnoszonych, nawet z najkompetentniejszéj strony wątpliwości, przyjęło odnośny wniosek. Zapewne, że jest to na razie uchwała tylko teoretycznéj wartości, nie wskazano bowiem środków, jak myśl tę urzeczywistnić w praktyce; prawdziwą zasługą Towarzystwa będzie, jeżeli w dalszéj swéj pracy wynajdzie sposób pomyślnego załatwienia rzeczy; niech nam jednak będzie wolno już teraz zaznaczyć, że nie powinnoby się to stać nigdy kosztem przeciążenia młodzieży, lecz co najwięcéj kosztem uszczuplenia godzin wykładowych dla innych przedmiotów. Ale czy będzie to rzeczą możliwą, i czy władze decydujące zgodzą się na to?

Na podobne trudności ze strony tych władz, choć już nie ze względów zasadniczych, ale fiskalnych, natrafićby musiał czwarty punkt, dotyczący reformy w nauce języka ojczystego: sprawa powiększenia liczby kwalifikowanych nauczycieli tego przedmiotu. Obecnie jest przy każdym zakładzie jeden tylko profesor, mający specyalną kwalifikacyą do nauki języka polskiego. Nawet w stosunkach dzisiejszych, gdzie na każdą klasę tak mało przypada godzin tego przedmiotu, nie podobna mu poruczać obowiązków uczenia go we wszystkich bez wyjątku klasach: zdarza się tedy zwykle, że nauczyciel kwalifikowany uczy polszczyzny tylko w klasach wyższych, kiedy tymczasem w niższych udzielają tego przedmiotu inni nauczyciele. Rola ta dostaje się zwłaszcza nauczycielom młodszym. Oczywiście znajdą się między niemi tacy, którzy nie mając specyalnéj kwalifikacyi, znają jednak przedmiot doskonale i uczą go z najlepszém powodzeniem; ale są i tacy, którzy nie są do tego odpowiednio uzdolnieni, którzy czasami nawet nie mają należytego w téj mierze naukowego przygotowania. Dyrektorowie, rozkładając naukę, nie zawsze zważają na te okoliczności; z reguły rozstrzyga tutaj wzgląd na ogólną liczbę godzin naukowych,

jaka jest przepisana dla każdego nauczyciela. Jeżeli tedy np. matematykowi, naturaliście, historykowi, brakuje jeszcze kilka godzin do przepisanéj dlań tygodniowo ilości, poruczaną mu bywa nauka języka polskiego w jednéj lub dwu klasach. Wynikają stąd czasem bardzo smutne następstwa: nauczyciel, nie mający warunków a czasem nawet chęci i zamiłowania do nauki tego przedmiotu, zmuszony jest zajmować się nim wbrew swojéj woli. Że na tém cierpi zarówno powaga zakładu jak i postęp naukowy młodzieży, zbyteczném byłoby dowodzić. Najlepszy środek przeciw téj niedogodności leżałby oczywiście w utworzeniu tylu stałych posad nauczycieli, specyalnie kwalifikowanych do udzielania tego przedmiotu, ilu ich w każdym zakładzie okaże się potrzeba; ale zgromadzenie rozumiało dobrze, że postawienie takiego żądania byłoby tylko pobożném życzeniem, które wobec trudności finansowych, musiałoby pozostać na papierze, bez uwzględnienia ze strony władz. Nie pozostawało tedy nic innego, jak tylko załatwić sprawę w sposób mniéj wprawdzie stanowczy, ale za to mający więcéj widoków praktycznego urzeczywistnienia. Uchwalono mianowicie rezolucyą następującą: Walne zgromadzenie wyraża przekonanie, że nauki języka polskiego powinni udzielać tylko nauczyciele do tego przedmiotu uzdolnieni. To znaczy: rezolucya nie żąda wprawdzie, ażeby nauka polszczyzny spoczywała tylko w ręku specyalnie do tego kwalifikowanych nauczycieli, ale licząc się z istniejącym stanem rzeczy, domaga się, ażeby dyrektorowie przy rozkładzie nauki powoływali do udzielenia tego przedmiotu tylko takie siły (mające specyalną kwalifikacyą do innych przedmiotów), które mają przynajmniéj pewne uzdolnienie do tego. W myśl więc téj rezolucyi, już nie wzgląd na uzupełnienie przepisanéj ilości godzin, ale na zdolność uczącego będzie czynnikiem decydującym przy wyborze nauczycieli do języka polskiego.

Z tą ostatnią sprawą, która zamknęła szereg wniosków w kwestyi reformy nauki języka polskiego, zostaje w pokrewieństwie wniosek przedstawiony przez prof. Salę, co do ustanowienia drugiéj stałéj posady nauczycielskiéj dla języka niemieckiego w każdém gimnazyum i w każdéj szkole realnéj. Podobnie jak dla języka polskiego, tak też i dla niemieckiego istnieje przy każdym zakładzie jedna tylko posada specyalnie kwalifikowanego nauczyciela. Ponieważ ilość godzin wykładowych dla języka niemieckiego jest znacznie większą niż dla polskiego, przeto stosunek między siłami nauczycielskiemi, powołanemi do udzielania tego przedmiotu, a czasem, jaki nauce jego poświęcić należy, jest tu daleko jeszcze niekorzystniejszy. Gdybyśmy przyjęli gimnazyum ośmioklasowe bez żadnych klas równoległych, czyli t. z. „paralel-

nych“, okaże się, że dla języka niemieckiego potrzeba tygodniowo poświęcić 36 godzin we wszystkich klasach; ale w Galicyi każde niemal gimnazyum ma jeszcze i klasy równoległe, tak, że ta ilość w rzeczywistości jest o wiele jeszcze znaczniejszą. Tymczasem nauczyciel nie jest obowiązany uczyć tygodniowo więcéj nad 16 godzin; pozostaje tedy, nawet w najprostszéj formie, 20 godzin niezapełnionych; ilość, która w rzeczywistości, wobec istnienia klas równoległych zwiększa się jeszcze czasem w dwójnasób. Wobec tego, koniecznością jest znowu poruczać częściowo naukę języka niemieckiego, zwłaszcza w klasach niższych, siłom niefachowym, kwalifikowanym do innych przedmiotów. Stąd płyną rozmaite niedogodności, przedewszystkiém zaś ta, że nauka języka tego dostaje się niekiedy w ręce ludzi, którzy sami dobrze go nie znają, albo znając go wprawdzie, nie są jednak dostatecznie przygotowani, aby go umiejętnie i zpożytkiem uczyli. Młodzież nie może tedy korzystać w odpowiedni sposób z nauki tego przedmiotu, tyle dla niéj ważnego w stosunkach, wśród których żyje i na przyszłość ma działać. Wogóle téż zaznaczyć należy, że znajomość niemczyzny nie stoi obecnie u młodzieży galicyjskiéj na poziomie pożądanym, a jakkolwiek składają się na to rozmaite inne okoliczności, to wszakże niewątpliwie i brak odpowiednich sił nauczycielskich odgrywa tu nie małą rolę. Pomysł stworzenia drugiéj stałéj posady nauczycielskiéj dla tego języka, przy każdym zakładzie, zasługuje tedy sam w sobie na poparcie, jako rzecz, która częściowo przynajmniéj mogłaby usunąć zachodzące niedogodności, atoli urzeczywistnienie jego przedstawia znowu, ze względów finansowych i przewidywanego oporu władz, nie małe trudności. Walne zgromadzenie, zapatrując się na tę sprawę z tego samego stanowiska, jakie zajęło poprzednio co do wniosku utworzenia drugiéj stałéj posady dla języka polskiego, nie mogło, ze względów praktycznych przyjąć wniosku prof. Sali bez żadnych zastrzeżeń; uznając jednak ważność sprawy, przekazało ją, na wniosek prof. Ćwiklińskiego, wydziałowi do bliższego zbadania i do przedstawienia swojéj opinii na najbliższym zjeździe.

Drugą kwestyą, bez porównania ważniejszą, co do języka niemieckiego, poruszył referat dra Samolewicza, przedstawiający konieczność wydania osobnéj a szczegółowéj instrukcyi do nauki tego przedmiotu w szkołach galicyjskich, w których język niemiecki nie jest wykładowym. Wprawdzie w maju r. 1884 wydało ministerstwo oświaty bardzo dokładną instrukcyą, dotyczącą nauki poszczególnych przedmiotów w szkołach średnich, a więc także i nauki języka niemieckiego, atoli w instrukcyi téj miano na uwadze przedewszystkiém te szkoły, w których język niemiecki jest wykładowy, a więc

szkoły w prowincyach austryackich, zamieszkałych przez ludność niemiecką. W Galicyi, gdzie językiem wykładowym jest polski, instrukcyi téj we wszystkich szczegółach stosować nie podobna; trzeba uwzględnić odmienne stosunki, wśród których szkolnictwo tamże się rozwija. Jakichże tedy zasad trzymać się mają profesorowie w nauczaniu tego przedmiotu? Istnieje wprawdzie obszerny elaborat, wypracowany jeszcze w r. 1881 przez dra E. Czerkawskiego p. t. „Uwagi o nauce języka niemieckiego w gimnazyach i szkołach realnych z językiem wykładowym polskim i ruskim“, obfitujący w nader trafne wskazówki dydaktyczne, mogący posłużyć za szczegółową instrukcyą. Atoli rada szkolna krajowa nie uznała tego elaboratu jako instrukcyi obowiązkowéj, według któréj należałoby ściśle unormować całą naukę; poleciła ona tylko gronom nauczycielskim zaznajomić się z tém dziełem, a zarazem postępować w myśl zawartych tamże wskazówek, o ile to uznają za odpowiednie. Wobec takiéj bezwzględnéj swobody w korzystaniu z tych uwag, dzieło Czerkawskiego nie może oczywiście uchodzić za instrukcyą. Rzecz przedstawia się więc obecnie w ten sposób, że instrukcyi ministeryalnéj z r. 1884 w Galicyi stosować nie można w całéj rozciągłości; prócz tego zaś nie ma żadnych innych dokładnych wskazówek, któreby mogły dostarczyć wytycznéj do metodycznego traktowania nauki języka niemieckiego w szkołach galicyjskich. Brak ten odczuwać się daje, oczywiście, bardzo dotkliwie; co mając na uwadze, walne zgromadzenie uchwaliło, bez dyskusyi, rezolucyą następującéj treści: Walne zgromadzenie uznaje za rzecz konieczną uzupełnienie instrukcyi ministeryalnéj z r. 1884 dokładną instrukcyą dla nauki języka niemieckiego w tych szkołach, w których język ten nie jest wykładowym. W jakim duchu i na jakich zasadach instrukcya ta miałaby być zredagowaną, nie wypowiedziało zgromadzenie wyraźnie, o ile jednak ze słów referenta wnosić można, wyrażono pośrednio życzenie, aby praca Czerkawskiego, ze wszech miar zresztą poważna i gruntowna służyła za podstawę w jéj ułożeniu.

Wspomniana instrukcya ministeryalna z roku 1884 zawiera zresztą i co do nauki innych jeszcze przedmiotów niektóre postanowienia, nie dające się z całą ścisłością zastosować w szkołach galicyjskich. W dalszym ciągu referatu swego przedstawił tedy dr. Samolewicz dezyderaty, jakie w tym kierunku ze względu na stosunki tutejsze postawićby należało, celem odpowiedniéj zmiany instrukcyi. Wogóle zaznaczyć należy, iż odrębność warunków, wśród których rozwija się szkolnictwo galicyjskie, stawia je w mniéj korzystném położeniu od szkół istniejących w innych prowincyach z wykładowym językiem niemieckim. Ujemne strony tego stanu rzeczy są następu-

jące: 1) większa niż gdzieindziéj liczba uczniów poszczególnych zakładów, i co ważniejsza, poszczególnych klas; 2) większa liczba przedmiotów nauki, gdyż oprócz języka wykładowego trzeba uczyć jeszcze języka niemieckiego, a we wschodniéj Galicyi młodzież ruska uczy się nadto obok polskiego także języka ruskiego, i to, nad czém ubolewać wypada, w godzinach poza-szkolnych; 3) większa liczba godzin tygodniowéj nauki, bo kiedy w gimnazyach niemieckich liczba godzin wynosi:

	w klasie	I.	II.	III.	IV.	V.	VI.	VII.	VII.	Razem
		22	23	24	25	25	25	25	25	194
to w Galicyi zwiększa się ona do		27	27	28	29	29	29	29	29	227,

czyli razem o 33 godzin w całém gimnazyum więcéj. Ta liczba godzin wzrasta jeszcze bardziéj dla uczniów narodowości ruskiéj, a w t. z. gimnazyach realnych sięga daleko po nad praktykowane gdzieindziéj maksymum. Wobec tego byłoby rzeczą wielce pożądaną, już chociażby ze względu na stan zdrowia młodzieży, zmodyfikować instrukcyą w ten sposób, iżby wymagania, stawiane uczniom, nie były w Galicyi większe aniżeli w prowincyach niemieckich. Takie modyfikacye w instrukcyi dałyby się niewątpliwie przeprowadzić i to bez uszkodzenia całego jéj organizmu, bez uszczuplenia wewnętrznéj spójni i bez nadwérężenia ostatecznego celu, wytkniętego w nauce poszczególnych przedmiotów. I tak np. względem języków klasycznych dałyby się przeprowadzić pewne uproszczenia co do przepisanych przez instrukcyą wokabularzów, kollektaneów, które mają spisywać uczniowie, a które im za wiele zabierać muszą czasu, głównie zaś i przedewszystkiém należałoby cokolwiek ograniczyć zakres lektury z autorów klasycznych, który w instrukcyi zanadto został rozszerzony. W nauce geografii zwraca znowu instrukcya zanadto wielką uwagę na niemieckie prowincye monarchii austryackiéj a następnie na Niemcy wogóle, podczas gdy w Galicyi należałoby mniéj specyalnie traktować Niemcy, natomiast zaś zwrócić większą baczność na geografią dawnych krajów Rzeczypospolitéj. W historyi powszechnéj pożądaném byłoby na koszt pewnych części dziejów, dla nas całkiem obcych lub zanadto odległych, uwzględnić więcéj dzieje Polski i Słowiańszczyzny wogóle. Co do matematyki, to materyał przepisany przez instrukcyą jest stanowczo za obszerny, i należałoby go nieco skrócić i uprościć; naukę fizyki zaś zastosować więcéj do warunków miejscowych. I tak np. przypuszcza instrukcya, że każdy zakład ma osobną salę wykładową do fizyki i że rozporządza wszelkiemi środkami, niezbędnemi dla doświadczeń. Tymczasem w rzeczywistości nie wszędzie rzeczy tak stoją; t. z. gabinety fizykalne mają w niektórych zakładach bardzo niedo-

stateczne przyrządy, wobec czego niemożliwą jest rzeczą w stosunkowo krótkim czasie wykonać ogromną ilość wymaganych doświadczeń. Tak więc pozostaje tylko dwojaka alternatywa: albo niech rząd uposaży szkoły hojniejszą dotacyą, któraby umożliwiła odpowiednie urządzenie gabinetów i sal wykładowych, albo téż trzeba cokolwiek zniżyć zakres wymagań, jakie co do téj nauki postawiła instrukcya. Co do nauki historyi naturalnéj, przedstawiają przepisy instrukcyi najsłabszą stronę; niekiedy są one wręcz niewykonalne. I tak np. żąda ona, ażeby nauczyciel w przeciągu 5 — 6 tygodni (w klasie VI) rozporządzając tylko dwiema godzinami na tydzień, przerobił z uczniami anatomią i fizyologią ciała ludzkiego! Te i tym podobne wady, przedstawione przez referenta, który zresztą zastrzegł się wyraźnie, że omawia przedmiot tylko przykładowo, bez pretensyi wyczerpania go, usprawiedliwiają w zupełności uchwałę, która na podstawie powyższego referatu zapadła: Walne zgromadzenie uważa za potrzebne w instrukcyach do nauki poszczególnych przedmiotów, zwłaszcza do nauki języków klasycznych, wprowadzenie pewnych modyfikacyi, które bez uszczuplenia ostatecznego celu nauki tych przedmiotów, pod względem środków dydaktycznych i objętości lektury, uwzględnić mają właściwości szkół galicyjskich, jako to: większą liczbę uczniów, przedmiotów i godzin tygodniowéj nauki.

(*Dok. nast.*) *R.*

TANTYEMA.

(OBRAZEK WSPÓŁCZESNY).

Bryczka, przy niéj jeden koń w hołoblach, drugi—na orczyku. Na jednym łęk, kółkiem pobrzękujący, na drugim—tylko chomąto. Od lewéj łopatki pierwszego i prawéj drugiego—wodze konopne, gruba i pełna odcisków dłoń woźnicy je trzyma. W tyle, na siedzeniu słomianém, tułów burką okryty, wyżéj—sterczy głowa w czapce czarno-barankowéj. Z pod czapki i kołnierza nastawionego widać twarz, z niéj para oczu czarnych i posępnych patrzy, wąsy zwieszają się nad wargami, niby strzecha, i zgryzota drga w każdym mięśniu.

Dokoła pole, z tyłu kępa lasu, z przodu kupa szarawa czegoś— to miasteczko, po za niem zatoczyło się półkole czarne i tajemnicze—to bór. Nad głową czarne, nudne, przygniatające tęsknotą— chmury. W powietrzu wiatr, mięszający z sobą nieokreślone wonie ziemi zoranéj z zapachem potu końskiego i smoły, ciekącéj z kół.

Podróżnym trzeba przejechać miasteczko, potém się w bór zagłębić, i jechać jeszcze czas jakiś drogą wyboistą.

Konie ospale zaczynały biec, z truchta w stępa przechodząc. „Wio, wio! bodaj was wilki...“ Bat świsnął, na boku orczykowego pręga brudna się zjawiła, ogon się poruszył... Od szybszego ruchu bryczki podróżnym rzeźwiéj się zrobiło. „Ej, ej, małe!.. Cm, cm!“

Woźnica odchrząknął, spojrzał na młodzieńca zadumanego.

— Wygryźli was, paniczu-sokole, psubraty te!.. Psiarnia dworska! Bodajby szczęścia nie doznali nigdy!..

— Tak, tak, Karnieju... Prawda, że ciężko na świecie?..

— Oj tak, paniczu, tak, sokole!.. Złote słowa!.. Biedne moje dziecko lube... I jemu popasać tam nie długo, inaczéj sińców na grzbiecie i guzów na czaszce nie zliczy... Kto tak, jak wy, paniczu, przemówi doń po ludzku, co to, choć i zasłuży, bo głupie jeszcze, na połajanie, to je połajecie, bywało, i tyle, ale do czupryny, pyska,

grzbietu—wara wam!.. Cyt!.. Sumienie!.. Nie wolno!.. O, oni, ludożercy, pijawki, nie tak!... Zaraz ci niemiec opętany, ledwie oczy przetrze, jak na bydlę bezmyślne, wsiądzie na chłopca, i—w potylicę go! Mocno, mocno... żeby aż świéczki stanęły w oczach!.. Tak! o tak!.. Jeszcze raz! Bij! Wytrzyma!.. Dziecko chłopskie... Co ma nie wytrzymać?.. Za kołnierz?.. Dobrze, niemcze, trzęś je i za kołnierz!.. Tylko mocno, bo ducha nie wytrzęsiesz—chłopski!.. He, he... a tobie już i piana z gęby pada?.. Oj, prawda, paniczu, prawda, sokole!... Że ciężko, to ciężko chłopu żyć na świecie!.. Wio! A, bodaj was wilki gryzły!.. Alboż i ten rządca, *okomon*, czy jak go tam zwać! Toć to przy was, paniczu, było? Pamiętacie?.. Przybiegł do *browaru*, jak bies sierdzisty, i co nie nawymyślał dziecku lubemu od cnoty matczynéj ta febry!.. Albo i dziś?.. Ha, ty, psie niechrzczony, gadzino!..

Ostatniemu słowu towarzyszyło niezwykle mocne szarpnięcie lejc, garść ścisnęła silniéj bat, jeszcze wyraźniejsza ukazała się pręga na boku orczykowego... Zawirowały żywiéj smukłe sosny o szczupłéj koronie, kałamaszka zadrgała dotkliwie, wjechawszy na drogę pełną korzeni. Światło zaczęło pobłyskiwać poprzez drzewa. Zapach smoły i terpentyny zaleciał.

— Wio, wio, małe! Eh, cm—cm...

Odchrząknął.

— Ot i smolarnia, a het-het i tatko wasz!..

Młodzieniec nic nie odpowiedział—nowe, głośniejsze odchrząknięcie...

— Dokąd-że wy teraz, paniczu?.. Kto was przytuli?.. Stary dobry, oj, dobry pan—nie wydoła...

— Zobaczymy!.. Pożyjemy, zobaczymy, Karnieju...

— Ej, paniczu, paniczu-sokole!.. Dzielnyś ty, oj i dobry panicz! Wyście wszyscy dobrzy!.. I ty, i twój ojciec, i brat, i matka nieboszczka, świéć jéj Pan Bóg, powiadam—wszyscy!.. Wszyscy, ilu was jest... A cóż, może nie prawda?.. Niechże mię Bóg skarze, kiedy nie prawdę mówię!... Za wami krzywdy ludzkiéj, ni łez—niema! Wszak prawda?.. To raz... Ot ci i jedna prawda!.. Możeś nie wyłajał, jak przystało, ludożerców, niemca ta *okomona*?.. Hę? A co?.. Widzisz!.. Cha, cha, cha... serce dobrym ludziom dygotało z radości, kiedy patrzali, jakeście nie pozwolili, by was rządca, opętany Lach, krzywdził... Ta i za nami chamami serce wasze dobre się cięło... Oj, pamiętać ludzie będą to słowo gorzkie a prawdziwe, coście wtedy powiedzieli... Wio, wio! bodaj was kudłaty...

Mówił tak, a gorzałka mu z ust cuchnęła i czkawka wstrząsała piersią. Na twarzy panicza-sokoła radość zadrgała tajona... Potém

znowu smutek i zgryzota wróciły. Znowu we wspomnieniach się zatopił.....

Tego panicza-sokoła, inaczéj jeszcze, Bogusławem Godziebą zwano. Nazwisko szlacheckie! Jednakże, za przewinienie ojca, zaliczony był do tłumów, największe brzemię dźwigających—do mieszczan. W zarządzie miejskim brał paszport, płacił poduszne. Z utratą posady ojca, nastawało pełne poniżeń „wycieranie cudzych kątów.“ Wtedy przychodziło do zgrzebnéj koszuli, parcianych spodni i łapci. Bywało, serce drgnie litością u dzierżawcy jakiego, da rodzinie, złamanéj kaprysem chlebodawcy, kawałek łąki, co najwięcéj zarośnięty łozą, gdzieś u skraju lasu, po za brodem. Kosi panicz—a tuż daléj, dla dzierżawcy, na trzeci stóg koszą ci, co panicza zwą sokołem, dziatwa Chama. Zimą, nieraz kiedy siana dostarczyć trzeba jedynéj chudéj krowie i staremu koniowi, lód się na błocie załamie i nogi się w wodzie skąpią, a potém od mrozu skrzepną, zdarzało się, iż długo przed ogniem nacierać musiał palce, które późniéj puchły. Nadrywał téż siły swe drwa rąbiąc, ścinaniem drzew, wtaczaniem kloców na wóz, łupaniem ich klinem upartym. Doznawał więc doli chłopa, pijał rozkosze jego.

Ojciec jego całe swe życie lasów doglądał, lub smołę pędził. Za młodu ceniony był wielce przez chlebodawców, powierzali mu zwierzchni dozór nad lasami, wierzyli w jego zdolności wrodzone, dopóki im obiecał przemieniać drewno w płyny popłatne na rynkach zagranicznych. Kiedy zestarzał i w rodzinę urósł, często, za lada podszeptem czyhających kolegów, bywał wydalany i stawał się pastwą lichwy żydowskiéj. Ciasne życie, opłakane koleje! Syn nie chciał ich przechodzić. Troska wieczna i poznanie z książek innych światów, szerszych i świetlejszych, pchały go gdzie indziéj.

Czuł się na siłach i postanowił dostać się do gorzelni dziedzica. Krytyka, bez któréj człowiek kroku nie stąpi, spadła i na niego ze strony oficyalistów i dzierżawców. Pamiętał dobrze opowiedziane sobie rozmowy ich.

— E-e! chłopiec ten, panie dobrodzieju, nie potrafi być pomocnikiem gorzelanego!... Gdzieżby znowu? Przywykł pędzić smołę, a teraz by miał być pomocnikiem przy gorzelni?

— Niech-no tylko pan hrabia przystanie na to, pocieszy się!..

— Ale! Prawdę rzekłeś, panie Ignacy. Dość, słodu nie dopilnuje, przeparzy krzynkę—przepadło!..

— Strata, panie dobrodzieju, strata oczywista... Toć to nie nasze stare gorzelnie! Tam ci przecie tyle nowych aparatów, a wszystkie maszyna porusza. Wszystko parą, panie dobrodzieju!..

— Nie potrafi! Gdzie mu tam!

— Tak, tak, panie dobrodzieju mój, ma się rozumieć... Czy jemu to, smarkaczowi, co od pieluszek smołę i terpentynę wąchał, podołać?.. Toć niemiec-bestya, sprytniejsza sztuka, co to ciągle, zwiesiwszy łeb nad kadzią zacierną, macza i macza termometr w ukropie, żeby, hm... uważacie, panowie, spirytusu więcéj było, a mimo to, jakby na złość, mniéj go jest...

Wyrok ludzi tych był taki, odpowiedź zaś Godzięby, niema lub bliższym tylko znana, następująca: „Głupcy! Nie śni się wam jeszcze, żeby krajowiec, dziecko smolarza, mogło się zmierzyć z niemcem, wyrocznią mózgów waszych baranich! Mam i ja spryt, jak wielu podobnych mnie, mam wierzycieli, żydów, łakomych na nędzną płacę moję za noce bezsenne w smolarni. Życie bym całe spędził w bratnim uścisku szmulów, nasiąkając do szpiku kości wonią smoły. Wysilę się, przejdę niemca, przeniknę sposoby! Od czegoż podręczniki do gorzelnictwa. Wódka również śmierdzi, ale ma odbyt większy, niż smoła... Wypędzę więcéj, ponieważ od nadwyżki dochód większy biorą gorzelnicy, trud mój nie będzie daremny... Nie dośpię nocy, nie podzielę wczasu świątecznego z ojcem i braćmi, ale pracą dosłużę się wyższego zarobku!“

Dosługuje się.

Śród rozległych pól, nad rzeczką konającą w uściskach łozy, sitowia i osoki, czerwieni się cegłą budowla. Przed nią kopce kartofli. Zewnątrz unosi się łagodna woń okowity, dławiąca we środku. Budowla ta pnie się w górę trzema piętrami. Dolne zajęte przez kotłownią, drożdżownią i kadzie fermentacyjne—wszystkie w oddzielnych salach. Na drugiém mieści się kadź zacierna i aparat do parzenia kartofli, naładowują go z trzeciego. Na temże samém piętrze—naczynia dystylujące i skraplające oraz aparat kontrolujący z herbem państwa. Robotnicy, zbliżając się doń, na palcach chodzą mimowoli i szepcą trwożliwie, jak wobec świętości. Na trzeciem zaś słodownia i balia do chłodzenia zacieru. Wszystkie te piętra schodami krętemi łączą się ze sobą. W tym gmachu dola nowa, lepsza!..

Kampania się rozpoczęła.

Od dołu do góry robota zaczyna wrzeć. Na dole czterech chłopów brudnych i mokrych zgrzebuje codzień do przemywalni kartofle zabłocone. Stamtąd, za pomocą bloka, poruszanego przez parę, wiadra kolejném podnoszeniem się i opadaniem, wyłapują je i dostawiają na trzecie piętro. Tam jeden robotnik naładowuje niemi parnik. Tak się zaczyna przygotowanie zacieru. Na dole palacz podsyca ogień, maszynista lokomobili pilnuje. Na górze hałasuje parnik od nacisku pary, miażdżącéj w nim kartofle na papkę żółtą. Prycha,

chrząka nią przez gardziel swój do kadzi zaciernéj, a tam mięszadło zębate, puszczone w ruch wirowy, zaciera ze słodem. Równocześnie i po innych częściach gorzelni kipi życie: w słodowni, na trzeciém piętrze, około balii chłodzącéj, w sali kadzi fermentacyjnych i drożdżowni. Robota taka trwa od czwartéj z rana do ósméj, często dziewiątéj wieczorem. W godzinach, dopełniających dobę, cały gmach zalega cisza—zacier wpompowany do kadzi dystylacyjnych, przeistacza się w wódkę... Jedyna chwila, gdy wszyscy—od palacza do gorzelanego śpią. Szmer pasów, warczenie kół i ryk parnika, zastępuje niby szept, niby łkanie gorzałki, po rurach spływającéj do zbiornika. Kadzie od burzenia się zacieru rzężą... Krople potu, odrywające się z pułapu, dzwonią tęskno, uderzając się o kałuże drożdży, niemieszczących się w kadziach. Powietrze ciężkie od kwasów, woni wyskoku—pełno.

Za ścianą, rozdzielającą salę z parnikiem, zgrzytnąwszy wyjęczał budzik—czwartą. Po schodach rozlegają się odgłosy trepek gorzelanego, o drewnianych podeszwach. Na dole powietrze wstrząsają klątwy. Odpowiedzią na nie bywają z razu szczere chłopskie chrapnięcia, obwieszczające powrót do jawy, do trudów szesnastogodzinnych... Jedni w plecy się drapią, drudzy oczy przecierają. Ciała ich widocznie wabi ku sobie ziemia-matka, bezwładność kolan, biódr i karku zdradza ochotę przytulenia się do jéj zimnego, czarnego łona jeszcze na jakie kilka godzin...

— Ach, wy, bydlę! Świnia chłopska!.. Wstać! Do robota zara!..

Jeszcze się drapią w plecy, patrzą błędném okiem i, ruszając się leniwie, coś mruczą.

— Ja was tu zara!.. Bydlę, świnia chłopska!.. Do robota! Bo ja tym kij was bić!..

Na rozmowę się zanosi, bo chrząknął któryś.

— Dobrze wam, panie *machaniku*, grozić kijem, kiejście w ciepłych i miękkich pierzynach wyspali, a my...

— Szti-i-il!.. zawarczy gardło niemieckie.

— A my, nie przymierzając, jak ów mówił, ot, niby te psy, zaledwie cztéry jakie godziny na téj brudnéj i mokréj ziemi leżéć musimy...

Z głowy chłopa spada czapka, gardło chłopskie charczy od wpijających się w nie palców niemca..

— Toć to tak?! —wyrwie się z kilku naraz piersi. Tak tedy brata naszego częstują?!..

— Rzućmy robotę.

— A zawal się ty, plucho, z fabryką swoją!.. Bodaj cię choroba ciężka trzęsła!..

Tymczasem już piąta, akcyźnika, jak nie widać! Za przerwanie roboty odpowiedzialność czeka gorzelanego!

— Panie Godzięba! Pan umiéć z nimi mówić... Daj *rat*!..

— Zleś pan zrobił, targając za włosy... No, chłopcy, będziecie mieli po dwa kieliszki duże gorzałki na śniadanie, tylko się uspokójcie!..

— My byśmy radzi, ale niechże nas nie uważają za psów! Jesteśmy, paniczu, jak i wy chrześcianie...

— Ale! Toć-to téż, chrześcianie!..

— „On dobry panicz"—szepcą.

Pasy w kotłowni, pod pułapem, drgnąwszy, znowu się kołyszą i nucą pieśń szmeru--szesnaście godzin... Koła, liźnięte przez nie, znowu warczą. Po chwili, jak dawniéj, przywtórza im parnik swym rykiem, chrapaniem i chrząkaniem. W uszach ból, rozmowa—żadna. Świstawka gorzelanego przeszywa powietrze.

W takiem-to otoczeniu Godzięba musiał pół roku spędzić i takich scen być świadkiem.

Uczucia jego tkliwe nieraz twarda rzeczywistość zraniła srodze. Och, z jakim ciężarem i smutkiem na duszy przebudził się, kiedy pierwszéj nocy, po przybyciu do gorzelni, spał w wyznaczonéj dla siebie izdebce, na tém samém piętrze, gdzie parnik, obok mieszkania gorzelanego, pryncypała swego. Marzeniami przeniósł się był do smolarni. Oto tam robota trwa, czuwać trzeba aż do rana; wtedy kilka godzin spać można. Tak trzy razy na tydzień, drugie trzy—po całych nocach snu do syta. Przytém jestto polanka niedawno wykarczowana, naokoło, bliziutko—las. Zacisznie. Można książki czytać, ssać myśli z nich nowe, ideały wielkie czerpać. Bracia przyjadą ze stolicy, ze szkół, zrobi się gwarno, przypomną się dawne chwile przeżyte wspólnie, przed rozproszeniem się jeszcze po świecie. Oni jemu prawią o życiu nowo skosztowaném przez siebie, on im o tém, co tuż, na miejscu, zaszło. A chciwiż tacy szczegółów tych!.. Stolica znać zaostrzyła tak ich myśl i dała nić przewodnią do wiązania ze sobą tego, co luźnie niegdyś zapadało do duszy, leżąc tam bez użytku... Całego jakieś ożywienie miłe ogarnia. Błogo! Nic to, że szmule miasteczkowi z objęć swych nie puszczają, czułości téj nabrawszy od czasu, gdy ciężka choroba, a potém śmierć biednéj matki, zmusiły pożyczać u nich. Otóż i gorzelnia! Zgiełkliwsza, co prawda, od smolarni, ale, aj! ciekawa... Zwłaszcza, gdy się zna podstawy naukowe robienia wódki. No, i zarobek większy od tego, co się „nad normę wypędzi." Ej, głupie jednakże i ślamazarne było życie, choćby w téj smolarni, naprzykład...

Wtém ocknienie. Gorzelnia zbudziła się do całodziennego życia, zagadała mnóstwem głosów dziwnych i tajemniczych... Na piersi ciężar legł i odetchnąć głęboko nie można. Łkanie porywa za gardło, coś łechce boleśnie po sercem... Ani jednéj twarzy kochanéj, choćby dobrze znanéj! Twardo, twardo duszy! Oswoić się przecież trzeba—o chléb idzie...

Oswoił się, pojął wszystkie tajemnice produkcyi. Skutkiem téj wiedzy jego, nadmiar wódki po nad wyznaczoną przez rząd ilość — wysokiemi odsetkami obliczano. Niemiec takiego zaufania nabrał do niego, że, zaczynając od doglądania parnika, aż do mierzenia temperatury zacieru i robienia drożdży, najtrudniejszéj rzeczy—wszystko powierzył jemu. Za to sam dostatecznie się wysypiał, spał od godziny *dziesiątéj wieczorem do ósméj rano.* Godzięba zaś o dziesiątéj się kładł, a wstawał o czwartéj—ledwie świt. Znużenie nie odstępowało nigdy!

Niemiec, razem z pensyą i udziałem w zysku posiadacza, brał *dwa tysiące.* Pomocnik zaś otrzymywał miesięcznie *piętnaście rubli*, za cały więc czas pędzenia — niespełna *sto*... Ale pryncypał zaraz, pierwszego dnia, powiedział: „mój i pański interes wypędzić jaknajwięcéj wódki.“ Śliczne to słowa! Tak bratersko i niewinnie brzmią, napełniają duszę nadzieją, a wyobraźnię zdolne są do budowania zamków na lodzie pobudzić... Pod ich dobroczynnym wpływem trudniéj jest odczuć, ile potu ze skóry wyciekło, ile sił ubyło...

— Dobra to rzecz jest tantyema — zachwalał Godzięba bratu-studentowi.

— Na pozór, bracie, na pozór? Wsłuchaj się w siebie po pracy, ileś się napocił, namęczył i nie dospał... Łupiestwo na organizmie dokonane!

Nie wierzył. Czujny był i baczny dniami całemi. Niemiec się nań spuścił we wszystkiém, stąd wieczna trwoga a większa pilność. Najwięcéj tętn przyśpieszonych wywoływał w nim straszliwy parnik. Więcéj nad kilka minut krokiem od niego ruszyć się nie można, wypadkiem grozi. Nadmiar pracy rozsadzić gotów aparat! A tu co chwila oderwać się trzeba, wszędzie okiem rzucić. Temperaturę zmierzyć zacieru, wbiedz na trzecie piętro, czy w kilsztoku ciecz nie ochłodła zbytnio, potém się spuścić na dół, by do sali fermentacyjnych i drożdżowni zajrzéć. A tam znów być na stanowisku.

Nad głową smukła, żelazna szyja parnika, zwanego aparatem Henca, pod nią krzesło, na niém siedź i nie odejmuj ręki od wentyla, miarkującego dopływ pary. Ryk straszliwy, odurzający! Gardziel rybocze, parsknie żółtą papką, a drobne jéj, gorące cząstki rozbiegną się w powietrzu i wpadną do oka, do ucha, zlepią włosy, upstrzą

twarz, do odzienia przylgną. Młynek do słodu warczy, ludzie posępnie uginają się, dźwigając ciężary po schodach krętych. Gdyby nie hałas, dosłyszeć by można stękanie ich. Pod szyją parnika zziajanego Godzięba marząc, pogwizduje tęskno.

Ósma — budzik wyrwał niemca z pierzyn miękkich. Zniecierpliwienie błądzi po twarzy jego zarozumiałéj.

— Żle pan robić, panie Godzięba, że termometr nie mierzyć....

— Owszem, tylkom co go zanurzał.

— Pańska wina być, jak nie tyla gorzałka wychodzić!

Pokręcił się trochę, a potém w mieszkaniu znikł. Tego dnia dużo było okowity. Gdy wieść o tém rozniesiona przez żydów, dobiegła uszu rządcy pana hrabiego, wstąpił do gorzelni powinszować niemcowi. Spojrzał surowo na pomocnika, zmierzył go siedzącego nieruchomie pod parnikiem.

— Pan Knaus zuch, w osłupienie wprawił całą okolicę, szaloną wydajnością wódki! Nie popsuj mu tylko, panie Godzięba!

— Jestem spokojny. Nie wiem, jak kto...

— Zawsze jednak radziłbym słuchać go. Więcéj on od pana umie....

— No, i ślicznie!

Zmierzył go za to surowo, ale na twarzy dostrzegł tylko — pogardę. Usta poruszały się, wydymane gwizdaniem. Poruszył wentyl, pary weszło więcéj, gardziel chrząknął mocniéj, zaryhotał głośniéj i parsknął miazgą kartoflaną w same oczy rządcy, baranki jego krymskie zdobiąc gomułkami żółtemi. Godzięba zawsze był hardy, gdy tymczasem inni oficyaliści karki gięli. Jak szyldwach, ciągle był na straży godności swéj ludzkiéj, zawsze się spodziewając natarć brutalnych ze strony zwierzchników. Na czole jego czytać można było wyrok świata: „Z głodu umrzesz!“ Za innych się ujmował nieraz, za maluczkich szczególniéj, za co witano i żegnano go wejrzeniami wdzięczności.

Stąd téż więksi oficyaliści i dzierżawcy szerzyli sławę niemca, robotnicy zaś, niższa służba folwarczna i czynszownicy—pomocnika.

Milczące przymierze wywiązało się pomiędzy robotnikami a Godziębą i wyrosło z czasem we współczucie. Rzecz prosta. On brał piętnaście rubli miesięcznie, oni—jedni po *dziesięć*, drudzy po *osiem*, niektórzy znów—po *sześć* zaledwie. On i oni o jednéj godzinie się kładli, o jednéj do pracy wracali. Oni w kierpciach łyczanych, w koszuli zgrzebnéj, podwiązanéj krajką, w siermiędze samodziałowéj, o twarzach brudnych, o włosach i zaroście w strąki od potu i kurzu pozwijanych. On, w starym węgierskim kapeluszu, w trepkach drzewem podbitych, w kurtce, papką kartoflaną oblepionéj. On przy

parniku zawsze lub nad kadzią zacierną schyla się często, jego wszędzie pełno. Tamci przy pompach, przemywalni, drożdżowni i piecu. Dla nich wszystkich przez całą kampanię dzień od dnia się nie różni. Siła jakaś niewidzialna przykuła każdego z nich do czegokolwiek w gorzelni i gna do pracy ciągłéj — aż do zaparcia tchu. Nie lekka to rzecz! Żal duszę wypełnia, to szarpie ją boleśnie-łaskotliwie w okolicach serca i w krtani, to przygniata całym ciężarem otoczenia, tamując oddech. Pies z kotem staliby się przyjaciółmi, dopieroż człowiek z człowiekiem! Wszystko wokoło wrogie, więc ręce same się wyciągają ku sobie...

— Czemu wy, paniczu, nie zbudzicie niemca? Niechby on popilnował trochę!.. Śpi, plugawy...

— Daj pokój, Hardzieju! Słyszałeś, co rządca mówił? Mówił, żebym niemca słuchał, bo więcéj odemnie umié...

— Oj-oj-oj! Albo to prawda? Łże, pies! My lepiéj wiemy, paniczu, co kto umié. Wy, co innego, ale on—ni dyabła! Nim tu przybyliście, paniczu, co mój niemiec, bywało, nie napoci się, niech Bóg uchowa! żeby tylko wódki było, ot potąd — ani rusz! Bywało, jak ten Marek po piekle, tłucze się z kąta w kąt gorzelni, ludzi rozbija, w niebogłosy wrzeszczy: „a wy tacy, a wy owacy, zziaja się, jak nie przymierzając mój stary Burek, co go to w lecie biorę do bydła gromadzkiego na pastwisko, a wódki—ani kwarty więcéj nad to, co dla rządu! Gorzéj bywało nieraz... Czasami mniéj wyjdzie wódki, jak potrzeba było akcyźnikom, dopieroż gniéwy ich na niego! Niech Bóg strzeże i uchowa! Ot, jak nastaliście wy, paniczu, zupełnie inaczéj poszło. Dnia niema, żeby niemiec rąk nie zacierał z radości. A kto sprawca tego? Może on? Śpi, plugawiec! Wierzcie, nie wierzcie, paniczu-sokole, a przecieć to prawda, co ludzie gadają, że my z wami pędzimy wódkę—niemiec śpi tylko... Oj, dolaż nasza, doleczka!..

— Słodka, jak wisienka... A popraw-no tam, Hardzieju, pasa. Zdaje się, już resztki kartofli wychodzą—zwolnić trzeba.

Raz, gdy pod pułapem na dole pasy skrzyżowane drgały, szemrząc usypiająco, a koła warczały, gorzelnia zaś cała kipiała życiem od góry do spodu, uwijał się ze smarowidłem, spełniając swój obowiązek, chłopiec od maszyny. Wtém krzyk przeraźliwy. Zbiegli się. Wił się biedny z bólu, wplątany w pasy, twarz kurczami swemi mrowie wzbudzała w patrzących. Ścięgna mu pękły na nodze. Było potém dużo jęku... Dozór nad nim z porządku rzeczy przypadał na właściciela. Na folwark z nim, tam zaś wyznaczyćby kogo, coby go doglądał! W gorzelni pozostał. Raz obandażowany, pozostawiony był sobie samemu, znać, żeby szmer pasów i łoskot ciągły do snu go

tulił... Nie utulił się jednak i jęczał. Zniesież to serce człowieka, co sam niedawno był świadkiem cierpień przedśmiertnych własnéj matki? Kładł się przeto już nie o dziesiątéj, jak dawniéj lecz o jedénastéj, byleby choremu bandaż odmienić, opatrzyć ranę i dopomódz, w czém mu ból przeszkadzał....

— „Dobry panicz!“—szeptały usta robotników.

Skończyła się zima, a z nią i roboty w gorzelni. Serca niespokojnie uderzają tym, co najwięcéj trudów ponieśli... Posępna chwila obrachunków... Rządca z kasyerem obliczali zysk dziedzica, najemnicy z pomocnikiem o swój zarobek drżeli...

Od rządcy wiało duchem wojskowego człowieka, nie był jednak nim nigdy. Skończywszy jakiś zakład techniczny rządowy, trudnił się zarządem dóbr posiadacza z nadwołżańskich prowincyi... Odtąd zdradzał narowy wojskowe. Z zachowania się jego względem podwładnych oficyalistów znać było, że ci ostatni szeregowcami dla niego są, on zaś dla nich oficerem. Jemu więc miejsce na krześle, im zaś—u progu, z postawą struny, mocno napiętéj... Jemu głosem pewnym i surowym gromić ich, im zaś odpowiadać ze drżeniem serca i z nogi na nogę przestępywać... Sprowadzony przez hrabiego, chciał owoce kultury wyższéj zaszczepić w jego dobrach, zaprowadzić od dawien dawna niebywałą tam karność we wszystkiém. Dzień nie upłynął, iżby ludność miejscowa nie doznała niepokoju od jakiego nowego pomysłu jego. Czynszownikom i oficyalistom staréj daty najwięcéj skóra cierpła. Pierwszym—z powodu czynszów, drugim—na myśl ładu nieubłaganego. Czapka porucznikowska rządcy z gwiazdką srebrną na czole, używana przezeń dla postrachu, siała go w dusze ludzi, których byt zależał od hrabiego...

Godzięba z twarzą zapadłą i znużoną, z brodą rozczochraną, był także obecny przy wypłatach.

Robotnicy cisnęli się przez drzwi, popychając się wzajemnie. Wszedł który, zaraz się do pasa ukłonił przed „panami.“ Ani cienia hardości w wejrzeniu, w twarzy, w postawie całéj. Tacy przybici wszyscy, tacy niezdarni w członkach, z wyjątkiem szyi i pasa... Rozmawiać nawet głośno nie potrafią wobec „panów“, szepcą tylko. W szepcie ich wyraźnie słychać, jak się chwalą, ile komu należy, co kto zrobi z zarobkiem, gdy mu go wydadzą.

— „Otożeśmy doczekali się wiosny!

— „Ale! Teraz kto do orki, kto z bydłem na pastwisko.

— „A innemu znowu chatę budować...

— „To mnie niby? Nie kpij!.. W staréj zostać przyjdzie, nie wystarczy grosza...

— „Ileż się spodziewasz?

— „Czterdzieści, według mojego sumienia...

— „Ho, ho, człowieku! Nie masz się czego martwić...

— „Juści ono tak, gdyby wszystkie przy mnie zostały... Ale no patrz tylko, jak się rozlecą. Te gminie... podatki widzisz... Te żydowi... Ej, wyślizną się wszystkie, ino patrz!

— „Pokłoniłbyś się panom, taniéj by odstąpili drzewo...

— „A ty Nieścier, co zrobisz z swojemi?

— „Ta! Dawaj tylko, znajdzie się, gdzie wydać!

— „Ileż według ciebie?

— „Trzydzieści... jak obszył...

— „Ej-że! A nuż obetną...

— „Gdzie zaś! Wiem, ilem wziął...

— „Ty wiesz! A oniż—co?

— „Cóżeś oszalał, człowieku! Sumienie, sumienie przecieć....

Tak szeptali. Godzięba zaś dumał. „Zbędę się, choć w części, długów, jak tylko należność odbiorę... W gorzelnictwie przecież i nadal kształcić się trzeba, inaczéj nigdy sam nie pokieruję gorzelnią. Och, jakże wiele jeszcze przeczytać trzeba! Księgarz z Warszawy odpisał, że najlepszy podręcznik Ginsberga... Gdybym téż mógł posłuchać wykładów praktycznych dla gorzelników w stolicy... Ej, trudno, nie wystarczy! A miałbym porządne wyobrażenie o chemii, doświadczenia przytém w laboratoryum... Ani marzyć!.. Toć koszula ostatnia, co na karku, a spodnie? Do czego podobne! Tu wytarte, tam dziury... tam plamy, tu plamy... Surdut... Och, świecie, poznany z książek, ponętnyś, a takeś niedostępny! Łotr niemiec, gotów mniéj dać, coś mi się widzi.“

Więc szept tamtych, a dumy tego pełne pragnień i obaw...

Kasyer oderwał oczy od księgi, ręką sięgnął po coś.

— Hardziéj Iwanowy! Rubli srebrem trzydzieści! — zabrzmiał głos kasyera.

— Oj, panowie-gołębięta, nie krzywdźcie biednego człowieka...

— Co? ostro, wojskowo, wybiegło z ust rządcy.

— Mnie-bo, panie, wedle mojego rachunku, nie tyle się należy...

— No?

— Mnie się należy, panie, około czterdzieści...

— Precz!

— Dajcie, a późniéj już wypędzajcie—wola wasza...

Do podłogi przylgnęło kilka pewnych, junackich, dwiema zgrabnemi nogami wymierzonych kroków. Na karku chłopa spoczęła kształtna ręka i pchnęła go za drzwi.

— Kiryło Piotrowy Morhacz! Dwadzieścia cztery! No?.. Masz!.. Weź!..

Ukłonił się do pasa, podrapał w głowę, a potém:

— Nie wezmę, panie-sokole! Krzywo...

— On nie brać! Cha, chá, cha... Kijem go!

— Ileż według ciebie?

— Trzydzieści, panie-sokole, jak obszył!

— Świniaś! Naucz się liczyć!..

— Ja zaraz policzę... Na Trzy Króle wziąłem pięć...

— Sześć!

— Nie, panie-sokole, jak mi Bóg miły — pięć! Niech mię w tę ziemię pogrzebią, nie....

— Precz!

To samo, co wprzód. Trwało tak, aż wszyscy najemnicy, nie znaleźli się przed gankiem i oknem. Znalazłszy się zaś tam, zbili się w gromadę i wywijali gwałtownie rękoma. Otóż coś uradzą stanowczego! Co za poruszenia śmiałe! Namawiają się wzajemnie do czegoś... Ileż siły przekonywającéj w postawie jednego z nich! Schwycił się rękoma za uda, zgiął tułów, wyciągnął żylastą i ogorzałą szyję i głową swoją zataczał półkola, podsuwając ją każdemu po kolei, wskazując przytém często kiwnięciem, snadź dla dowodu, na okna, gdzie kasyer, gdzie rządca... Ot wtargną tam niebawem i w jeden głos zażądają sprawiedliwości, wymuszą na rachmistrzach, co słuszne, jednomyślną, wstrząsającą, brzmiącą częstem „oddajcie nam krwawicę naszą“, skargą.

— Chamskie plemię!— oburzył się rządca.

— Tak, tak, wielmożny panie—dorzucił kasyer—nie ciśnij ich, to ci na głowę wlézą!

— Ja ich ugnę psubratów — pogroził rządca pejczem swym. Jakem był nad Wołgą, tom sobie tylko w ten sposób radził. Najtrudniéj mi było ze starowiercami... Chamstwo, psiakość, skądeś się nauczyło czytać i dyabelnie się stawi! O, nierównie łatwiéj z tymi...

— Ja to, wielmożny panie, zawsze mówiłem! — wścibił swoje łaszący się kasyer. Chłop nauki zawsze na złe użyje! Będzie wiedział, jak prośbę napisać do sądu, zwęszy łatwiéj, co jego skórze grozi... Syn mój, co z łaski jaśnie wielmożnego hrabiego plenipotentem jest, ciągle mi się skarży, że z chłopami czytającymi nie może się uporać w sądzie... Wielkie szkody z nauki chamskiéj!

— Uważam, panie Sokolski — wtrącił Godzięba, błysnąwszy okiem—że śpiewasz piosnkę tego, na czyim wózku jedziesz...

Znowu, jeden po drugim, wchodzili najemnicy i, jak przedtém, przybici, onieśmieleni. Ani śladu stanowczości w postawie, którą mieli za oknem. Spoglądali na siebie, wyraźnie zachęcając się do wypowiedzenia czegoś. Ani jednego nie stało na odwagę, ani jeden

się nie znalazł, coby swoim i towarzyszów rzecznikiem był... Podrapał się każdy w głowę i zgodził się na przyznany sobie przez „panów“ zarobek.

— Za drzwiami dopiero klątwy słychać było, któryś bąknął o odwecie w czasie żniw, drugi dodał a „juści“ i tyle tylko!..

Przyszła koléj na pomocnika.

— Teraz my z panem, panie Godzięba, robić rachunek.

Poklepał go w ramię.

— Owszem. Ciekaw go jestem.

— Panie Knaus! Najlepiéj niech pan Sokolski obliczy...

— O, nie, panie łaskawy. Zrobi pan dobrze, jeśli się wtrącać nie będzie. To nasza rzecz—moja i pana Knausa.

— Czyżby? Jednak i ja coś znaczę. Gdyby się *mnie* podobało, pan Knaus kogo innego wziąłby za pomocnika...

A oczy mu się iskrzyły tłumioną złością.

— Wierzę... mruknął Godzięba, a od serca wzruszenie już się rozbiegało po całém ciele, ślinę połykał. Kończmy, panie Knaus!

— Doch dobrze! Panu należéć *pensyon* sześćdziesiąt rubli, aber *tantyem* — sto tylko...

— I słusznie, panie Knaus! Pan Godzięba za młody i zamało jeszcze umié, żeby mógł więcéj brać!

— Zapewne, łaskawy panie, nie skończyłem tak, jak pan, instytutu inżynieryi, ale pracowałem na równi z panem Knausem, chociaż na karb mojego uczniowskiego położenia, mniéj sypiałem.. Ci, co za oknem stoją, poświadczą temu. Nie wiem więc, czém jestem gorszy od pana?

— Możesz pan sobie schować w zanadrze swoich świadków!.. Odemnie tém jesteś gorszy, żeś jeszczcze—błazen!

— Czyżby? Większy, czy mniejszy od pana?

— Milczéć, błaźnie jakiś! Wiesz, ktom taki?

— Rządca i zwierzchnik dla ekonomów, a dla mnie taki sam, a może gorszy jeszcze człowiek, jak każdy inny.

Trzymał w ręku pejcz, bo konno przyjechał na obrachunek, klasnął nim, wściekły, w powietrzu, i, na drzwi wskazując, „tam“!— wrzasnął.

— Nie tak gwałtownie! — była odpowiedź. Nie podobnym do tych biednych, co tam...

Pomruk tylko jakiś zwierzęcy wydał. Zęby się zacisnęły, ręce szukały wroga, nogi sunęły krokiem kocim, oczy wpijały się w twarz—na nią zemsta miała być wywartą. Nim jednak do obelgi przyszło czynnéj, dwoje krzepkich i żylastych rąk Godzięby ujęły dwoje ramion rządcy. Nic dotąd podobnego nie bywało w majątku

hrabiego, uczucia godności osobistéj u niższego ofiyalisty zagłuszały trwoga zajęcza lub służalczość.

— Zuch panicz!—rozległo się za oknem.

— Za naszą i swoję krzywdę...

— *Stanowego*! Hej, *stanowego* zaraz!.. Panie Knaus! wydalić go!

— Ryknął — i już go nie było w pokoju. Tylko późniéj zjawił się w mieszkaniu pomocnika podrządca.

— Pan rządca rozkazuje panu dziś jeszcze przed wieczorem wynieść się z gorzelni, w przeciwnym razie będzie pan miał do czynienia z policyą i sądem.

— Wyniosę się, kiedy będę mógł.

— Dziś — koniecznie.

— Jużem powiedział, donieś to pan zwierzchnikowi swemu.

Ekonom przyniósł świstek téj treści: „Rozkazuję panu, nie zwlekając, natychmiast opuścić gorzelnię i folwark! inaczéj poczujesz pan, kto z nas silniejszy.“

Nocował, nazajutrz poczuł, kto był silniejszy. Wezwany stanowy wyrzucił jego tłomok, jedyny sprzęt. Kipiało wszystko wewnątrz, pięść zaciskała się kurczowo, ślina się cisnęła obficie, a na twarzy skóra zzieleniała. Przed siłą ustąpić musiał, wysworowawszy się samotnie, łeb pojedynczy za słaby na przebicie ściany...

Przed gorzelnią stali najemnicy, gotowi do rozejścia się w swe strony rodzinne. Na plecach sakwy zgrzebne, sagany czarne i zatłuszczone, kociołki miedziane, okopcone — znany statek wędrownych najemnikow... Wszystko ludzie bezrolni lub właściciele chałup walących się ze starości, paru grząd chudych. W opłotkach, za kołowrotem, siedziby ich, nie we wsi. Jednym wypadnie przez lato paść bydło gromadzkie, drugim—odnająć swe ręce gospodarzom do orki, siejby lub kośby.

— Wyrzucili was, paniczu-sokole, gadziny, bodajby dobra nie znali?

— Jedziecie już, paniczu? Opuszczacie nas?

— Stęsknimy się za wami...

— Niech was Bóg prowadzi!

— Dobrzyście byli dla nas!

— Ludzkiém słowem poczciliście nieraz...

— Pamiętasz, Hardzieju, jak się za nami ujął?

— Czemu nie! Dobre słowa pamięta się długo...

— Jużci... kiedy same złe się słyszy...

— Oj! bracia-gołębięta, aleć i pamięta je jeszcze dłużéj dusza...

— Wy je, paniczu, także pamiętaliście długo, aż sił nie stało... nie ścierpieliście!..

— Napijmy się lepiéj, bracia! Weseléj będzie na duszy.

— Słyszycie, chłopcy, co paniez mówi?

— Ehe!.. Dobry on...

Rozchodziła się woń wódki, kieliszek dźwięczał.

— No, teraz za wasze zdrowie, paniczu-gołąbku!.. Niech wam się szczęści!

— Niech was Bóg uchowa od ludzi-ludożerców!..

— I za wasze bracia! Niech śladu po nich nie będzie!.. A tyż, Karnieju, czemu nie pijesz? Pij!

— Wypiję... Za wasze zdrowie, paniczyku!

— Ech! paniczu, paniczu!..

— A powieziesz mię do smolarni? Nie mam na czém jechać, z folwarku konia nie dają!

— Powieziemy, jakże nie! Tyż nasze złoto... Siądźcie ino, to ci machniemy!.. Raźniéj od czwórki rządcy!

I sunął się go objąć. Wszyscy cisnęli się doń z pożegnaniem. Bardziéj rozgrzani wódką obejmowali go, ślinili, sapali mu wonią jéj, mówili wyrazami urywanemi, wykrzyknikami niezrozumiałemi. Łez opanować nie mogli—nosy wycierali. Inni trzeźwiejsi, zdala się trzymając, żegnali. Wszystkim im ręce uścisnął — i ruszyli, każdy w swoję stronę. Jechał Godzięba do domu, a w piersiach wrzało. Wyobraźnia, rozdymana żalem, bujała. Pamięć sytuacyi, w któréj przed chwilą był, nie wynurzone myśli i uczucia do dna samego, nasuwały obrazy coraz bardziéj upokarzających położeń, i on z nich wynosił zwycięsko swoją godność, niepokalaną przez złych ludzi! Upajał się temi widmami duszy zbolałéj. A serce tymczasem przyśpieszoném, niezdrowém tętnem, strach! jak kołata, a w gardle nieznośnie sucho!.. Pielęgnował tak niezadowolenie swe! Dobre to!.. Z takich stanów duszy rodzi się obraz nas samych, jakimiśmy powinni być w walce ze światem o swoje... Z pewnością kiedyś postąpi inaczéj, drugi raz znalazłszy się w podobném położeniu!.. Jakże to męczące... ukojenie nadpływa, a w okolicach serca liże łaskotliwie fala uczuć tkliwych... Węzłowato odpowiada woźnicy swemu. Zalatuje woń smoły i terpentyny, poprzez bór przetrzebiony migoce światełko z mieszkania ojca. Staje w pamięci przeszłość przeżyta tutaj, śmierć matki, smutki pognębiające, co późniéj napastowały, noce zmór pełne, potém natrętne jarmułki i pejsy szmulów-wierzycieli...

Stąd wybiegł w swiat, by ich zaspokoić, a no jak teraz?

— Toś ty, Sławcio?.. Miałeś na same święta wrócić?.. Możeś się dowiedział... wczoraj chłopcy przyjechali z Warszawy?

Właśnie wybiegli obaj. Starszy obrzucił okiem brata wychudłego i ze współczuciem wymówił: „Organizmie złupiony!“

No i naturalnie—powitanie. Potém gawęda błaha, pomimo długiego niewidzenia się i wielu rzeczy nagromadzonych w głowie i sercu, rzeczy ważnych, ciekawych, godnych co rychlejszego wypowiedzenia... Nic to! Późniéj—spokojniéj mówili, chodząc po lesie ze strzelbami, przy wtórze budzącéj się do życia przyrody, przy nieśmiałym, cichym jeszcze wtórze żab, dopiero co ogrzanych promieniami kwietniowemi, przy śpiewie drozda, do marzeń usposabiającym, przy pochrząkiwaniu słomek i przy pogwarze lasu różowo szmaragdowego, tonącego wieczorami w czerwieni zmierzchowéj. Często długo w noc przeciągała się ich rozmowa. Wtedy z piersią pełną szczęścia zasypiali.

Po każdéj takiéj rozmowie z braćmi Godzięba mężniał na duchu, inaczéj mu się układały myśli, ilekroć sprawy i porządki ludzkie rozważał.. Odtąd nie wielbił już ani tantyemy, bo łudziła nadzieją złotych gór, a napełniała cudzą kiesę, sprawiając mu zmęczenie tylko i wielki ubytek sił, gdy olśniony obietnicą, pracował nadmiernie, wytężając się zbytnio,—ani podarunków, dawanych dla zachęty do wysiłków, szkodliwych zdrowiu...

Zygmunt Komar.

NOWSZE POGLĄDY NA ŻYCIE ORGANIZMÓW. (1)

Przy dzisiejszym stanie naszéj wiedzy biologicznéj nie podobna podać dokładnego określenia pojęcia życia. Największą trudność przedstawia tu okoliczność, że zjawisko to jest kombinacyą licznych i różnorodnych przemian, stanowiących wszakże nierozerwalną jedność.

Istoty życia nie rozumiemy jeszcze dziś zupełnie tak samo, jak nie pojmowali jéj mędrcy starożytności. Ale obecnie zdołaliśmy wyjaśnić w znacznéj mierze przyczynę różnorodności form życiowych (teorya rozwoju), wykryć liczne prawa, rządzące przemianami świata organicznego, otrząsnąć się z błędnego pojęcia siły żywotnéj, jako czynnika specyficznego objawów biologicznych, wykryliśmy ogólny substrat życia — protoplazmę, a wszystkie do zrozumienia najtrudniejsze i najbardziéj złożone przejawy, począwszy od ruchu mechanicznego, a kończąc na najwyższych czynnościach ducha, sprowadzamy do prostych objawów tego ogólnego podścieliska życia.

Badanie życia protoplazmy, coraz jaśniejsze i piękniejsze rzuca światło na istotę życia wogóle i coraz więcéj rozjaśnia pojedyncze, najbardziéj powikłane objawy biologiczne organizmów. W ostatnich czasach poruszono w nauce kilka bardzo interesujących kwestyi, dotyczących życia organizmów. Niektóre z wypowiedzianych w tym względzie poglądów, jako oparte na ścisłych danych faktycznych, zdołają, sądzę, zaciekawić szersze koło czytelników.

Jak wiadomo, komórka organiczna, czyli kulka protoplazmy (najczęściéj z jądrem i z jąderkiem pośrodku) stanowi jednostkę elementarną, wchodzącą w skład ciała wszystkich zwierząt i roślin. Pomiędzy istotami żywemi odróżniamy grupę organizmów jednoko-

(1) Praca niniejsza stanowi rozszerzony i uzupełniony wykład, miany w roku bieżącym na posiedzeniu sekcyi przyrodniczéj Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego.

mórkowych, których ciało jednę tylko przedstawia komórkę, oraz istoty wielokomórkowe, zbudowane z wielu komórek pojedynczych, których liczba niezmiernie może być wielką.

Do istot jednokomórkowych należą np. ameby, przedstawiające bezkształtne kłaczki zarodzi, zmieniające wciąż swą postać wskutek wysuwania i wciągania wyrostków protoplazmowych i przelewania ciała swego z miejsca na miejsce. Inne twory jednokomórkowe o wiele wyższą mają budowę. Wymoczki np. przedstawiają także jednę tylko komórkę, ale silniéj zróżnicowaną. Jest ona pokryta błoną złożonéj budowy, w zarodzi widzimy ziarenka, banieczki, płynem wodnistym wypełnione i często tętniące, na powierzchni zaś migawki, szybko drgające i t. d., jedném słowem w ciele pojedynczéj komórki zachodzi wyraźny podział pracy pomiędzy różnemi, składającemi ją częściami.

Istoty jednokomórkowe rozmnażają się drogą dzielenia; komórka rozpada się na dwie lub więcéj części, z których każda przedstawia nowy znów organizm jednokomórkowy. U istot cokolwiek wyższych, w skład ciała zwierzęcia wchodzi już nie jedna, lecz kilka, lub więcéj komórek, luźno obok siebie ułożonych i stanowiących kolonią. W takiéj najprostszéj grupie, czyli kolonii komórek organicznych, wszystkie zupełnie są jednakowe i samodzielnie pełnią funkcye życiowe; nie ma jeszcze pomiędzy niemi żadnego podziału pracy, lub téż bardzo tylko nieznaczny. Organizmy takie rozmnażają się również drogą dzielenia; kolonia rozpada się na komórki pojedyńcze, a z każdéj z tych ostatnich drogą podziału powstaje nowy agregat; ile zatém było komórek w kolonii macierzystéj, tyle tworzy się oddzielnych kolonii potomnych. U organizmów jeszcze wyższych, komórki, składające ciało zwierzęcia, znajdują się w ściślejszym już związku wzajemnym, stanowią fizyologicznie nierozerwalną grupę jednostek, pomiędzy któremi istnieje wyraźny podział pracy: odróżniamy tu komórki nerwowe, zmysłowe, mięśniowe, komórki biorące na siebie rolę specyalnie trawienia, wydzielania, rozmnażania, czyli płciowe (jajka i ciałka nasienne) i t. d.

Zobaczymy, że przy rozpatrywaniu istot żywych w ich stopniowym łańcuchu rozwojowym zauważyć się daje niezmiernie interesujący fakt ogólny, dotyczący życia i śmierci niższych i wyższych organizmów.

W r. 1882 prof. O. Bütschli z Heidelberga ogłosił w czasopiśmie naukowém „Zoologischer Anzeiger“ kilka ważnych poglądów na tę kwestyą. Przeglądając — powiada ten uczony — zjawiska powstawania i zamierania w wielkim szeregu organizmów zwierzęcych, nie możemy nie dostrzedz uderzającéj różnicy, jaka zachodzi pomię-

dzy osobniczością (indywidualizmem) wyższych t. j. wielokomórkowych zwierząt i niższych, jednokomórkowych. Kiedy w pierwszych osobnik zachowuje obok potomstwa swego określony i wyraźny byt indywidualny, — u organizmów jednokomórkowych, przeciwnie, osobnik jako taki przestaje istniéć przy rozmnażaniu, indywidualność zaś jego przechodzi na osobniki, powstające jako bezpośrednie jego potomstwo. Zjawisko to okaże się bardzo charakterystyczném, jeśli zechcemy zastosować do tych niższych organizmów pojęcie śmierci tak, jak je nam nastręczają organizmy wyższe. Śmierć tych ostatnich nie jest wygaśnięciem życia wogóle; jest ona raczéj zakończeniem życia indywidualnego. Organizm wyższy umierając, przestaje istnieć jako osobnik. Z tego téż względu proces rozmnażania się tworów jednokomórkowych, czyli rozpadanie się ich na inne, potomne osobniki, może być do pewnego stopnia uważany jako śmierć, jest bowiem zakończeniem życia indywidualnego. Ale z drugiéj strony u organizmów wyższych z pojęciem śmierci wiąże się pojęcie wyłączenia materyi organizowanéj z obiegu życia, pojęcie zniszczenia materyi żywéj, utworzenia trupa, a tego momentu brak zupełnie przy rozmnażaniu się istot jednokomórkowych.

Jeśli zatém śmierć określimy jako zakończenie życia indywidualnego z wyłączeniem materyi organizowanéj z obiegu życia, będziemy zmuszeni przyznać, iż właściwe zjawisko śmierci u organizmów jednokomórkowych nie istnieje. Uczeni niemieccy Bütschli i Weismann wypowiedzieli téż zdanie ogólne, że istoty jednokomórkowe są nieśmiertelne („die Unsterblichkeit der Einzelligen“), wielokomórkowe zaś śmiertelne.

Istota jednokomórkowa żyje pewien czas, dzieli się na dwie np. części, z których każda znów po pewnym czasie rozdziela się na dwie nowe i t. d., jedném słowem osobnik pierwotny żyje wiecznie w potomstwie swojém, coraz liczniejszém i liczniejszém, a w tym długim, ciągłym łańcuchu życia nic nie ginie, nic nie umiera.

Myliłby się atoli ten, co by przypuszczał, że organizmy jednokomórkowe nigdy nie umierają. Przeciwnie, całe ich miliardy giną w każdéj chwili, ale śmierć ich nie jest objawem normalnym, fizyologicznym, lecz jest zjawiskiem patologiczném, przypadkowém, wywołaném przez jakąś zmianę niekorzystną warunków zewnętrznych. Śmierć jednokomórkowych istot może np. nastąpić wskutek znacznéj i gwałtownéj zmiany temperatury, wskutek braku pokarmów i t. d., ale jest to, że tak powiem, śmierć sztuczna, przyczyna jéj nie leży w samych organizmach, jak to ma miejsce u istot wyższych, gdzie pomimo najlepszych warunków życia występuje starzenie się i śmierć, jako wynik saméj organizacyi.

Fakt, iż organizmy jednokomórkowe są nieśmiertelne, prowadzi do kilku filozoficznych wyników, rzucających piękne światło na życie organizmów wogóle. Aby uwydatnić je czytelnikowi, poproszę go najprzód o uprzytomnienie sobie kilku następujących faktów biologicznych.

Każdy organizm wyższy rozwija się, jak wiadomo, z komórki organicznéj, zwanéj jajkiem. Jajko (komórka żeńska) gdy zostaje zapłodnionem, czyli zlewa się z ciałkiem nasiennèm (komórką męską), ulega t. z. dzieleniu czyli segmentacyi. Rozpada się na dwie, cztery, ośm i stopniowo na coraz większą ilość komórek, ułożonych obok siebie, z początku zazwyczaj w kształcie kuli. Komórki te, pierwotnie jednakowe, ulegają różnicowaniu, układają się w tak zwane listki zarodkowe, z których powoli powstają zaczątki wszelkich organów zwierzęcia.

Otóż, jak wykazały nowsze poszukiwania prof. Maurycego Nussbauma, Weismanna, Grobbena i innych, pomiędzy komórkami, przedstawiającemi produkt podziału jajka, najsamprzód różnicują się komórki płciowe, t. j. elementy, które po dojrzeniu zwierzęcia dają znów życie potomstwu. W niektórych wypadkach elementy rozrodcze powstają wtedy, kiedy zwierzę jest już zupełnie prawie rozwinięte (np. u meduz), lecz to późne ich wystąpienie nie przeczy faktowi wczesnego fizyologicznego różnicowania się ich, albowiem ważne poszukiwania prof. Weismanna (1) wykazały, iż to opóźnienie się zależy tylko od tego, że cząsteczki protoplazmy elementów rozrodczych ukryte są w innych komórkach, z podziału jajka pochodzących i nieco późniéj dopiero gromadzą się w jedno wspólne miejsce, tworząc komórki rozrodcze. Fakta te posłużą nam do zrozumienia interesującego poglądu prof. Weismanna, dotyczącego stosunku zwierząt wyższych do niższych.

Dla wyjaśnienia sobie téj sprawy weźmy pod uwagę cztery organizmy: amebę, kolonialną formę, zwaną Magosphaera planula (Haeckel), wyższy nieco organizm, zwany Orthonectida i wreszcie jakąś wysoko uorganizowaną istotę, np. zwierzę ssące. Ameba przedstawia jedną komórkę organiczną, Magosphaera—luźny zbiór komórek, zupełnie jednakowych, wcale nie zróżnicowanych, Orthonectida—zbiór komórek, pomiędzy któremi nastąpił taki podział pracy, że zróżnicowały się komórki środkowe płciowe (wytwarzające potomstwo), otoczone przez warstwę mniejszych, zwanych somatycznemi (*soma*—ciało); wreszcie wysoko-uorganizowana istota, np. zwierzę ssące, przedstawia agregat licznych bardzo komórek, o bardzo

(1) A. Weismann. Die Entstehung der Sexualzellen bei d. Hydromedusen. 1882.

znacznym podziale pracy; znajdujemy tu komórki płciowe czyli rozrodcze (jajka lub ciałka nasienne), oraz somatyczne, zróżnicowane na nerwowe, mięśniowe, trawiące i t. d.

Przedstawiliśmy tu cztery typy coraz wyższéj organizacyi; rozumie się jednak, że można je połączyć całym szeregiem form pośrednich, które uwidoczniłyby powolny i stopniowy podział pracy i postęp organizacyi.

Otóż ameba zachowuje, jak wiemy, całkowitą ciągłość życia, osobnik dzieli się na potomne, te znów na potomne i tak daléj bez przerwy trwa łańcuch życia nieśmiertelnego. Organizm Magosphaera rozpada się na pojedyncze osobniki, z których każdy drogą dzielenia tworzy nową kolonią; te kolonie potomne znów się rozpadają na osobniki pojedyńcze i tak trwa daléj bez przerwy życie nieśmiertelne tych istot, w którém nic nie ginie. Organizm Magosphaera jest zatém kolonią nieśmiertelnych jak ameba komórek. W organizmie Orthonectida, przedstawiającym także kolonią, nie wszystkie komórki są nieśmiertelne, jak w Magosphaerze. Organizm taki składa się z licznych komórek płciowych i somatycznych. Płciowe są wiecznie żyjące, somatyczne zaś ulegają śmierci. A mianowicie, skoro organizm dochodzi do dojrzałego wieku, z elementów rozrodczych powstają drogą dzielenia nowe zbiory komórek, czyli kolonie potomne; pozostałe zaś komórki somatyczne kolonii macierzystéj mają byt doczesny i po pewnym czasie umierają. W organizmie zatém Orthonectidy widzimy ciągłość życia: komórki rozrodcze, dzieląc się, wytwarzają wprawdzie grupę komórek śmiertelnych, ale pośród nich nową znów komórkę płciową, zdolną do propagowania życia. Jednóm słowem w długim łańcuchu życiowym, komórki rozrodcze nie umierają, lecz jedne pokolenia wydają drugie, podobnie jak ameby. U ameby wszystkie osobniki są swobodne, tu zaś każde pokolenie nieśmiertelnych komórek rozrodczych otoczone jest doczesną powłoką somatycznych: równolegle zatém do nieśmiertelnego życia komórek rozrodczych żyją i umierają doczesne grupy somatycznych. Od organizmu Orthonectidy proste już przejście do wysoko uorganizowanych tworów. Weźmy np. zwierzę ssące. Z komórki jajowéj drogą dzielenia powstaje zarodek przyszłego zwierzęcia, a pomiędzy komórkami jego, jak to zaznaczyliśmy wyżéj, najwcześniéj prawie zjawiają się komórki płciowe, służące do propagowania życia gatunkowego. Organizm rozwija się, rośnie, odżywia, ilość komórek jego znacznie się powiększa, a wielka ta kolonia komórek przedstawia właściwie także agregat elementów płciowych i somatycznych. Płciowe, oddzielając się od organizmu, wytwarzają nowe osobniki, znów zawierające w sobie, nieśmiertelne elementy

płciowe. W taki sposób organizm wyższy jest agregatem zróżnicowanych somatycznych komórek doczesnych: nerwowych, mięśniowych, kostnych, zmysłowych itd. oraz płciowych, przenoszących życie z pokolenia na pokolenie, wiążących sobą materyalnie rodziców z dziećmi, stanowiących nieprzerwaną, wieczną drogę życia, na któréj, że się wyrażę obrazowo, z każdego pokolenia odpadają grupy śmiertelnéj materyi, jako masy komórek somatycznych, niby odpadki, wydzieliny wielkiéj fali życia. Posuwając się od organizmów niższych do wyższych, widzimy więc coraz większą przewagę masy ciała śmiertelnego (*soma*) nad materyą wiecznie żyjącą.

Większości czytelników znane jest zapewne t. z. prawo biogenetyczne, według którego rozwój embryonalny każdego organizmu, począwszy od jajka aż do formy rozwiniętéj, jest krótkiém powtórzeniem rozwoju rodowego danego gatunku, lub grupy danéj, do jakiéj organizm ten należy, czyli powtórzeniem kolejnych stanów i przemian istot organicznych od form najniższych do coraz wyższych, które stanowią odległych przodków tego gatunku lub grupy (1). Organizm każdy jest naprzód jajkiem, czyli istotą jednokomórkową, powtarza zatém przedewszystkiém stadyum jednokomórkowości istot organicznych. Jako jajko mniéj, lub więcéj zróżnicowane, odpowiada on tedy swobodnie żyjącym istotom jednokomórkowym, stojącym na najniższym szczeblu drabiny rozwojowéj.

Otóż, to podobieństwo biologiczne pomiędzy jajkiem zwierzęcém i istotami jednokomórkowemi staje się nader uderzającém, jeśli uwzględnimy poglądy powyższe. Wymoczek nie ulega śmierci, lecz dzieli się i tracąc indywidualność żyje wiecznie w potomstwie swojém; to samo dzieje się téż, jak widzieliśmy, z nieśmiertelnemi komórkami płciowemi, wiążącemi z sobą życie pokoleń.

Jeśli mówimy, że komórki płciowe organizmów wyższych są nieśmiertelne, nie znaczy to, aby wszystkie bez wyjątku przedłużały życie gatunkowe. Przeciwnie, tak samo jak organizmy jednokomórkowe pomimo wieczności ich życia, umierają śmiercią, jak powiedzieliśmy wyżéj przypadkową całemi milionami, podobnie téż giną miliony komórek rozrodczych. Z mnóstwa komórek, składających ikrę rybią, lub skrzek żabi, jakaż olbrzymia ilość ginie i przerywa falę życiową! Lecz śmierć ich, podobnie jak u wymoczków, jest zjawiskiem anormalném, patologiczném, życie zaś prawidłem.

---

(1) Czytelnik znajdzie bliższe wyjaśnienie prawa tego w broszurze mojéj p. t. „Rzut oka na dzieje i stanowisko nauki o rozwoju zwierząt.“ Odbitka z „Wszechświata,“ r. 1883.

Teraz zrozumié czytelnik zdanie, sformułowane przez profesora Weismanna, że istoty jednokomórkowe (Protozoa) są nieśmiertelne, wielokomórkowe zaś przedstawiają współżycie nieśmiertelnych elementów jednokomórkowych („Keimzellen“) ze śmiertelnemi, zastępującemi się kolejno, grupami wielokomórkowemi (Metazoa). Pojęcie ciągłości życia („Continuität des Lebens“) wszystkich organizmów, na którą przedtem już zwrócił uwagę genialny Johannes Müller w słynnym swym podręczniku fizyologii, ma wielką doniosłość filozoficzną. Każdy umierający śmiercią naturalną osobnik, należy uważać za zużyty i jakby zbyteczny produkt wielkiéj i wiecznéj nici życia, ciągnącéj się bez przerwy; jest on tylko ogniwem, przekazującém falę życiową z przodka swego na potomka.

Komórki płciowe, wiążące sobą bezpośrednio pokolenia, następujących po sobie osobników, odżywiane i ochraniane przez somatyczne komórki ciała tych ostatnich i zależne od nich fizyologicznie, ulegają nieznacznym i powolnym zmianom, odpowiadającym przemianom samych osobników, wystawionych na ciągłe i bezpośrednie wpływy zewnętrzne, oraz walkę o byt; cechy nowo nabyte przekazują się za pośrednictwem komórek płciowych osobnikom potomnym. W taki więc sposób fala życia bieży wiecznie i bez przerwy przy ciągłéj, powolnéj przemianie samych pokoleń.

W obec poglądów powyższych dotychczasowe nasze pojęcie osobnika staje się niezmiernie subjektywném. W rzeczywistości w naturze nie istnieje osobnik, jako całość zakończona sama w sobie; osobnik biologiczny jest to tylko przelotna, przejściowa, chwilowa postać, odwiecznie długiéj i nierozerwalną stanowiącéj całość, nici życiowéj.

— Spytajmy teraz, jak ze stanowiska teoryi ewolucyi wytłómaczyć sobie powstanie zjawiska śmierci u istot wielokomórkowych, czyli zamieranie pojedyńczych osobników w obec ciągłości życiowéj fali?

W rozwoju świata organicznego widzimy wciąż dwa wielkie współdziałające prawa: całkowania i różnicowania. Zasadą pierwszego jest wzmacnianie funkcyi przez powtarzanie się i liczebne powiększanie jednostek, pełniących czynności życiowe w danym organizmie, drugie polega na fizyologicznym podziale pracy pomiędzy temi jednostkami.

Prawem całkowania z organizmów jednokomórkowych wytworzyły się kolonie komórek; produkta podziału komórki macierzystéj zamiast rozbiegać się i tworzyć swobodne organizmy jednokomórkowe, pozostawały w związku wzajemnym, jednoczyły się w istotę

wielokomórkową. Tą drogą powstały agregaty jednakowych komórek organicznych.

Skoro w agregacie wstępują komórki w bardzo ścisły związek wzajemny, powstaje pomiędzy niemi fizyologiczny podział pracy, wywołany wprost przez zewnętrzne warunki życia oraz walkę o byt. Jedne z komórek rozwijają w sobie wrażliwość i czucie—elementy nerwowe, inne biorą na siebie rolę trawienia i roznoszenia pokarmu we wszystkie zakątki agregatu itd. Przystosowane do różnych funkcyi życiowych, w wysokim stopniu wyspecyalizowane fizyologicznie, komórki te nie mogą żyć samoistnie po za obrębem organizmu, a ogólna funkcya rozmnażania się coraz bardziéj w nich słabnie w miarę tego, jak potęgują się pewne specyalne, właściwe im czynności. Ale oto, prawem tego samego podziału pracy i *różnicowania się* komórek agregatu, niektóre z tych ostatnich nie biorą na siebie żadnéj specyalnéj nowéj funkcyi, lecz *zachowują bez zmiany właściwości komórki macierzystéj* (jajowéj), to jest, zdolność energicznego dzielenia się i wytwarzania nowego agregatu. Są to właśnie komórki płciowe.

Tak więc drogą fizyologicznego podziału pracy, w organizmie wielokomórkowym zróżnicowały się elementy rozrodcze, biorące na siebie wyłącznie rolę przenoszenia życia z pokolenia na pokolenie oraz komórki somatyczne, które pełnią różne specyalne funkcye życiowe i których ograniczona zdolność rozmnażania się warunkuje sobą ograniczony byt osobnika. Taki podział pracy wywołany został przez dobór naturalny, albowiem pozwalał somatycznym komórkom ciała osobników na coraz większe specyalizowanie się pod względem morfologicznym i fizyologicznym, a tém samém na coraz silniejsze różnicowanie się części organizmu i doskonalenie się osobników.

Zaznaczenie przez prof. Bütschli i Weismanna faktu nieśmiertelności jednokomórkowych organizmów wywołało w literaturze naukowéj spór ciekawy pomiędzy profesorem Aleksandrem Goette (1) i prof. Weismannem (2).

Kiedy jeszcze nie znaną mi była broszura prof. Goettego „O początku śmierci“, streszczając we „Wszechświecie“ (r. 1883) poglądy Weismanna, wypowiedziałem zdanie, iż trudno *a priori* przypuścić, by u istot jednokomórkowych, u których znajdujemy przecie początki wszelkich prawie funkcyi i objawów życiowych, właściwych zwie-

(1) Dr. A. Goette: „Ueber den Ursprung des Todes“ r. 1883.

(2) A. Weismann: „Ueber Leben und Tod.“ Patrz także „Biologische Centralblatt“ za r. 1884 i 1885.

rzętom wyższym, nie miało istnieć żadne zjawisko, analogiczne śmierci? Skoro niższy organizm jednokomórkowy pod tylu względami jest tylko znacznie uproszczoną istotą wyższą, skoro porusza się, odżywia, oddycha, wydziela, rozmnaża, dla czego nie miałby téż podlegać normalnemu zjawisku śmierci (sztucznéj bowiem, przypadkowéj, jak rzekliśmy, podlega)? Liczne objawy życiowe powstają u form niższych w postaci nadzwyczaj mało zróżnicowanych i słabo wyrażonych czynności, potęgujących się stopniowo u zwierząt coraz wyższych. Czyż-by zatém pierwsze, najsłabiéj chociażby wyrażone, ślady śmierci, tak ogólnego i powszechnego w świecie organicznym zjawiska, nie miały istnieć zupełnie u istot niższych? Pytanie takie mimowoli nasunąć się musi każdemu biologowi, wierzącemu w powolny i stopniowy rozwój świata organicznego. Otóż, myśli podobne wypowiedział téż prof. Goette w wyżéj wspomnianéj broszurze. Ale jakkolwiek w ogólném na tę sprawę zapatrywaniu należy się z nim zgodzić najzupełniéj, to jednak nie podobna przystać na pogląd jego co do kwestyi, gdzie mianowicie szukać należy pierwszych śladów śmierci u pierwotniaków?

Rozpatrzmy w krótkości rozumowania tego uczonego.

U istot jednokomórkowych, np. u wymoczków i wielu korzenionóżek, znane jest, bardzo powszechne u nich, zjawisko t. z. encystacyi. Polega ono na tém, że organizm w pewnym, nieoznaczonym okresie życia wydziela na powierzchni ciała swego mniéj, lub więcéj grubą błonę, czyli cystę, wewnątrz któréj pozostaje przez pewien czas szczelnie zamknięty, jakby w stanie letargicznym nie przyjmując pokarmu i nie poruszając się. Dany osobnik traci wtedy zazwyczaj dotychczasową swoją specyficzną organizacyą, staje się „jednorodną masą“ i przedstawia, jak powiada Goette, zarodek („Keim“), z którego znów żywy powstaje osobnik. Otóż, według Goettego ten stan letargiczny, oddzielający sobą dwa życia i przedstawiający jakoby „martwą substancyą organiczną“ jest najprostszym, najpierwotniejszym objawem śmierci istot jednokomórkowych.

Istnieje tu zatém śmierć, lecz tylko czasowa, powodująca odmłodnienie („Verjüngung“) danego osobnika. Na pogląd Goettego nie podobna się jednak zgodzić.

Przedewszystkiém bowiem wewnątrz cysty nie znajduje się martwa substancya organiczna; wprawdzie ustają w niéj *widoczne* objawy życiowe, jak ruch lub przyjmowanie pokarmu, tém nie mniéj jednak życie nie uszło z niéj zupełnie, jest ono tylko utajoném, ukrytém, jest w stanie, że tak powiem, energii napiętéj, która po pewnym czasie przechodzi znów w kinetyczną. Gdyby substancya ta była martwą, ulegałaby rozkładowi i nie mogła by odżyć napowrót.

Większość uczonych uważa encystascyą, jako specyalne przystosowanie życiowe, mające znaczenie ochronne; zabezpiecza ono organizm od wysychania, od zmian temperatury itd.; w wielu razach organizm encystuje się, gdy przyjął bardzo obfity pokarm; encystacya i związany z tém spokój, pomaga wtedy lepszéj assymilacyi pokarmów. W niektórych razach otaczanie się cystą przedstawia inny jeszcze objaw przystosowania. Profesor Grube opowiada np., że w zatoce Genueńskiéj obserwował wymoczka, który miał zwyczaj nagłego encystowania się na szybko pływających raczkach wiosłonogich. Okazało się, że w tym wypadku korzyść z encystowania się polegała na możności szybszego wędrowania. Jeśli przy encystowaniu się organizacya do pewnego stopnia zanika, to polega to tylko na dążności do oszczędzania przestrzeni i wciągają się niby nóżki, zanikają zbiorniki wodne itd. Zresztą znane są wypadki, że zwierzę wewnątrz cysty zachowuje w zupełności budowę swoją (np. u wymoczka *Tillina magna*, według Grubera). Jedném słowem, proces encystacyi nic nie ma wspólnego ze śmiercią; jest to tylko czasowe osłabienie procesów życiowych, jest to tylko, jak powiada Weismann, śmierć pozorna („Scheintod“), ale nigdy nie rzeczywista, bo niema tu martwego ciała, niema trupa.

Jeśli jednak z jednéj strony u istot wielokomórkowych następuje pomiędzy komórkami zróżnicowanie się na elementy somatyczne i rozrodcze, a wpośród samych komórek somatycznych pewne grupy biorą na siebie pewne specyalne funkcye, z drugiéj zaś strony jeśli u wielu ustrojów jednokomórkowych pewne części komórki przystosowują się do pewnych czynności (np. u wymoczków, gdzie odróżniamy dosyć znaczną specyalizacyę części w komórce), to czyby nie należało przypuścić, że i pod względem zjawiska śmierci pewne części ustroju jednokomórkowego żyją wiecznie, inne zaś—tylko życiem indywidualném osobnika. Zbierając odpowiednie materyały w celu wyjaśnienia sobie tego pytania, doszedłem do wniosku, że rzeczywiście w pewnych przynajmniéj wypadkach, części organizmu istot jednokomórkowych podlegają śmierci, powracając na łono materyi nieożywionéj.

I tak u wielu organizmów jednokomórkowych, np. u wymoczków, istnieje zjawisko t. z. koniugacyi, czyli sprzężenia, polegające na częściowém zlewaniu się i następném rozchodzeniu dwóch osobników, z których każdy ulega potém energicznemu rozmnażaniu się drogą dzielenia. To sprzężenie, podczas którego odbywa się wzajemna wymiana materyi obu istot, ma, zdaje się, na celu ogólne podniesienie ich działalności życiowéj. Odbywa się ono co pewien, nieokreślony przeciąg czasu, a po każdém ma miejsce przyśpieszone

rozmnażanie się. Każdemu takiemu sprzężeniu towarzyszy zazwyczaj ciekawy fakt, iż znaczne części jąder i jąderek, koniugujących z sobą, osobników, występują na zewnątrz ciała i *wyłączone z cyklu życiowego*, ulegają rozkładowi. Podobnie też u innych organizmów jednokomórkowych, np. u t. z. Gregarinidae, przy rozmnażaniu się pozostaje pewna martwa część protoplazmy komórki. Faktom takim należy, zdaje mi się, daleko większe nadawać znaczenie, aniżeli to dotąd czyniono, gdyż w tych właśnie zjawiskach dopatrzéć się możemy pierwszych, że tak powiem, przebłysków naturalnego umierania materyi organizowanéj.

Profesor Weismann, któremu zwróciłem uwagę na okoliczności powyższe, wyraził mi listownie następujące w tym względzie zapatrywania: „Rzeczywiście zupełnie jest słusznem, iż zjawisko śmierci, podobnie jak wszelki inny objaw nowy, nie mogło wystąpić *nagle* i bezpośrednio w ciągu rozwoju rodowego. Nie podobna tego przypuścić. Upatruję też łącznik zjawiska tego z jednéj strony w przykładzie, dotyczącym Gregarinidów, z drugiéj zaś w tém, że u niższych istot wielokomórkowych *soma* (śmiertelne komórki ciała), rozwinięta jest jeszcze bardzo mało i dopiero u wyższych organizmów przewyższa znacznie masą swą komórki rozrodcze. Sądzę atoli, że należy ściśle odróżniać umieranie części... od śmierci fizyologicznéj całego ciała, a pojęcie śmierci naturalnéj stosuje się właśnie do całéj indywidualności.“ Otóż, co do tego ostatniego punktu nie mogę się z Weismannem zgodzić. Pojęcie osobowości biologicznéj jest, jak wiadomo, bardzo względne; odróżniamy całą hierarchią osobników coraz wyższych: komórka jest osobnikiem biologicznym; organizm wielokomórkowy, np. polip jest także osobnikiem, ale wyższym, bo złożonym już z komórek; kolonia zaś polipów sama w sobie przedstawia również osobnik biologiczny, jeszcze wyższego rzędu. Cała kwestya sprowadza się więc do tego, czy rzeczywiście komórka organiczna jest najprostszym osobnikiem biologicznym, czy jest zbiorem pewnych niższych jednostek, podobnie jak polip jest zbiorem komórek?

Prof. Naegeli (1) w swéj nowéj „Mechaniczno-fizyologicznéj teoryi“ rozwoju starał się dowieść, że organizm najprostszy np. monera, stanowiąca wprost kłaczek zarodzi, przedstawia już właściwie dosyć wysoki i złożony organizm na drabinie rozwoju, jest bowiem zbiorem wielkiéj ilości najprostszych, *elementarnych jednostek biologicznych* t. zw. *micellów*, przedstawiających kompleks pewnéj ilości

(1) Prof. C. Naegeli: Mechanisch-Physiologische Theorie der Abstammungslehre. 1884 r.

fizycznych już cząsteczek (Moleküle) białka. Protoplazma jest zbiorem micellów, odpowiednio ułożonych; różny kształt, wielkość i ugrupowanie ich—wytwarzają liczne kombinacye, stanowiące o fizyologicznych i morfologicznych właściwościach różnych istot żywych.

Micelle pozostają w takim stosunku do protoplazmy komórek, w jakim komórki do organizmu wielokomórkowego. Jeśli zatém pomiędzy komórkami organizmu różnicują się jednostki śmiertelne (soma) i nieśmiertelne, dlaczegóż by więc pomiędzy micellami komórki nie miały téż występować grupy, utrzymujące ciągłość życia gatunkowego (być może, idioplazma Naegelego), oraz pewne grupy protoplazmy odżywczéj, mającéj tylko znaczenie dla życia osobnikowego komórek? Nie idzie zatém, by to zjawisko było powszechne u pierwotniaków; owszem, większość ich jest zapewne całkowicie nieśmiertelna, u niektórych atoli, wyższych nieco istot jednokomórkowych różnicują się stopniowo śmiertelne grupy micellów.

W miarę ciągłego rozwoju, w miarę stopniowego całkowania i różnicowania się organizmów, oraz bezustannego działania doboru naturalnego— coraz jawniéj i wyraźniéj występowała śmierć somatycznych jednostek, w przeciwstawieniu do ciągłości życia komórek rozrodczych!

Badanie odwiecznych praw przyrody doprowadza nas nieraz do niespodziewanych wniosków. Śmierć, tak okrutna dla jednostek, z tak nieubłaganą siłą wyrywająca istoty najdroższe sercu naszemu... jest jako zjawisko naturalne niczém inném, jeno najlepszém przystosowaniem, umożliwiającém *wieczne życie* i bezustanne *doskonalenie* się świata organicznego!

Józef Nusbaum.

PRZYCZYNEK DO KRYTYKI
STATYSTYKI WSPÓŁCZESNEJ.

(*Dokończenie*).

Weźmy dwie kategorye robotników, np. cieśli i mularzy. Przypuśćmy, iż ongi zarabiali oni jednakowo zupełnie po 24 szyl. tygodniowo; dziś zarobek pierwszych wzrósł o 12 sz., zarobek ostatnich—o 5 szyl. Pierwszych niech będzie 9.000, drugich—1.000. Z powyższych danych ułożyć możemy taką tablicę:

Zajęcie	Ilość	Zarobek poprzedni		Zarobek obecny		Przyrost		
						Absolutny		Odsetny
		szyl.	pen.	szyl.	pen.	szyl.	pen.	
Cieśle	9,000	24	—	36	—	12	—	50
Mularze.	1,000	24	—	29	—	5	—	20

Gdyby się nas zapytano o polepszenie się losu cieśli i mularzy, posługując się giffenowską logiką, odpowiedzielibyśmy poprostu: Położenie ich polepszyło się o 35%, gdyż (50 + 20) : 2 = 35, a Giffen na ilość ich nie zwraca uwagi. Widocznem jest wszakże iż taki mianowicie rezultat jest mylnym. Całkowity zarobek cieśli poprzednio równał się 216,000 szyl., a całkowity zarobek mularzy = 24,000 szylingów. Dzisiaj zarobek pierwszych równa się 324,000 sz., drugich—29,000 sz. W rezultacie całkowity zarobek dzisiejszy (353,000 sz.) przewyższa całkowity zarobek dawniejszych (240,000 szyl.) o 113,000 sz., co stanowi 48 od sta. Jedynie tylko przyjęcie pod uwagę ilości robotników każdéj kategoryi spowodowało tę różnicę, iż w miejscu 35% otrzymaliśmy teraz 48%.—Zwróćmy jeszcze i na to uwagę, że zarobki, któreśmy wzięli, nie bardzo różniły się od siebie. Porównajmy zaś odpowiedź jaką nam dałby Giffen w tym np. razie: Mamy 1,000 robotników, co zarabiali niegdyś 8 sz. 3 pensy tygodniowo, a dziś

zarabiają 20 sz. 6 pens., tj. o 150% więcéj i. z drugiéj strony, 9,000 takich. co zarabiali ongi 24 sz., dziś zaś 29, czyli o 20% więcéj;—a przekonamy się, że rozminie się z prawdą o całe *sześćdziesiąt*. Według niego wypada 85% gdyż (150 + 20) : 20 = 85. w rzeczywistości zaś jest tylko 25%, tj. dochód robotników powiększył się o jedną czwartą, a nie o 85%.

Tylko co mówiliśmy, że z materyału zgromadzonego w pierwszych tablicach niepodobna wyciągnąć żadnego wniosku *ogólniejszéj* natury, gdyż pominięte są np. ilościowe stosunki; teraz dodać możemy, że *pominięte są* również *niektóre kategorye*.

Wallace w swojém „*Land Nationalisation*“ powiada:—„Oficyalnie liczy się w Zjednoczoném królestwie około 1,000,000 biédnych, w saméj rzeczy jednak ludzi, pozostających ciągle nad przepaścią nędzy, liczyć można 4,500,000!..“ A iluż to między tymi czterema z górą milionami należy właśnie do bezroboczego proletaryatu, do rezerwowéj armii kapitalistycznéj produkcyi, do pozbawionych a wyczekujących pracy robotników!.. Nie mamy dostatecznéj ilości danych, by sądzić o téj liczbie i o jéj zmianach, ale wiele faktów świadczy na korzyść ciągłego jéj wzrostu.

Mógłby nam jednak ktoś zarzucić, że urzędowe dane statystyczne przeczą temu twierdzeniu. Między innymi takiego jest właśnie zdania p. Leroy-Beaulieu.

Na str. 431 dzieła swego *Essai sur la répartition des richesses*, (wyd. 1881 r. Paryż), przytacza następującą tablicę co do liczby biédnych w Anglii.

Lata	Ilość biédnych			Ludność Anglii w milionach
	wspieranych w workhouse'ach	w domu	w sumie	
1849	119375	815044	934419	17.5
1850	118559	801984	920543	17.7
1853	104126	694636	798822	18.4
1856	125597	752870	877767	19
1859	123305	737165	860470	19.7
1862	143191	802975	946166	20.3
1865	138119	833314	971433	21
1868	158723	876100	1034823	21.8
1871	165289	916637	1081926	22.7
1874	149558	679723	829281	23.6
1877	157191	571159	728350	24.5
1878	166875	575828	742703	24.8

Ażeby tablicę tę skrócić cokolwiek, wynotowaliśmy oprócz pierwszego i ostatniego roku, tylko dane co trzy lata. Od r. 1849 do

1878, gdy ludność podniosła się aż o 30%, ilość biednych spadła o 20%. Czy istotnie z cyfr powyższych można wyprowadzić wniosek podobny, kiedy w r. 1863 ilość biednych podniosła się do 1,142,624, w r. 1863 do 1,039,549, a tak niedawno jeszcze, bo w r. 1870 do 1,079,926; czy z danych tych, powtarzamy, można wyciągnąć wniosek o stanowczém zmniejszaniu się pauperyzmu, niech sądzi sam czytelnik. A potém, czyż z ilości biednych, wspieranych oficyalnie można wnosić o pauperyzmie w ogóle? Już to samo, że dane, któremi się posługiwał Leroy-Beaulieu doprowadziły go do sprzecznych z rzeczywistością rezultatów, służyć może dostateczną rękojmią, iż cyfry powyższe nie są wystarczającemi. Według niego, stosunek biédnych do ludności jest taki mianowicie: w Irlandyi na 100 wypada 1.59, w Szkocyi—2.7, w Anglii zaś 2.33 biédnych. Mowa tu o roku 1877. Otóż w rzeczywistości sprawa przedstawia się wprost przeciwnie; w Anglii biédnych stosunkowo jest najmniéj, w Irlandyi najwięcéj, o czém sam Leroy-Beaulieu wspomina. Samo stopniowe wyludnianie Irlandyi—nie mówiąc już o znaném całemu światu wyjątkowo nędzném położeniu robotnika irlandzkiego, dostatecznym tego dowodem: ośmiomilionowa ludność z r. 1841, w dziesięć lat spadła do 6.5 milionów, w r. 1861—do 5.8 milion., a w 1866—do 5.5 milion.! Co do Szkocyi możnaby Giffenowi przytoczyć słowa tego samego Caird'a, na którego pracy (*The Landed Interest and the Supply of Food*) opierał on optymistyczne swe wywody co do polepszenia się dobrobytu robotników rolnych. Nie mamy pod ręką oryginału, ale oto krótki z niéj wyciąg, który znajdujemy u Maxa Schippel'a w niemieckiém tłómaczeniu: „Trzecia część ludności żyje w ten sposób, że cała rodzina mieści się w jednym pokoju; druga część zamieszkuje dwa pokoje z całą rodziną. (*Zwei Drittel des ganzen Volkes leben demnach unter Verhältnissen, die mit Bequemlichkeit und Anstand*, *wie man sie heute versteht*, *unverträglich sind*).“ Zresztą nie będziemy kontynuować argumentacyi na korzyść twierdzenia, które jest słuszném i dla Leroy-Beaulieu (str. 437), chociaż cyframi dowiódł on czego innego; zwrócimy tylko raz jeszcze uwagę czytelnika, że z cyfr tych niepodobna wyciągać wniosków ogólniejszéj natury. Sam Leroy-Beaulieu wspomina, iż oprócz biédnych wspieranych przez państwo, są inni jeszcze, co do których niema dokładnych danych. Dlaczegóż w takim razie wnioski swe rozciąga na wszystkich jednocześnie?

Z dwóch kategoryj: biédnych wspieranych oficyalnie i nie wspieranych—robotnik pozbawiony czasowo roboty należy prędzéj do drugiéj. Workhouse'y są przytułkami dla starców, zniedołężniałych, kaleków, ale nie dla jednostek, wyrzuconych na bruk w czasie przesilenia, pozbawionych zarobku wskutek przymusowego bez-

robocia itd. W danym zaś razie chodzi nam przeważnie o tych ostatnich; tymczasem wywody Leroy-Beaulieu nie stosują się do nich wcale.

W kwestyi wzrastania ilości niezajętych sił roboczych rzucą nam nieco światła poniżéj zgromadzone dane. Czerpiemy je z Maxa Schippel'a (*Das moderne Elend und die moderne Uebervölkerung*. Leipzig. 1883).

Dowodząc, iż produkcya angielska prowadzi się z coraz mniejszą ilością rąk roboczych, na poparcie swego zdania przytacza on rozmaite argumenty, z których wybieramy kilka:

Ilość robotników w rozmaitych gałęziach produkcyi w r. 1861 i 1871:

	1861 r.	1871 r.
W rolnictwie . . .	2,010,454	1,657,137
W przem. jedwabnym	117,989	82,053
„ wełnianym	130,034	128,464
Przędzenie lnu . . .	22,050	17,993
Koronkarstwo . . .	53,987	49,370
Drukarstwo na perkalu i płótnie . . .	12,556	9,860
Farbierstwo	4,772	2,322
Guzikarstwo	6,644	5,811
Pończosznictwo . . .	45,869	42,038
Powroźnictwo . . .	11,762	10,294
Szewctwo	250,581	223,365
Szmuklerstwo . .	10,598	8,670
Rękawicznictwo . .	22,271	15,217
Młynarstwo . . .	31,689	29,720
Słodownictwo . .	10,677	10,274
Przerabianie prod. zwierzęcych . .	12,040	11,134
Tracze	31,635	27,949
Ceglarze	39,620	38,779
Garncarze	2,665	2,389
Gwoździarze . . .	26,130	23,231
Modelarze	8,218	7,538
Mosiężnicy	9,733	5,758
Usługa na żegludze rzecznéj . . .	31,221	29,487
„ „ morskiej	94,665	94,370
Robotnicy w portach i dokach . . .	32,450	28,740
Razem	3,030,000	2,562,000

Gdyby ilość robotników rosła proporcyonalnie do wzrastającéj ludności, w r. 1871 liczba ich—powiada autor—powinna by się podnieść do 3.430,000; tymczasem spadła ona do 2,562,000, to jest o 868.000, czyli o 30 prawie procent. Co prawda, w tym samym okresie, wzrosła liczba robotników w przemyśle żelaznym, na fabrykach maszyn, narzędzi rolniczych, ale cóż to za wzrost! Gdy w r. 1861 liczba ta wynosiła 399,498, w r. 1871 podniosła się do 491,341, to jest o 91,843. Natomiast w przemyśle bawełnianym z 563,014 spadła na 562,015, a biorąc pod uwagę mężczyzn samych—jeszcze bardziéj, bo ze 156,000 na 144,000. Gdy na fabrykach bawełnianych od roku 1861 do 1875 liczba warsztatów tkackich podniosła się z 339,992 na 463,118, liczba tkaczy spadła z 166,209 na 163,632. Tymczasem, cóż to za olbrzymi wzrost produkcyi zanotować trzeba w tym samym okresie! Gdy w r. 1860 produkcya żelaza wynosiła 3,826,752 tonny, w 1871 prawie dwa razy tyle, bo 6,627,462; gdy produkcya bawełniana wynosiła 959 miljonów funtów w r. 1861, w 1871 podskoczyła do 1416 miljonów funt., a produkcya wełniana w tym samym okresie podwoiła się, mianowicie z 93 milionów funt. podskoczyła do 188 (*Statistical Abstract for the United Kingdom*).

W Lancashire, Cheshire i Yorkshire, okręgu liczącym 570 fabryk tkackich, w okresie od 1860 do 1865 r. stosunki zmieniły się w sposób następujący:

	1861 r.	1865 r.
Warsztaty tkackie parowe	85,622	95,163
Wrzeciona	6,819,146	7,025,031
Siła maszyn parowych w koniach parow.	27,439	28.925
„ kół wodnych w koniach parowych	1,390	1,445
Ilość osób zajętych	**94,119**	**88,913**

Tablicę tę przytaczamy, jako typową. Gdy ilość warsztatów wzrosła o 11%, ilość wrzecion o 3%, ilość koni parowych o 5%, ilość ludzi pracujących na fabrykach spadła o 5.5%!

Przejdźmy jeszcze do przemysłu górniczego. Przytoczone cyfry dotyczą okresu późniejszego.

	Eksploat węgla w tonnach		Ilość robotników zajętych
1874	140.713,832	. . . .	538,829
1875	147,700,313	. . . .	535,845
1876	148,989,385	. . . .	514,532
1877	148,846,260	. . . .	494,391
1878	145,798,138	. . . .	475,329
1879 (Rok zmowy)	145,366,369	. . . .	476,810
1880	161,466,739	. . . .	484,933

Przyjrzyjmy się teraz zmianie stosunków w tym samym mniéj więcéj okresie, w jednéj z najbardziéj rozległych gałęzi przemysłu angielskiego. Leone Levi (*The History of British Commerce and of the Economic Progress of the British Nation 1763—1878*. London, 1880 str. 551) daje nam obraz téj zmiany:

	Fabryki		Wrzeciona		Ilość osób zatrudnionych	
	1871	1878	1871	1878	1871	1878
Bawełna . .	2665	2674	37515772	39527920	479515	482903
Wełna . . .	2572	2425	5348351	5433827	276702	265269
Len	449	400	1473800	1264766	128459	108806
Jedwab . .	878	706	1114703	842538	45559	40985
	6564	6205	45452626	47069651	930235	897963

Widzimy tu znowu wzrost produkcyi (mniejsza ilość fabryk pochodzi z ich koncentracyi) i zmniejszenie ilości rąk zajętych, a tymczasem ludność w tym samym okresie wzrosła o 10%. Gdyby nawet ilość robotników pozostawała taką samą, nie spadała wcale,— wobec wzrostu ludności, któremu z konieczności rzeczy towarzyszy liczebny przyrost sił robotniczych, zapytaćbyśmy się musieli, co

się z niemi robi, gdzie się podziewają; o odpływie ich bowiem ku innym gałęziom pracy (1), w danym razie najmniéj może być mowy, ponieważ górnictwo, przędzenie i tkactwo rozwijają się bardziej od nich i więcéj zdaje się powinnyby sił absorbować. Ale tu są inne przyczyny, bezpośrednio związane z samym systemem obecnéj produkcyi. Reasumując wszystko, cośmy przytoczyli w kwestyi pauperyzmu, powiedzieć można, iż względne przeludnienie, albo inaczéj—nadmierna ludność, wytwór naturalny obecnych warunków ekonomicznych, jest właśnie tym gruntem, na którym pauperyzm pleni się. Miejsce ludzi zajmują maszyny, miejsce robotników dorosłych—dzieci, miejsce mężczyzn—kobiety, a wszystkim im razem odbierają chléb peryodyczne kryzysy, stwarzając coraz bardziéj wzrastającą „armię rezerwową“ robotników, jak ją nazwał Marks.

W obec istnienia takiéj rezerwowéj armii, wobec jéj wzrastania, należałoby wprowadzić do ogólnych rachunków nową tę kategoryę, nie już cieśli, nie mularzy, ani tkaczy, ani téż przędzarzy, ale... poprostu... „kategoryę próżnujących.“

Tymczasem dla ilustracyi wprowadźmy w saméj rzeczy do rachunków Giffena tę kategoryę, do trzydziestu kategoryj „sytych“— jednę kategoryę „głodnych brzuchów.“ Zobaczymy wtedy, ile téż odbiorą one pierwszym. Przeciętna odsetnego przyrostu zarobków tablicy III-éj, jakeśmy to już mówili, równa się $73 = 1171 : 16$. Dodawszy jeden rząd, w którym przedstawimy obniżkę zarobku do zera, jakimkolwiekby on był przedtém, to jest zanotujemy obniżkę o 100% (przedtem był np. 10 ,15, 20 szylingów tygodniowo, teraz— równa się 0; we wszystkich tych wypadkach zniżenie zarobku wynosi 100%),—w miejsce 73% otrzymany tylko 63%, gdyż $(1171-100) : 17 = 63$. Łącząc zaś tę przeciętną z takąż tablicy IV-éj i odestnym przyrostem zarobku robotników rolnych, będziemy mieli w rezultacie 58% $\left(\frac{63+52+60}{3} = 58\right)$ zamiast 65%, albo oznaczając przyrost granicami, w których się waha, 50% do 66% Możemy jeszcze w ten sposób dokonać tegoż samego rachunku:—Suma odsetnego przyrostu zarobków tablicy III-éj równa się 1171, takaż suma tablicy IV-éj równa się 681, dodając do tego odsetny przyrost zarobków rolnych, mamy ogółem 1,912; odpowiednich zaś kategoryj—30 (tabl. III—16, tabl. IV—13 i jedna kateg. zarob. roln.). Nowowprowadzona kategorya armii rezerwowéj obniża sumę odsetek o całe sto; zamiast zaś

---

(1) O czém łatwo przekonać się możemy z dzieł Ernsta Engla: „*Das Zeitalter de Dampfes in technisch-statistischen Beleuchtung.*“ Berlin, 1881 i „*Zur Statistik der Dampfkessel und Dampfmaschinen in allen Ländern der Erde.* Berlin. 1874.

30, mamy obecnie 31 kategoryi. Tysiąc osiemset dwanaście (1912—100=1812) podzielone przez 31 daje nam 58—zupełnie tak jak poprzednio. Dodajmy, że kategoryi téj „wyjątkową“ nazwać nie można.

Jedna więc „głodna gęba“ pozbawia trzydzieści „sytych“—7% (65—58=7) ich dochodu. Mówiąc inaczéj, jeśli przypuścimy, że trzydziesta tylko część zwykłego dnia roboczego opłaconą nie jest (w skutek np. bezrobocia), zarobek rzeczywisty, *w danym razie* (1), spada o 7 procent. Trzeba bowiem odróżniać zarobek „nominalny“ od „rzeczywistego.“ „Nominalny“ w danym wypadku będzie zawsze ten sam, czy się pracuje rok cały, czy téż pół roku, czy nawet jeden tylko tydzień na całych pięćdziesiąt dwa tygodni; ale zarobek rzeczywisty—to rzecz inna.

Tyle co do saméj metody; przynajmniéj na tymczasem.

Zanim przejdziemy do artykułów konsumpcyi, chcielibyśmy zwrócić uwagę na specyalny dobór materyału, jaki spotykamy u Giffena.

Nie mówiąc już o pierwszych tablicach, w których wykazaliśmy istotnie wyjątkowe kategorye, sprawdzimy jeszcze tablicę IV-tą.

Posługując się statystyką Porter'a na każdym kroku, w danéj chwili p. Giffen zapomina o niéj zupełnie. Bierze on cyfry z r. 1850, podczas gdy u Portera znajdujemy z r. 1832, t. j. właśnie z daty najodpowiedniejszéj, gdyż wnioski autora dotyczą pięćdziesięcioletniego okresu.

Oto dane z Portera (*The Progress of the Nation in its various social and economical relations from the beginning of the nineteenth century to the present time.* London 1838, t. II, p. 253):

Zarobki marynarzy w roku 1832 w Anglii.

American Trade	60	szyl. miesięcznie
Baltic Trade	60	„ „
Coal Trade to London (od podróży) .	65*	„ „

* *Uwaga.* Wyjątkowo 65 sz., ponieważ na długo przedtém i ciągle późniéj zarobek ten wynosił 70 szylingów.

Jakaż różnica z zarobkami podanymi przez Giffena, a odnoszącemi się do 1850 r. Co prawda, ponieważ zarobki marynarzy różnią

(1) Cyfrowe te rezultaty stosują się tylko do danego wypadku. Nie moglibyśmy np. powiedzieć, że wprowadzenie jednéj kategoryi robotników „bez pracy“ obniży zawsze stopę przyrostu o 7%, ale z tego tylko wnosimy o znaczeniu jéj przy ogólnych rachunkach.

się znacznie, stosownie do ich zajęcia, nie możemy protestować przeciw samym tym cyfrom (patrz tab. IV, średni zarobek 47 sz.), — ale protestujemy przeciw ich zestawianiu z zarobkami marynarzy prawdopodobnie innéj kategoryi. W ten sposób postępując, można byłoby również nietylko nie otrzymać żadnego przyrostu zarobków, ale olbrzymią ich obniżkę, gdybyśmy tego chcieli. Niech nam wolno będzie przytoczyć w téj samej kwestyi kilka danych z Younga (*Labor in Europe and America* (1). Washington. 1876, p. 278):

Zarobki marynarzy w ostatnich czasach w Anglii.

Port Hull	1-sza kategorya	(A. B. Seamen)	zarabia	od	58 szyl.	do	96	miesięcznie
	2-ga „	(Ordinary seamen)	„	„	38 „	„	96	„
Port Dundee	1-sza „	. . . .	„	„	58 „	„	68	„
	2-ga „	. . . .	„	„	10 „	„	48	„

Otóż, gdy pierwsza kategorya zarabia przecięciowo 70 szylin. $\left(\frac{58 + 96 + 58 + 68}{4}\right)$, jak tego chce Giffen (tabl. IV, kol. 3), — druga zarabia 47 szyl., t. j. tyleż, co i marynarze z 1850 r. przytoczeni przez niego tamże (kol. 2, ob. str. 364).

Nie wątpimy, że zarobek istotnie podnieść się musiał, chociaż nie w takim, jak Giffen powiada, stosunku; wreszcie porównanie danych Portera i Younga daje nam o nim pojęcie,—ale widzimy i tutaj celowe, świadome dobieranie materyału, by poprzéć nim z góry powzięte założenie.

Jak mylną jest stopa przyrostu zarobków tablicy III, tak również mylną jest stopa tab. IV i przyrostu zarobków rolnych, o czém przekonają nas dane poniżéj przytoczone.

Opierać się będziemy na źródłach kilkakrotnie już cytowanych i paru nowych.

Zarobki rolne przedstawiają się w ten sposób:

---

(1) *Special report on the rate of wages, the cost of subsistence and the condition of the working classes in Great-Britain. Germany, France, Belgium and other countries of Europe; also in the United States and British America*, by Edward Young, chief of the United States' Bureau of Statistics. 1 v., gr. in 8°, p. 840.

W *Irlandyi* według *Journal of the Statistical Society of London*, March, 1870.

Miejscowość	Dziennie								Tygodniowo							
	Zarobek i utrzymanie				Zarobek bez utrzymania				Zarobek i utrzymanie				Zarobek bez utrzymania			
	od		do		od		do		od		do		od		do	
	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.
Cork Limerick, Waterford .	0	24	0	61	—	—	0	97	0	73	1	46	1	70	2	43
Antrim, Armagh, Down, Londonderry, Tyrone. .	—	—	—	—	—	—	—	—	0	50	1	00	—	—	—	—
Dublin, Wicklow, Kildare .	—	—	0	85*	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Meath, Queens, Wexford .	—	—	0	33	—	—	—	—	—	—	0	97	—	—	1	70
Louth, Cavan, Down. . .	0	17	0	24	0	24	0	49	—	—	1	46	1	20	2	43
Kings, Longford, Roscommon	—	—	—	—	0	24	0	37	—	—	1	56	1	40	1	92
Westmeath	0	37	0	85*	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Donegal, Fermanagh . . .	—	—	—	—	0	30	0	61	—	—	—	—	—	—	—	—
Clare Galway, Kerry, Limerick.	—	—	—	—	0	37	0	49	—	—	—	—	—	—	—	—
Cork	—	—	—	—	0	33	0	47	—	—	1	96	1	70	2	43
Carlow, Cork, Tipperary .	0	37	0	50*	—	—	0	35	—	—	1	22	—	—	1	83
Leitrim, Mayo, Roscommon	0	37	0	50	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	46
Sligo zimą	0	22	0	25	—	—	—	—	—	—	1	22	—	—	—	—
Sligo latem	0	25	0	37	—	—	—	—	—	—	2	93*	—	—	—	—

* *Uwaga.* Cyfry, przy których stoją gwiazdki, oznaczają zarobki wyjątkowo wysokie, podczas żniwa.

Tablica ta jednak nie dałaby nam dokładnego o rzeczy pojęcia, gdybyśmy jéj nie uzupełnili notatką, zawierającą całoroczne zarobki, a z któréj wypada, że robotnik wcale nie przez cały czas otrzymuje powyżéj wypisane tygodniowe zarobki. Oto ta tablica:

Miejscowość	Zarobek roczny i utrzyman. od		Zarobek roczny i utrzyman. do	
	dol.	cen.	dol.	cen.
Cork, Limerick, Waterford	38	93	48	67
Antrim, Armagh, Down, Londonderry, Tyrone	24	33	48	67
Kings, Longford, Roscommon	—	—	38	93
Donegal, Fermanagh	48	67	73	00
Cork	58	37	68	10
Carlow, Cork, Tipperary	—	—	50	18
Leitrim, Mayo, Roscommon	38	93	48	67
Sligo	38	93	48	67

Od pierwszego wiersza widzimy już różnicę, wynikającą z tego, że robotnik wiejski nie zarabia okrągły rok zanotowanéj poprzednio tygodniowéj sumy, gdyż w takim razie zarobek całoroczny wahałby się w granicach od 38 dolarów do 76, a nie do 48 dol. 67 cen. Mniejsza jednak o to. Rachujmy tak, jak gdyby tygodniowy zarobek informował nas najdokładniéj. Przeciętna ostatniéj kolumny tablicy

poprzędniéj wyrażać będzie w takim razie zarobek tygodniowy irlandzkiego robotnika rolnego na własném utrzymaniu. Przeciętną tą jest 1 dolar 83 centy, czyli 7 szyl. 6 pensów. Jakiego zaś rodzaju jest to utrzymanie, a przynajmniéj—ile nań odrachowują patroni, przekonać się możemy z całotygodniowego nań wydatku, który nie przewyższa 97 centów, to jest 3,9 sz., co stanowi dziennie 16.5 kopiejek.

Z kolei przechodzimy do *Szkocyi*, gdzie zarobki rolne stoją najwyżéj. Young na str. 358 swego dzieła przytacza nam odnośne dane, z których będziemy mogli odpowiednie wyciągnąć wnioski. Przyjmijmy jednak pod uwagę, iż w tablicy téj pomieszczone są nietylko zarobki robotników.

Klasa	Zarobek roczny						Zarobek tygodniowy	
	Pieniędzmi		W naturze		Całkowity			
	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.
Oficyaliści	101	64	za 125	35	226	99	—	—
Robotnicy rolni	82	28	„ 124	96	207	63	—	—
Pasterze	116	88	„ 125	36	242	24	—	—
Leśnicy :								
Nadzorcy.	—	—	—	—	—	—	5	08
Gajowi	—	—	—	—	—	—	3	63

Z tablicy téj zarobek tygodniowy robotników wypada na 4 dolary, czyli 16 szylingów, co stanowi sumę dwa razy większą od zarobku robotników rolnych irlandzkich. Oczywiście szczęśliwców tych musi być nie wielu, przynajmniéj, tak wnosić można z przytoczonych już słów Fawceta, Atkinsa etc.

W dalszym ciągu przejdźmy do *Anglii* i *Walii*. Zarobki odnoszą się do 1870 r.

Prowincye	Mężczyzni — Zarobek tygodniowy bez utrzymania				Kobiety — Zarobek tygodniowy bez utrzymania			
	od		do		od		do	
	d.	c.	d.	c.	d.	c.	d.	c.
Południowo-wschodnie . .	2	17	3	63	0	96	1	61
Południowo-centralne . .	2	42	3	38	0	96	1	45
Wschodnie	2	42	3	14	0	72	1	45
Południowo-zachodnie . .	2	05	3	63	0	72	1	45
Zachodnio-centralne . . .	2	17	3	63	0	64	1	43
Północno-centralne . . .	2	90	3	63	0	96	1	45
Północno-zachodnie . . .	2	90	3	63	1	45	2	17
Północne.	3	38	4	35	1	08	2	17
Yorkshire	2	90	4	35	0	60	1	69
Welsh	2	66	4	00	1	21	1	45
Walia	1	21	3	63	0	96	1	45

Średni tygodniowy zarobek mężczyzn wynosi 2 dolary 96 cent., takiż zarobek kobiet 1 d. 27 c., czyli 12 szyl. i 5 sz. 3 pensy.

Zarobek kobiecy pomijamy, chociaż Giffen powinien był go uwzględnić przy swém obliczaniu, albowiem rezultat przez niego podany dotyczył zarobków rolnych wogóle,—wyprowadzamy zaś przeciętną jedynie z zarobków męskich, które obliczaliśmy — jak czytelnik mógł się przekonać—na najdogodniejszych dla twierdzeń Giffena warunkach, dla usunięcia wszelkiéj wątpliwości co do słuszności naszych zarzutów. Otóż *przeciętną wszystkich zarobków rolnych* (irlandzkich, szkockich i angielskich) jest (7.5 + 16 + 12) : 3, to jest *11.8 szylingów tygodniowo.* Cyfra ta, wyprowadzona przez nas zupełnie niezależnie, na zasadzie powyżéj zgromadzonego materyału blisko odpowiada rzeczywistym stosunkom, gdyż zgadza się z obliczeniami np. Stanley'a James'a („*On the condition of the working-classes of England*"), na którego powołuje się Young. Według Fawcetta, wypada 10 do 11 szylin.

Gdyby tak być miało, jak zapewnia Giffen, mianowicie, że zarobki rolne podniosły się o 60% od czasu zniesienia praw zbożowych do obecnéj chwili, to jest w okresie niespełna czterdziestoletnim, musiałyby one wtedy wynosić 7 szyl. tygodniowo. Że zaś tak nie było, że musiały być one wówczas wyższe — niższemi mogły być tylko chwilowo, to jest wyjątkowo — najlepszym dowodem są zarobki rolne z końca ostatniego stulecia. Już w r. 1787 młockarze, według Younga (str. 148), zarabiali po 6 szyl. tygodniowo, a żniwiarze do 8 szyl. Co do innych lat mamy szczegółowsze nieco dane. W Cumberland np. zarobek męski wynosił w r. 1792—7.5 szylingów, w 93 r.—7 szyl., w 94 r.—8 szyl., w 95 r.—7.5 sz.; w Huntingdonshire w r. 1792 wynosił 7.3 sz., w 93 r.—7.25 sz., w 95 r.—7.3 sz.; w Bedfordshire w r. 1795 zarobek wynosił 8 szylingów, czyli przeciętnie 7.5 szyl. Porównywując zarobek ten z dzisiejszym zarobkiem rolnym według Fawceta, otrzymujemy wszystkiego 40% przyrostu. Ale idźmy daléj. Tylko co przytoczone cyfry zapożyczyliśmy u Younga (str. 163—165), poniżéj wypisane bierzemy również od niego (str. 156): przeciętny zarobek tygdniowy robotnika rolnego w r. 1768, wyprowadzony na zasadzie zarobków w osiemdziesięciu z górą miejscowościach Anglii, miejscowościach rozmaicie odległych od stolicy, wynosił 7 szyl. 1 pens! Od r. 1768 do 1880 mamy lat 112. Otóż zaledwie w ciągu tych 112-tu lat, biorąc najbardziéj wygórowaną przeciętną obecnych zarobków rolnych, przyrost równać się może cyfrze podanéj przez Giffena; dla okresu zaś mniejszego, dla 90-cioletniego np., przyrost wyniesie tylko 40%. jakeśmy to już wyrachowali, i t. d. Być może, iż Giffen wybrał sobie za punkt wyjścio-

wy rok, w którym zarobek rolny, dla jakichkolwiekbądź powodów, spadł czasowo bardzo nisko. Inaczéj owych 60% jego wytłómaczyć sobie niepodobna. Bądź-co-bądź cyfra ta nie daje nam żadnego o rzeczywistym stanie pojęcia. Przy takich danych można otrzymać rezultaty według własnéj woli. — A zresztą zarobki robotników rolnych są i dzisiaj tak liche, że już doprawdy niepodobna posługiwać się ich przyrostem dla wniosków o rosnącym dobrobycie robotników wogóle. Niezmiernie wymownym w téj kwestyi jest ustęp Fawcetta o robotnikach rolnych (str. 234--238) w dziełku jego *Pauperism, its causes and remedies*. London 1871.

* * *

Przechodzimy do środków utrzymania.

Zaczynamy od pszenicy, od któréj zaczął także nasz autor. Niepodobna nie zgodzić się na rozumowanie jego, iż przeciętna cena przedmiotów codziennego użycia nie daje należytego o rzeczy pojęcia, tam gdzie chodzi o wykazanie większéj lub mniejszéj możności zaspakajania potrzeb. Jeżeli średnia roczna cena zboża np. wynosi 25 szyl., a mamy miesiąc taki, w którym wynosi trzy, lub cztery razy tyle; albo np. średnia roczna cena kartofli równa się x szyling., a w jednym miesiącu podniosła się do $3x$, lub $4x$ (1), jeżeli będzie to miało i z innymi przedmiotami codziennego użytku, — oczywiście, pomimo umiarkowaną cenę przeciętną, będziemy mieli miesiąc głodu. Średnie cyfry w takich razach nie wiele znaczą dla tych, co nie mają możności robić jakichbądź zapasów, co własnéj nie mają spiżarni. Nie podobna — powtarzam — nie zgodzić się na to rozumowanie; cóż, kiedy Giffen znowu wyzyskuje je tylko w pewnym celu, stosuje tam, gdzie mu ono jest użyteczném na poparcie *a priori* postawionego twierdzenia.

W 1847 roku cena pszenicy podskoczyła wyjątkowo do 102 sz. 5 pens. podczas gdy w 1836 r. była tylko 36 sz.; Giffen podchwytuje tę okoliczność, by dowieść, jakie to okropne były dawniéj zboczenia od średniego poziomu. To, że w 1868 r. cena pszenicy podskoczyła do 74 sz. 7 pens., podczas gdy w 1840 r. była tylko 72 sz. 10 pens., to — niby go nie obchodzi wcale.

Dziwna rzecz jaką to czułością, jakim symentalizmem tchnie logika Giffena, gdy mówi on o warunkach robotnika przed pięćdzie-

---

(1) Niedaleko idąc, weźmy przykład z pięcioletniego okresu od początku 1870 do końca 1874 r. (Young, ibid. 378 p.). W czerwcu 1871 r. kartofle kosztowały 60 szyl. tonna; w czerwcu 1873 r.—204 szyl. Średnia cena za cały ten peryod wynosiła 100 sz. Oczywiście w czerwcu 1873 roku była bieda.

sięciu laty. Z niezrównaną pieczołowitością wyszukuje on najdrobniejsze fakciki, szpera niby z zamiłowaniem w ówczesnéj nędzy robotniczéj; nie dziw więc, że usposabia go to pesymistycznie. Im bardziéj zaś zbliża się do naszych czasów, tém powierzchowniéj rzecz traktuje, tém różowiéj téż przedstawia mu się wszystko.

Ale mniejsza o jego logikę... Wróćmy do logiki liczbowéj.

Na stronicy 378 cytowanego już dzieła Younga znajdujemy następujące dane co do ceny zboża za kwarter w Anglii i Walii podczas trzydziestu pięciu lat od 1840 do 1874 r. włącznie:

Peryod	Pszenica		Jęczmień		Żyto	
	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.
1840—44 (5 lat) . .	13	88 (*)	7	66	8	22
1845—49 (5 lat) . .	12	96	8	26	8	10
1850 - 54 (5 lat) . .	8	70	6	96	7	60
1854—59 (5 lat) . .	13	84	8	86	9	30
1860	12	78	8	78	8	70
1861	13	28	8	66	8	58
1862	13	30	8	42	8	72
1863 . . , . . .	10	74	8	14	7	78
1664	9	64	7	18	7	30
1865	10	04	7	14	—	—
1866	11	98	8	98	—	—
1867	15	48	9	64	—	—
1868	15	30	10	32	—	—
1869 . . . , . .	11	56	9	46	—	—
1870	11	26	8	30	—	—
1871	13	60	8	68	—	—
1872	13	68	8	96	—	—
1873	14	08	9	70	—	—
1874	13	38	10	78	—	—

Naumyślnie przytoczyliśmy ten długi szereg cyfr, gdyż rzuca on zupełnie nowe na kwestyą światło.

Skąd brał swoje cyfry Giffen — niewiemy, cyfry zaś powyższe pochodzą z źródła urzędowego.

Z nich dowiadujemy się: popierwsze — iż cena pszenicy, ulegając ciągłym wahaniom, w przeciągu trzydziestu pięciu lat pozostała na tym samym średnim poziomie (w 1840 — 13.88, w 1874 — 13,38, a ogólna przeciętna — 13.20); powtóre — że niepodobna mówić o spadaniu ceny wobec cyfr stosunkowo wyższych w ostatnim dziesiątku (1864—1874), aniżeli w dwóch pierwszych (1840—1864); po trzecie — że porównywanie kilkoletnich okresów nie daje wcale należytego o rzeczy pojęcia, tak np. zestawienie dwóch dwuletnich peryodów (od początku 1863 roku do końca 1864 i od początku 1867 do końca

(*) 1 *dolar* = 100 *centom* = 4.13 szyl. We Francyi dolar rachują 5 fr.

1868), każe nam wnieść o podniesieniu się ceny o 55%, gdy w samej rzeczy, w przeciągu bardzo długiego czasu cena średnia stoi prawie na tym samym poziomie.

Sądzimy, że przy obliczaniu, mającém jaką taką do dokładności pretensyą, tak postępować, jak p. Giffen — niepodobna.

W tablicy powyższéj wypisaliśmy również z Younga cenę jęczmienia, która znowu widocznie wzrasta, a o któréj, *chyba dla tego właśnie*, pan G. zapomniał. Żałujemy, iż niepodobna było prześledzić postępu cen żyta. Jakkolwiek wszystkie te ceny nie dochodzą do 1882 r., niemniéj wszakże oświetlają nam rzecz do pewnego stopnia, gdyż wykazują, iż zniżenie ceny pszenicy, o jakiém mówi Giffen miało miejsce dopiéro w ostatnich latach, nie może więc być rozciągane na cały okres pięćdziesięcioletni.

O cukrze (tabl. V) powiedzieć tyle możemy, że, chociaż cena jego spadła bardzo znacznie, cyfry Giffena i tutaj są przesadzone. Na poparcie odwołujemy się do Porter'a (Progress of the Nation. *Statement of the Value of each of the principal articles of British and Irish produce*, tom II p. 109), który podaje nam, jako cenę 1 cnt. w 1832 roku, 45 szylin. (1). Mniejsza jednak o cukier. Wśród wydatków robotnika stosunkowo nie wielkie on zajmuje miejsce.

Co do kategoryi następnéj (mater. bawełniana)—trudno jest powiedzieć coś dokładnego. Autor za jéj pośrednictwem chciał nam uprzytomnić zapewnie obniżkę ceny odzienia; dla takiego wniosku jest ona szczupłą zanadto. Trzebaby wielkiéj śmiałości, by na podobne puścić się uogólnienie. Ponieważ jednak nie kładzie on na nią szczególnego nacisku, ponieważ nie wprowadza do liczbowych kombinacyi, możemy pozostawić ją na stronie.

Co do mięsa, sam Giffen przyznaje, że ceny jego w przeciągu ostatnich lat czterdziestu wzrosły o 40 procent. Podrożenia takiego chyba niepodobna nazwać bagatelą?...

W rezultacie, sumiennie rozpatrując rzeczy, przyjść trzeba do wniosku, że przez cały czas, o którym idzie mowa, ani zarobek tak bardzo nie urosł, ani téż nie staniały środki utrzymania. Tymczasem wiele kategoryi podniosło się bardzo znacznie (mięso — 40% z górą nawet przy cyfrach Giffena, mieszkanie 150%), ale najbardziej podniosły się... potrzeby... Te bowiem nie pozostają ciągle na jednym i tym samym poziomie, ale, owszem, rosną i rosną nieustannie...

---

(1) Young znowu podaje 32 szyl., jako cenę cukru w Londynie w 1872 roku. Czterdzieści pięć sz. w 1832 i trzydzieści dwa szyl. w 1872, nie jest to znowu tak wielka jak u Giffena różnica.

A czyż mielibyśmy prawo decydować o większym dobrobycie z samego tylko ich wzrostu?... Człowieka, co może tylko zaspakajać niezbędne swe potrzeby, chociażby one były dzisiaj daleko większe, czyż mamy prawo już dla tego samego zaliczać do kategoryi szczęśliwców, do szeregu ludzi, na korzyść których przypadł cały materyalny ostatnich czasów dorobek?...

Wreszcie przykład najlepiéj nas objaśni w téj mierze.

Ponieważ autor do rzędu tych szczęśliwców, którym się wszystko dostało, zaliczył między innymi robotników bradfordzkich, huddersfieldzkich i manchesterskich przyjrzyjmy się z blizka ich środkom utrzymania:

Wykaz rozchodu tygodniowo	Bradford 2 dorosłych i 3 dzieci		Huddersfield 2 dorosłych i 2 dzieci		Manchester 2 dorosłych i 5 dzieci	
	dol.	cen.	dol.	cen.	dol.	cen.
Mąka i chleb	1	02	—	92	1	34
Mięso, świeże i solone	1	20	—	84	—	60
Sadło	—	18	—	60	—	10
Masło	—	48	—	60	—	16
Sér	—	20	—	60	—	—
Cukier, mączka	—	50	—	56	—	52
Mleko	—	30	—	14	—	36
Kawa.	—	12	—	—	—	12
Herbata.	—	18	—	20	—	18
Ryby świeże i solone	—	—	—	—	—	18
Mydło, krochmal, sól, pieprz, ocet, etc. .	—	24	—	36	—	16
Jaja	—	12	—	6	—	12
Kartofle i inne jarzyny	—	24	—	36	—	24
Owoce świeże i suszone	—	—	—	16	—	8
Opał	—	28	—	32	—	60
Światło	—	8	—	9	—	12
Rozmaite wydatki	—	28	—	12	—	20
Spirytus, piwo, tytoń	—	48	—	—	—	36
Komorne.	1	08	—	86	1	08
Na przedmioty do szkoły, kościoła, etc.	—	24	—	36	—	36
Całkowity rozchód tygodn.	7	22	7	15	6	88
Rocznie	375	44	371	80	357	76
Ubranie (na rok).	120	—	25	—	25	—
Podatki (na rok).	—	—	10	—	—	—
Całkowity rozchód roczny.	495	44	406	80	382	76
Tygodniowy zarobek	10*	20*	7	20	7	96
Roczny zarobek, licząc 52 robocz. tygod.	530	40	374	40	413	92

* *Uwaga.* Zarobek rodziny.

Powyższe dane notujemy według Younga (*Labor in Europe and America*, p. 388). Cyfry—podane są w dolarach i centach (1 dolar = 100 centów = 4.13 szyling.).

Tablica ta służyć nam może za nadzwyczaj cenną wskazówkę dla uprzytomnienia sobie obecnego stanu robotnika. Nie chodzi nam już bowiem o porównanie tego stanu z poprzednim, ale, wyłącznie, o położenie jego dzisiejsze.

I cóż widzimy?

Licząc na dobry zarobek (7,96 dol. = 32 szyl., a 10.26 dol. = 42 szyl.) i—co ważniejsza jeszcze, na zarobek ciągły, bezustanny; innemi słowy—licząc na *wyjątkowo* dobre okoliczności, robotnik ma *ledwo* tyle, co mu potrzeba na *pierwszorzędne* wydatki, albo nie zarabia nawet i tego.

Przedmioty wykazane w rubryce pierwszéj należą do rzeczy *niezbędnych*, tymczasem całkowity roczny dochód robotnika *prawie* ich nie pokrywa. Mówiąc o robotniku bradfordzkim, Young bierze pod uwagę zarobek całéj rodziny i w ten sposób daléj rachuje; trzeba wszakże wiedzieć, że dziecko nie od kolebki przecież zarabia, a podczas ośmioletniego co najmniéj peryodu rodzice muszą nań wydawać. Z dziesięciu dolarów—tygodniowy zarobek zredukuje się w takim razie do ośmiu, dziewięciu, co uczyni rocznie 416, wreszcie 468 dolarów, a i w takim nawet razie deficyt wyniesie jakich 30 dolarów (1). W kasie hudersfieldzkiego robotnika—także deficyt; zarobek manchesterski—ledwo... ledwo wystarcza. Możemy dodać jeszcze, że Young stosunkowo zamało liczy na mieszkanie. Według Clif-

(1) Jak rozumiéć należy komentarz Younga przy tygodniowym zarobku robotnika bradfordzkiego—„earnings of family“—trudno jest odpowiedziéć napewno. Tłómacząc dosłownie należałoby powiedziéć „zarobek rodziny“ i w takim razie inne (7.20 i 7,96) uważać, jako zarobki samego tylko ojca; w takim jednak razie na zarobek męski wypadnie zbyt wygórowana suma np 32 szyl. (7 d. 96 c.), gdy na zarobek reszty rodziny—tylko (10.20—7.20) = 3 d., albo jeszcze mniéj, mianowicie (10.20—7.96) = 2.24 d. Dziewięć szylingów na cztery pracujące osoby (matkę i troje dzieci)—to trochę za mało. Przypuśćmy atoli, że komentarz ten należy rozumiéć dosłownie, że earnings of family znaczy zarobki rodziny. W takim razie matka z dziećmi podnosi zarobek ojcowski o 30 prawie procent, dzieci zaś same, ponieważ jest ich troje, co najmniéj od 15 do 20%. W rodzinie bradfordzkiéj mamy więc dzieci dorosłe, mogące już pracować; w dwóch innych rodzinach (huddersfieldzkiéj i manchest.) dzieci małe, niepozwalające nawet, prawdopodobnie, zarabiać matce; która musi pilnować je w domu. Dlaczegoż w takim razie Young utrzymuje wydatki wszystkich tych rodzin na jednakowéj wysokości? a nawet z wyjątkiem paru artkułów (mąki, mięsa, mleka, komornego i ubrania) wszystkie inne znacznie obniża? Rachując w ten sposób, nic dziwnego, że nie znajduje on deficytu w kasie robotnika bradfordzkiego. Ale czy tak jest w rzeczywistości? Największą ulgę, jaką dziecko robotnika, przynieść może rodzicom, jest zarobek wystarczający na własne jego utrzymanie.

forda (*Agricultural Lock-out of* 1874 p. 246) robotnik miejski wydaje nań co najmniéj *piątą* część całego swego zarobku; według Giffena—wydaje on jeszcze więcéj, bo $^1/_4$; inni zgadzają się z tém także. W takim razie na komorne odliczyć by trzeba było nie 1.08 dol., ale—2 dol.; nie 0.86, ale 1.80. A jakąż to znaczną robi różnicę, jak znaczną ujmę w innych artykułach!.. Na siedmiu dolarach dwa dolary w miejsce jednego—to rzecz nie mała.—Nie będziemy jednak wdawać się w krytykę cyfr pojedyńczych, ale postarajmy się tylko o ich zrozumienie.—*Chleb* w saméj rzeczy zajmuje bardzo poważne miejsce w wykazie rozchodów; wydatek nań i na mąkę dochodzi niekiedy do $^1/_5$ całego zarobku. Niekiedy! z wielkiéj ilości spożywanego chleba nie tylko o dobrobycie wnosić trudno, ale, nieraz, nawet przeciwnie wnosić można o biedzie. Nie tak jest z *mięsem.* Nawet przy tak wygórowanym nań wydatku, jaki nam podaje Young, mówiąc o bradfordzkiéj rodzinie, na tydzień wypada wszystkiego 6.4 funt.; pamiętajmy zaś, że to dla pięciorga. Huddersfieldzka rodzina ma tylko 4.5 funt., a manchesterska 3.2 funt. i to dla siedmiorga na tydzień, W tym ostatnim razie *na jednego dziennie wypada 0.06 funt.* Wyznać trzeba, że istnie ptasia to porcya. A panu Giffenowi, co tak pochopnie decyduje o świetném położeniu robotnika, nawet i dwadzieścia takich porcyi nie wystarcza zapewne. Z *masłem* także jest nie lepiéj. Licząc cenę funta na 1.4 szyl. wypada przeciętnie na jednę rodzinę tygodniowo funt z czemś, średnia rodzina w danym razie składa się z pięciu członków. Na takąż samę liczbę wypada tygodniowo: cztery *jaja*, rachując po szylingu tuzin; za szylinga (30 kop.)—*mleka*, za trzy czwarte szylinga—*herbaty*, za pół szylinga—*kawy*, za półtora szylinga—*opału*, za pół szyl.—*światła* itd. itd. Niektóre z tych porcyi tak są homeopatyczne, że i wyliczać by ich nie warto. Ale!.. jeszcze *ubranie.* Gdy Young mówi o 120 dolar. (150 rubli), jako rocznym wydatku rodziny złożonéj z 5-ciu członków, wszystko jest dobrze; ale gdy mówi o 25 dol. (30 rub.) na siedmioro, łatwo jest zrozumiéć, że zaszło tu jakieś nieporozumienie: w miejsce „ubrania“ należałoby powiedziéć—„łachmany“, „szmaty“, albo—może... jakoś inaczéj; wtedy przynajmniéj nie łamalibyśmy sobie głowy nad tém, co téż to za stroje na rok za taką sumę i na tylu ludzi sprawić można!?..

Już po tych tylko komentarzach czytelnik nam przyznać musi, żeśmy zauważyli słusznie, iż, przy *wyjątkowo* nawet dobrych okolicznościach, zarobek *ledwo* wystarcza na *pierwszorzędne* potrzeby.

Niechcemy uogólniać wniosków powyższych. Ponieważ przytoczone cyfry stosują się do Bradfordu, Huddersfieldu i Manchesteru, niech mają one racyą bytu *tylko* dla nich; ponieważ stosują się do familijnych domów, co w robotniczéj klasie zawsze w gorszych stoją

warunkach, niechaj téż *tylko względem nich* będą słuszne (1). Ale, czyż i wtedy nie są one dla nas dość przekonywującemi? Czyż i wtedy nie świadczą one z całą siłą przeciw bezzasadnemu Giffenowskiemu optymizmowi? Niejeden może skłonny by był jeszcze, po tem wszystkiem, zawahać się przed taką decyzyą, przypuszczając: że ludność bradfordzka, huddersfieldzka i manchesterska są *wyjątkami*; że ten olbrzymi potok bogactwa, co miał wylać—według słów Giffena—na robotniczą Anglię, ominął właśnie wymienione powyżéj robotnicze siedliska, że... itd... Jeśli co może zwichnąć zdrową logikę, to... najprędzéj—wielki jakiś autorytet... Giffen—imponuje!.. Jakże tu z nim się nie zgadzać?.. W danym jednak razie kwestya na tyle jest jasną, iż chyba tylko *umyślnie* można jéj nie rozumiéć:—*Giffen opiera swe wywody prawie przeważnie na zmianie bytu robotnika manchesterskiego*, *huddersfieldzkiego* i *bradfordzkiego* (patrz tabl. I, II i III), *a ostatnia tablica daje nam najdokładniejszy jego obraz w danéj chwili.*

Nie tęgi to byłby wzrost bogactwa, o którym wnosić byśmy mieli jedynie z polepszonego bytu *mas*!.. Dwie te rzeczy, *wzrost bogactwa* i *dobrobyt mas*, są tak od siebie różne, że ci, co—jak wielki stytystyk Wielkiéj Brytanii—przyjmują je za równoznaczne, stają się w wielu razach kompletnie niezrozumiali. Prawiąc o „wzroście bogactwa,“ a mając zawsze na myśli równoznaczny dla nich „dobrobyt mas,“ podają nam oni w rezultacie taką mieszaninę, w któréj najbystrzejszy nawet umysł odkryć niczego nie zdoła, a już najsłabszy dopatrzy się—zgoła braku wszelkiéj logiki!

Istotnie téż, nie tam wzrostu bogactwa szukać trzeba! A jeśli kto w tym mianowicie wypadku zamyka oczy na olbrzymie fortuny angielskie, nie dziw—że wszystko na wspak widzi.

Dlaczego p. Giffen odwrócił się od znanych całemu światu dowodów koncentracyi własności prywatnéj w Anglii i towarzyszącego jéj gromadzenia się wszystkich dochodów w niewielkiéj stosunkowo ilości rąk?.. Przez dyskrecyą, czy téż dla innego jakiego powodu?—niewiadomo. Ale faktem jest, że nic o nich nie mówi. Tymczasem, gdybyśmy chcieli tak jak on wnioskować, z „sukcesyi“ (Tabl. VIII), dowiedzielibyśmy się rzeczy zupełnie nowych.

Z pracy A. Forille'a (*Les grandes fortunes en Angleterre.* Journal de la Société de Statistique de Paris, 1883) dowiadujemy się naprzykład, iż od r. 1863 do 1872 włącznie Zjednoczone królestwo do-

(1) A z robotnikami rolnymi jest jeszcze gorzéj. Oto słowa Stanley'a James'a w téj kwestyi: „Jest to rzeczą niemożliwą dla człowieka żonatego, ażeby za taką płacę (12 szylingów tygod.) wyżywił należycie siebie i rodzinę.“ *On the condition of the working classes of England.*

starczyło 161 sukcesyi *ruchomości* większych nad 6,250,000 franków, z których 53 przewyższało 12,500,000 fr., 10 zaś—25,000,000 fr.; od r. 1873 do 1882 wykazano znowu 277 sukcesyi, z których 45 wyższych nad 12,500,000 fr., a 17—nad 25,000,000 fr. Ilość więc fortun większych wzrosła. O rozdrobnieniu własności również mówić niepodobna, albowiem właśnie posiadłości największych mamy prawie dwa razy tyle co przedtém. A przypomnijmy tylko sobie, jakie to wnioski z sukcesyi także porobił Giffen.

W jednym z dokumentów („*Financial reform almanach*“ for 1883) znajdujemy cyfry następujące:

W Królestwie Zjednoczoném liczyć można:

	750	kapit., posiadających (każdy oddziel.) więcej nad 6,250,000 fran. *w ruchom.*
Z tych:	160	„ „ „ „ „ 12,500,000 „
	60	„ „ „ „ „ 25,000,000 „

Nadto:

	1,011	właściciel ziemskich, których majątki warte są więcéj nad 6,250,000 fr. (1)
Z tych:	17	„ „ „ „ „ „ od 90 do 225 milionów,
	159	„ „ „ „ „ „ od 25 do 90 milionów,
	263	„ „ „ „ „ „ od 12.5 do 25 milionów,
	572	„ „ „ „ „ „ od 6.25 do 12.5 milionów.

Pierwsi w sumie mają fortunę 8,000 do 9,000 milionów, drudzy—18,000 z górą milionów franków. W tę ostatnią niewliczona jest jeszcze własność ziemska miast.

---

(1) Podajemy siedmnastu największych właścicieli:

Nazwisko	Powierzchnia majątku w hektarach.	Wartość w miljonach franków.
Ks. Norfolk	18,000	225
Margr. Bute	47,000	193
Ks. Buccleugh	185,000	192
Ks. Northumberland	75,000	147
Sir J. N. Ramsden	28,000	146
Ks. Devonshire	78,000	143
Ks. Derby	26,000	142
Ks. Bedford	35,000	118
Ks. Hamilton	63,000	117
Ks. Portland	65,000	116
Hr. Fitz-Wiliam	46,000	113
Ks. Sutherland	488,000	108
Lord Tredegar	16,000	104
Hr. Dudley	10,000	103
Lord Calthorfe	3,000	102
Lord Haldon	4,000	91
Margr. Anglesey	10,000	90
	1,197,000 hektarów.	2,250 mil. frank.

W rezultacie fortuny większe nad sześć milionów franków tworzą razem trzydzieści miljardów, a to bogactwo znajduje się w rękach 1760-ciu ludzi.

Podatek dochodowy rzuca nam także pewne światło w téj kwestyi:

Opłacających	50,000	fr. rocznie jest	9,661,
„	250,000	„ „ „	1,122, a
„	1,250,000	„ „ „	8.

Miljonerów w Królestwie Zjednoczoném jest wszystkiego 20,000 na 30 miljonów ludności.

Przed pięćdziesięciu laty nie mieliśmy ani tych olbrzymich kapitałów, ani tych olbrzymich majątków ziemskich. Dzisiejsze kolosalne fortuny zawdzięczać należy — nie mówiąc o pierwszych momentach ich powstawania, nie mówiąc o innych przyczynach — nieustannemu procesowi pochłaniania drobnéj własności przez wielką, *nieustannemu absorbowaniu przez tę ostatnią największéj części przyrostu bogactwa.*

„Tylko kosztem setek pchniętych w niedolę jednostki zaciągają się do szeregu wyjątkowo bogatych“ — powiada Wallace. Giffen innego jest zdania. Cały przyrost bogactwa, według niego, idzie na biédnych. Bogacze — rekrutują się z biédaków!... Niemasz losu — jak pełen nadziei los biedaka!... Ba!... nietylko nadziei, ale... i największych zysków?!...

O ile nam wiadomo, statystyka — pierwszego Giffena doprowadziła do podobnych wniosków.

Poddaliśmy je dość szczegółowéj analizie, by trzeba było raz jeszcze do nich powracać (1). Jedno, co nam pozostaje, to—streścić w kilku słowach uwagi nasze ogólnéj natury, któreśmy wypowiadali tu lub owdzie, w rozmaitych miejscach przy sposobności, a które dotyczyły nietylko już jednéj pracy p. G., ale — w ogóle prac podejmowanych w tym kierunku i w ten sam prowadzonych sposób, to jest uwagi, które dotyczyły saméj metody statystyki.

Jak bo téż często spotykamy wręcz przeciwne sobie konkluzye, chociaż oparte na tych samych statystycznych źródłach! Do jak

(1) Oprócz dzieł wyżéj wspomnianych, statystyczny materyał czerpaliśmy:
René Lavollée. *Les classes ouvrières en Europe.* Paris. 1882.—David Cunningham. *Conditions of social well-being, or inquiries into the material and moral condition of the populations of Europe and America with particular reference to those of Great Britain and Ireland.* London 1878.—Francis Walker. *The wages questions; a treatise ou wages and the wages class. Production and Population. Distribution.* London. 1878.—Thomas Brassey. *Foreign Work and English Wages.* London. 1879.—Bevan. *The Industrial Classes and Industrial statistics.* London 1877.—Leone Devi. *Wages and Earnings of the Working Classes.* London 1867.

sprzecznych wniosków dochodzą różni autorowie, rozporządzający wszakże jednemi i temiż samemi danemi! Dość jest przejrzéć choć jednego Younga (Labor in Europe and America). Oprócz surowego materyału, dotyczącego zarobków, cen różnych artykułów, wydatków, etc. podaje nam on, w traktowanéj przezeń kwestyi, *résume* z wielu autorów. Co do materyału — ten jest niezaprzeczonéj wagi, co zaś do wniosków — trudziłby się napróżno, ktokolwiek chciałby szukać w nich *jakiejbądź* zgodności. Kogo tu słuchać?... Oczywiście bowiem, wszyscy nie mogą mieć racyi.

I zkądże to pochodzi?

Nie mówiąc o drugorzędnych powodach, jak pochopność, aprioryzm, tendencyjność i t. p., wiele tu bezwątpienia stanowi — brak dokładnéj metody. Bez niéj zaś — statystyka do żadnych *poważnych* prowadzić nie może rezultatów, do żadnych rezultatów *pewnych.*

Najelementarniejszemi jéj wymaganiami, które notujemy z tego tylko względu, iż wykraczają przeciw nim nawet tacy jak p. Giffen, koryfeusze, najprostszemi takiemi wymaganiami są:

1. *Ocena materyału*, z którego się korzysta:

a) pod względem jego wartości;

b) pod względem jego zupełności—jeśli bowiem takowy jest niezupełnym, chociażby był najprawdziwszym, ograniczone tylko może mieć znaczenie;

c) pod względem wzajemnego do siebie stosunku różnorodnych jego kategoryi—jedne naprzykład mogą być daleko bardziéj od innych ważne, a jako takie odpowiednio winny być traktowane.

2. *Należyte jego uporządkowanie*:

a) rozsegregowanie kategoryi, różniących się jakościowo, ilościowo, co do stopnia oraz czasu;

b) wykluczenie kategoryi wyjątkowych—rezultat bowiem ogólny i ostateczny nie może się na nich opierać;

c) zestawienie kategoryi jednoimiennych.

3. *Uwzględnienie wszystkich znanych czynników*, wpływających na na ostatnią wypadkową.

Jeśli przeciw wymaganiom tym wykracza badacz zupełnie *bezstronny*—w takim razie powiedzielibyśmy tylko, iż nie ma on żadnéj metody; jeżeli zaś czyni to z powziętą z góry myślą, jest to już świadome fałszerstwo. W pierwszym wypadku nie mamy do czynienia z nauką; w drugim, pod przykrywką nauki, występuje szarlatanerya — tém szkodliwsza, im z bardziéj głośnego wychodząca źródła.

Kazimierz Sosnowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Der Kampf um den Besitz. von Dr. F. L. Chleborad. Wien, 1885.

Przez długi czas ekonomia polityczna pouczała ludzi, że warunki ich bytu na ziemi podlegają równie niezłomnym prawom, jak prawa fizyczne, że w obec praw tych są oni zupełnie bezsilni, że żadne instytucye, żadne środki prawodawcze, żadne pomysły najgenialniejszych głów nie są zdolne usunąć dolegliwości materyalnych, dręczących nieszczęsne dzieci Ewy. Nędza, według tych poglądów, miała być wieczną, bo mógłby jéj jakoby jedynie zapobiedz środek niepodobny do wykonania: zrzeczenie się przez wszystkich biédaków najwyższego szczęścia na tym padole płaczu, największéj osłody w troskach — uciech miłosnych i życia rodzinnego. Za taką cenę naturalnie nikt by się nigdy okupić sytości nie zgodził, żołądek więc musiałby zawsze płacić haracz sercu. To téż nazwano ekonomię „nauką smutną". Ponieważ wszelkie stosunki materyalnego bytu jednostek i narodów miały się układać siłą niezłomnych praw ekonomicznych, przeto wdawanie się rządów w sprawy gospodarstwa społecznego mogło tylko tamować naturalny jego rozwój, a więc oddziaływać na nie niekorzystnie, dlatego ekonomiści pragnęli widzieć w państwie jedynie ochraniacza bezpieczeństwa publicznego i stróża własności. Ze wszystkich katedr rozbrzmiewało ich głośne hasło: *laissez faire*, *laissez passez*, *le monde va de lui même.* To téż Ferdynand Lassalle mógł nie bez pewnéj słuszności o tym kierunku powiedziéć: nauczcie szpaka mówić „wolna wymiana, wolna wymiana", a będziecie mieli ekonomistę!

Wszystko jednak na świecie ma swój koniec, więc i teorya absolutnie wolnéj wymiany usług i nieinterwencyi państwa musiała zczasem obudzić reakcyą. Zaatakowali ją z jednéj strony zwolen-

nicy ceł ochronnych w imię potrzeby opieki dla początkującego przemysłu w krajach, stojących na niższym szczeblu rozwoju gospodarczego, z drugiéj — rzecznicy interesów ludu roboczego, w imię obrony pracy przed przewagą kapitału. I oto zaledwie sto lat upłynęło od czasu powstania doktryn wolnohandlowych, a poglądy największych powag w dzisiejszéj ekonomii wprost przeciwny dawnym przyjęły kierunek. Nie mówiąc już o utopijnych marzycielach, którzy chcieliby za jednym zamachem znieść zupełnie własność indywidualną wszelkich środków produkcyi, zwalić w gruzy cały, mozolną pracą wieków zbudowany, gmach dzisiejszego ustroju społecznego, oparty na zasadach gospodarki prywatno-kapitalistycznéj, i cały ciężar prowadzenia i regulowania tak zawikłanych zadań produkcyi, podziału i wymiany bogactw złożyć na barki państwa, — nie licząc się, powiadamy, z tego rodzaju marzycielskiemi zapędami, i w dziełach poważnych myślicieli coraz częściej spotykamy się w ostatnich kilkunastu latach z żądaniem rozszerzenia atrybucyi państwa w dziedzinie regulowania spraw ekonomicznych społeczeństwa. Nowy tedy kierunek w ekonomii politycznéj przezwali epigonowie staréj szkoły „socyalizmem z katedry“, lub „państwowym“. Najznakomitszych jego rzeczników dostarczyły Niemcy. Nie brak mu jednak licznych przedstawicieli i w innych krajach europejskich, za wyjątkiem głównie Francyi, gdzie w nauce przeważa jeszcze zasada *laissez faire*, *laissez passer*, jakkolwiek w praktyce prawodawczéj i tam już „socyalizm państwowy“ stanowcze odniósł zwycięstwo.

Do zwolenników tego właśnie nowego kierunku należy autor, wymienionego w nagłówku dzieła. Książkę swą wydał on pierwotnie w języku czeskim pod tytułem *Boj o majetek* (Berno, 1884), a uznanie z jakiém ją przyjęto w rodzinnym kraju, skłoniło go do przełożenia jéj na język niemiecki. Uczony ten pisarz pobratymczego nam plemienia znany jest zaszczytnie w swéj ojczyźnie nietylko z pracy na niwie naukowéj, lecz więcéj jeszcze — praktycznéj, jako założyciel, a w części i kierownik licznych stowarzyszeń spożywczych, zaliczkowych i wytwórczych. Okoliczność ta tém większą właśnie nadaje wagę uznaniu przezeń potrzeby opieki państwowéj dla interesów klasy pracującéj w jéj walce z przewagą kapitału, a jakkolwiek żądania d-ra Chleborada w tym względzie idą, zdaniem naszém, za daleko i o wiele przekraczają granice tego, co państwo jest zrobić w możności, to jednakże błąd ten nie może być uważany za argument przeciwko słuszności bronionéj przez autora zasady w najogólniejszym jéj zarysie. Lecz poznajmy bliżéj jego poglądy.

Dla zachowania swego bytu człowiek zmuszony jest walczyć z otaczającą go naturą w celu zdobycia sobie pożywienia i odzienia.

Walkę tę, w pierwszéj dobie swego istnienia na ziemi, prowadził on dorywczo i bez żadnego planu. Z czasem jednak wyćwiczywszy swe siły i nauczywszy się gromadzić sobie pewien zapas środków do życia potrzebnych, pozyskał możność zastanawiania się i obmyślania sposobów skuteczniejszéj walki z przyrodą, tak, że w końcu osiągnął zupełnie nad nią zwycięstwo i zdołał zmusić do służenia sobie te nawet żywioły, które dawniéj szkodę mu tylko wyrządzały i których potęga budziła w nim strach zabobonny. Ponieważ bez nagromadzenia pewnego zapasu dóbr, czyli majątku, nigdy człowiek rezultatów powyższych osiągnąć by był nie mógł, więc majątek, wnioskuje autor, jest koniecznym warunkiem rozwoju i doskonalenia się indywidualności ludzkiéj, a stąd naturalne następstwo, iż walka o posiadanie jakiego takiego mienia, umożliwiającego ten rozwój, musi stanowić główną treść życia ludzkiego. Na podstawie takiego właśnie poglądu na walkę o majątek, oświadcza się stanowczo dr. Chleborad przeciwko zniesieniu własności indywidualnéj. Nie trudno jednakże dostrzedz, iż jest to argument bardzo słaby. Posiadanie bowiem majątku jest wprawdzie przy obecnym ustroju społecznym warunkiem poniekąd koniecznym dla możności zupełnego rozwoju i doskonałego spożytkowania zdolności indywidualnych każdéj danéj jednostki, lecz jest nim jedynie dlatego, że istniejące prawo własności prywatnéj czyni je takiém. Ponieważ wszystkie środki produkcyi są zawłaszczone, więc kto ich nie posiada, jest pozbawiony możności wprowadzenia w działanie swych sił wytwórczych i nabycie jéj drogo opłacać musi. Gdyby jednakże środki produkcyi, jak tego chcą socyaliści, stanowiły własność kolektywną państwa, każda jednostka miałaby do nich dostęp wolny i tym sposobem mogłaby doskonale rozwijać i spożytkowywać swoje zdolności indywidualne, nie posiadając żadnego majątku prywatnego, oprócz przedmiotów spożycia. Tego rodzaju oderwanemi uogólnieniami, jakiemi walczy z socyalizmem autor, pobić go niepodobna, ale natomiast bardzo łatwo wykazać można złudność jego obietnic i nadziei przedstawieniem tych mnóstwa trudności nie do pokonania, z jakiemi gospodarka kolektywistyczna na każdym kroku i w każdéj chwili by się spotykała. Autor jednakże téj metody dowodzenia chwycić się nie mógł, ponieważ, jak to widać z jego własnych projektów, wierzy on prawie na równi z socyalistami w wysokie administracyjno-gospodarcze zdolności państwa i gorącą miłość jego urzędników dla dobra publicznego.

Obok walki człowieka z naturą, drugim czynnikiem dziejów gospodarczych ludzkości jest walka o mienie człowieka z człowiekiem. Owocem téj walki było w biegu dziejów najprzód niewolnictwo

a następnie poddaństwo, pańszczyzna i inne tym podobne formy mniejszéj, lub większéj zależności jednych ludzi od drugich. Wszystkie te postaci organizacyi społecznéj stanowiły rozmaite, coraz wyższe formy zjednoczenia sił ludzkich dla skuteczniejszéj walki z naturą, lecz wszystkie oparte były na wyzysku jednych ludzi przez drugich. W dzisiejszym ustroju społecznym żadnéj *widocznéj* formy takiéj zależności i wyzysku jednych przez drugich niema, tém niemniéj jednak zależność ta i wyzysk istnieje, a nawet, zdaniem autora, w większym stopniu, niż w ustroju średniowiecznym. Źródłem téj niesprawiedliwości społecznéj jest przewaga kapitału nad pracą pozbawioną mienia, oraz wielkiéj własności nad małą. O ile z jednéj strony przy dzisiejszym sposobie produkcyi, opierającym się na użyciu maszyn i wielkim podziale pracy, walka człowieka z naturą przyjęła kierunek dla ludzkości pomyślny, o tyle z drugiéj—walka człowieka z człowiekiem wysunęła się w życiu społeczeństw cywilizowanych na plan pierwszy i ukształtowała się w sposób zabójczy dla upośledzonéj majątkowo większości. Ponieważ wielki kapitał we wszystkich dziedzinach produkcyi, dzięki maszynom i udoskonalonemu fabrycznemu podziałowi pracy, produkuje zawsze daleko taniéj, niż mały, a przytém pierwszy korzysta z kredytu w daleko większym stopniu, niż drugi, przeto pierwszy musi w naturalnym wyniku takich stosunków pobijać ostatni. Tym sposobem drobni producenci ciągle zostają wyzuwani z mienia na korzyść wielkich. Gorzéj jeszcze przedstawia się stosunek sił w walce ekonomicznéj robotników z przedsiębiercami. Nie posiadający żadnego mienia robotnik, jakkolwiek pozornie zawiera z praconabywcą umowę zupełnie swobodną, to jednakże w gruncie rzeczy najczęściéj pod groźbą głodowéj śmierci musi się zgodzić na takie warunki, jakie mu przedsiębierca ofiarować zechce.

Przedstawione powyżéj względy stanowią, według dra Chleborada, naturalne przyczyny centralizowania się majątków przy dzisiejszym ustroju społecznym. Po za temi przyczynami jednakże istnieją jeszcze inne, potęgujące ten niesprawiedliwy stosunek podziału bogactw sztucznie, a mianowicie—drogą prawodawczą. Ponieważ dzięki swéj ekonomicznéj przewadze w społeczeństwie, do władzy, nawet przy rządach parlamentarnych, dochodzą najczęściéj, zdaniem autora, ludzie bogaci, lub ich kreatury, przeto stanowią oni prawa, popierające ich interesa ze szkodą warstw majątkowo upośledzonych.

Otóż taki stosunek rzeczy stoi w sprzeczności z interesem państwa, celem istnienia którego jest dobro ogółu obywateli. Zmienić więc to położenie i uczynić zadość sprawiedliwości społecznéj jest

dziś najpilniejszém zadaniem wszystkich społeczeństw cywilizowanych, a zadanie to, według autora, spełnione być może jedynie przez *sojusz warstw pozbawionych mienia z monarchą*. Rzeczompospolitym przepowiada dr. Chleborad stanowczą zagładę, a to mianowicie z tego powodu, że prezydent w nich nie uosabia w sobie majestatu, wznoszącego się po nad wszystkie sfery społeczne i ich interesa, lecz jest tylko prostym mandataryuszem, wybranym wprawdzie pozornie przez najwyższą wolę całego narodu, w rzeczywistości jednakże kreowanym przez klasy zamożne i od nich zależnym, a więc zmuszonym popierać ich interesa Możnaby tu zarzucić, że przy głosowaniu powszechném i tajemném warstwy pozbawione mienia mają wszelką swobodę wybrania sobie przedstawicieli ze swego łona i bronienia tym sposobem swoich interesów, lecz autor w to wierzyć nie chce, a natomiast wierzy widocznie, że zawsze każdy monarcha posiada dość przymiotów serca, charakteru i umysłu i jest dość niezależnym od zamożnych warstw społeczeństwa na to, by mógł wbrew interesom tych ostatnich bronić skutecznie dobra ludu pracującego.

Pożądany i przepowiadany przez autora sojusz ów monarchy z pracą bez mienia polegać ma w monarchiach konstytucyjnych na tém, iż panujący winien odmawiać swéj królewskiéj sankcyi wszelkim takim projektom do prawa, które miałyby na celu wyzysk klas upośledzonych, oraz starać się przy pomocy odezw monarszych do wyborców o zapewnienie tym klasom większości w ciele prawodawczém, a to w celu zniesienia istniejących już praw, z dobrém ludu pracującego niezgodnych, i ustanowienia natomiast innych, odpowiadających wymaganiom sprawiedliwości społecznéj. Określiwszy w ten sposób ogólnie zadania przyszłego sojuszu, zastanawia się następnie autor szczegółowo nad tém, co, zdaniem jego, zrobić by należało celem zapobieżenia centralizowaniu się majątków i rozpowszechnienia własności.

I tak, dla osiągnięcia pierwszego z tych celów domaga się dr. Chleborad poparcia dla stowarzyszeń, mających za zadanie oświatę ludu, jak np. czytelnie ludowe, odczyty i t. p. Takiém samém poparciem cieszyć się też winny stowarzyszenia, dążące do polepszenia bytu klas upośledzonych, jak stowarzyszenia spożywcze, zaliczkowe, wytwórcze i t. p., a niemniéj, mające na celu podniesienie płacy i wogóle zbiorowe przeciwdziałanie przewadze kapitałów przy pomocy bezroboci. Jakkolwiek te ostatnie przynoszą często wielkie szkody obu stronom walczącym, to jednakże, jak słusznie twierdzi autor, korzyść z nich przeważa, gdyż poznawszy wielkość ofiar, jakie one za sobą pociągają, obiedwie strony stają się skłonniejszemi do zgodnego załatwiania nieporozumień i tylko w razach koniecznéj

potrzeby do tego rodzaju walki się uciekają. Dla zapobieżenia stanowieniu praw, niezgodnych z dobrem warstw upośledzonych, domaga się autor zapewnienia wolności zgromadzeń, stowarzyszeń i prawa petycyi, ustanowienia powszechnego głosowania tam, gdzie w tym względzie istnieją jeszcze ograniczenia majątkowe, wreszcie zaprowadzenia powszechnego i obowiązkowego nauczania. Daléj rozpatruje dr. Chl. sprawę systemu podatkowego i przemawia gorąco za ustanowieniem podatku dochodowego, postępowego, oraz zniesieniem wszelkich podatków pośrednich, obciążających stosunkowo daleko więcéj ludzi biédnych niż zamożnych.

Wszystkie powyższe żądania są, jak widzimy, zupełnie usprawiedliwione i prawie powszechnie już dziś za takie uznawane. Do równie uzasadnionych wymagań autora zaliczamy jeszcze żądanie popierania przez państwo rozwoju przemysłu krajowego, ułatwienia kredytu warstwom niezamożnym, oznaczenia minimum podziału własności gruntowéj, kolonizacyi gruntów nieuprawnych przy pomocy kredytu państwowego, ustanowienia przymusowego ubezpieczenia pewnego minimum środków utrzymania w razach braku zarobku, niespodowanego własną winą, i wreszcie kilka jeszcze innych, mniéj ważnych projektów, których praktyczność, równie jak powyżéj przez nas wymienionych, albo została już stwierdzona doświadczeniem, albo przynajmniéj przez wielu poważnych myślicieli uznana. Natomiast nie zdaje nam się, ażeby przyszłość mogła urzeczywistnić tego rodzaju pomysły autora, jak np. uorganizowanie przez państwo *całego* wielkiego przemysłu i handlu na zasadach stowarzyszeń współdzielczych (*partnership*), lub arteli rosyjskich. Dokonanie tak kolosalnego przedsięwzięcia przechodzi najprzód, zdaniem mojém, możność państwa, a następnie wątpić należy, ażeby uorganizowane w podobny sposób stowarzyszenia trwale istnieć mogły. Przytoczony przez autora przykład pionierów rochdalskich nic tu nie dowodzi, bo wiadomo, że setki podobnych stowarzyszeń, założonych na takich samych zasadach, upadły. Nie chcę przez to bynajmniéj twierdzić, żeby stowarzyszenia takie nie miały przed sobą przyszłości. Owszem, należy przypuszczać, że z postępem oświaty ludowéj i wyrobieniem się zmysłu organizacyjnego, oraz karności, solidarności i doświadczenia ekonomicznego wśród klasy roboczéj, stowarzyszenia współdzielcze będą powstawały coraz liczniéj i rozwijały się pomyślnie, lecz będą powstawały samodzielnie, bez pomocy bezpośredniéj państwa, którego zadanie w tym względzie może polegać co najwyżéj na dostarczaniu, istniejącym już instytucyom tego rodzaju taniego kredytu, lecz nigdy na organizowaniu nowych, bo tym sposobem mogłoby do nich napłynąć wielu ludzi nieodpowiednich, co musiałoby je doprowadzić do upadku.

Nie wydaje mi się daléj rzeczą pożądaną, ażeby państwo zagarnęło w zupełności w swoje ręce interesa bankowe. Drobni przedsiębiercy, o których wszakże autorowi najwięcéj chodzi, straciliby na tém niewątpliwie, czego dowodem jest fakt, że dzisiaj wszędzie korzystają oni daleko więcéj z kredytu prywatnego, niż państwowego. Ażeby mogło być inaczéj, musieliby urzędnicy odznaczać się nadludzkiem umiłowaniem sprawy dobra publicznego, gdy tymczasem, jak wiadomo, są oni tylko zwyczajnymi ludźmi i nie posiadają przywileju na tę równie rzadką, jak piękną cnotę. Oprócz tego ostatniego przymiotu, należałoby jeszcze przypuszczać w ludziach, powołanych do służby publicznéj, nadzwyczajną sumienność, wysoki rozum praktyczny i wszechstronną znajomość danych stosunków, ażeby można było głosować za oznaczaniem przez państwo *minimum* płacy roboczéj, oraz *maximum* czynszu dzierżawnego i komornego, jak tego chce autor.

Projektami swemi przeprowadzenia w pewnych razach przez państwo zamiany własności prywatnéj na kolektywną ze wspólném użytkowaniem współwłaścicieli wkracza już autor w dziedzinę socyalizmu radykalnego. Ale mniejsza o nazwę, bo nie o nią nam chodzi, lecz o fakt, że wszystkie przedsiębrane na większą skalę próby tego rodzaju („warsztaty narodowe“ we Francyi i „stowarzyszenia produkcyjne“ w Niemczech, założone przez Bismarka z funduszów ofiarowanych przez cesarza) zrobiły zupełne fiasco. Trudno więc wobec tego doradzać nowe doświadczenia, zwłaszcza tak szeroko pomyślane, jak w projektach dra Chleborada.

Ostatnie rozdziały dzieła poświęcone są dowodzeniu, że walka o majątek zarówno człowieka z człowiekiem, jak i człowieka z naturą nigdy zupełnie nie ustanie, lecz z biegiem rozwoju cywilizacyi pierwsza będzie coraz łagodniejsze przyjmowała formy, coraz bardziéj zmniejszała swój zakres i słabła, druga zaś coraz pomyślniejsze dla człowieka wydawala rezultaty.

Wydać ogólne zdanie o książce dra Chleborada dość mi jest trudno. Nie posunie ona naprzód nauki, lecz nie jest téż bez wartości, gdyż obok znacznych wad, posiada i zalety. Do pierwszych należy niezręczny układ i dziwaczny podział treści, częste przerwy i luki w ciągu rozumowań, wreszcie zbytnia pohopność do podnoszenia bardzo prostych i nienowych spostrzeżeń, a czasem nawet nieuzasadnionych dostatecznie, lub sprzecznych z sobą mniemań do godności praw społecznych. Zaletę książki stanowi przedewszystkiém gruntowne wykształcenie ekonomiczne autora, dzięki czemu czytelnik może się spotkać z niejedną wiadomością pożyteczną i uwagą słuszną, a następnie przebłyskujące z każdéj stronnicy szczere współczu-

cie dla doli upośledzonych warstw społecznych, wolne jednak zupełnie od zazdrosnéj nienawiści do ludzi zamożnych—przymiot tém bardziéj sympatyczny, im rzadszy!

W. Wścieklica.

Explication nouvelle du phénomène des marées. Cause de courants atlantiques et des vents par A. Aug. Thauvenin. Varsovie 1885.

Każdy, kto miał do czynienia ze ścisłą nauką o przypływach i odpływach morza, zdziwi się mocno, przeczytawszy tytuł powyższéj książki. Istniejąca teorya oparta jest na pewnych i znanych zjawiskach mechanicznych i rozwinięta na gruncie matematycznym, a fakty najzupełniéj stwierdzają wywody książek. Nikt nie czuł potrzeby stawienia nowych hypotez, czy teoryi, gdyż nikt nie kwestyonował starych, wykończonych zupełnie już za czasów Laplace'a. Przejrzenie książki potęguje jeszcze to zdziwienie, gdyż nie znajdujemy tam zupełnie formuł matematycznych; natomiast, wpadają od pierwszych stronic w oko krótkie, urywane zdania, wykrzykniki, znaki zapytania. Teorya wyłożona jest widocznie w sposób bardzo popularny, popularniejszy niż kursa gimnazyalne. Takie traktowanie rzeczy ma za sobą tradycyą, bo *L'exposition du système du Monde* Laplace'a było również w ten sposób napisane. Zachodzi tylko ta różnica, że twórca nowoczesnéj astronomii popularyzował rzeczy znane, dowiedzione, a p. T. występuje z „nową teoryą." Tylko co odkryte światy naukowe należy przedewszystkiém pokazywać ludziom kompetentnym. Szersza publiczność o istniejących teoryach, wie zaledwie nieco, piąte przez dziesiąte, ani więc ocenić nie jest wstanie świeżego pomysłu, ani nie czuje potrzeby dowiadywania się, o niedostateczności teoryi, któréj nie zna. W pierwszéj chwili nie mogliśmy odgadnąć, z jakiego powodu autor dla siebie samego, dla skontrolowania swéj idei, nie wprowadził rzeczy na grunt ściśle naukowy. Przeczytanie jednak kilku, początkowych, wierszy książeczki daje wytłómaczenie zjawiska. Oto te wiersze: „W książkach kosmografii, które mamy pod ręką, a *nawet* w wykładzie astronomii Delaunay, wytłómaczenie, dawane zjawisku przypływów, jest według nas, niekompletne i najzupełniéj niewystarczające." Słowo *nawet* myśmy podkreślili, astronomia Delaunay'a jest książką przeznaczoną dla uczniów 6-éj, 7-éj klasy, nie opiera się wcale na wyższéj matematyce, musi więc nieraz poświęcać ścisłość, aby stać się dostępną dla czytelników. Autor, biorący się do krytyki teoryi naukowéj i budujący nową, gdyż go *nawet* podręcznik szkolny nie zadawalnia... dowieść jest zdolny chyba zbyt wielkiéj odwagi. Śmiałość

wystąpienia p. T. opiera się na niezrozumieniu tych nawet książek elementarnych, które zna. Zjawiska przypływu zachodzą jednocześnie w dwóch miejscach kuli ziemskiéj, leżących na dwóch południkach, odległych od siebie o 180°; czyli, jeżeli przez oś biegunową ziemi przeprowadzimy płaszczyznę i jeśli płaszczyzna ta poruszać się będzie w ten sposób, że przejdzie zawsze przez środek księżyca, to na przecięciu się jéj z kulą ziemską po obydwóch stronach osi będzie zawsze przypływ. P. T., który objaśnienie zjawiska bierze w sposób bardzo elementarny, dziwi się jak można je przypisywać tylko przyciąganiu księżyca, gdyż łatwo zrozumiéć, że ta część wodnéj powierzchni ziemi, która zwróconą jest do ciała niebieskiego podnosi się, zbliża ku niemu i oddala od środka ziemi, ale przez to samo odwrotna część powinna wykonać ruch wprost przeciwny w stosunku do środka ziemi, zbliżyć się a nie oddalać. Niepotrzeba jest znać istniejącéj teoryi, aby powątpiewać o słuszności wykładu p. T. Kto wie o ścisłości, z jaką badano wszystkie wywody mechaniczne i astronomiczne, ten *a priori* nie uwierzy w możność przeoczenia takiego absurdu (p. T. używa tego wyrazu), gdyby on istniał, przez wszystkich potężnych myślicieli, co się tą sprawą zajmowali.

Działanie księżyca (będę tu mówić tylko o księżycu dla krótkości, wszystko to jednak stosuje się i do słońca) na twardą część ziemi jest takie same, jak gdyby cała masa była zawarta w środku. Działanie tegoż ciała niebieskiego na cząsteczki płynne jest różne, w skutek nie jednakowego oddalenia od nich. Skutkiem tego, w chwili przechodzenia księżyca przez południk, cząsteczki wody, leżące na tym południku, są jak gdyby odciągane od środka ziemi. Ta cząsteczka, która leży od strony księżyca przyciąganą jest więcéj niż środek ziemi i gdyby nasza planeta mogła poddać się działaniu ciała niebieskiego, to będąca w mowie cząsteczka miała by przyśpieszenie większe i oddaliła by się od środka; to się nie staje, dzięki sile ciężkości ziemskiéj. Cząsteczki wody, leżące na téj saméj wielkiéj elipsie, to jest na południku, odległym o 180°, są przyciągane mniéj niż środek ziemi, i znowu, gdyby ruch był możebny ku księżycowi, to one oddaliły by się od środka przez opóźnienie. Cząsteczki, leżące na południkach, stanowiących z pierwszemi kąt 90°, są przyciągane prawie tak samo jak środek ziemi. Skutkiem tego, przyciąganie ziemi jest różne w różnych punktach oceanu: na dwóch południkach, przez których płaszczyznę w danéj chwili przechodzi ciało niebieskie przyciąganie to jest minimum, na południkach, których płaszczyzna jest prostopadłą do pierwszéj, jest maximum (bo nie zostało wcale zmienione, kiedy wszędzie indziéj uległo zmniejszeniu). Dla przywrócenia równowagi, w miejscach maximum wzrość musi grubość warstwy wody i maleć będzie stopniowo aż do punktu minimum.

Starałem się wyłożyć rzecz jak najelementarniéj, bez figury dokładne wytłomaczenie jest nie łatwe; sądzę jednak, że czytelnicy zrozumiéć mnie zdołają, nakreśliwszy koło przecięcia ziemi z orbitą księżyca, gdzie zjawisko jest najoczywistsze, i rozważając wspólne działanie na cząsteczki ziemi przyciągania ku środkowi ziemi i ku ciału niebieskiemu. P. T. dokładniéj poinformować się o tém może w książce Garceta *„Leçons nouvelles de Cosmographie“* (Paris 1866) str. 307 i 308.

Ostatecznie teorya p. T. streszcza się w następujących słowach: „zjawiska przypływów i odpływów nie pochodzą jedynie od przyciągania księżyca, ale jedna część ich powstaje wskutek *siły odśrodkowéj;* następnie prawdziwą przyczyną prądów morskich i wiatrów jest również *siła odśrodkowa*, dzięki któréj ciała cięższe, jak woda zimna i powietrze zimne, pchane są ku równikowi, wtedy, gdy woda i powietrze cieplejsze i lżejsze zwracają się ku biegunom.“ P. T. walczy może o uznanie praw *siły odśrodkowéj*, którą określa i traktuje w sposób bardzo luźny, i któréj geometrzy, badając zjawiska meteorologiczne, naturalnie nie ukrzywdzili nigdy. I punkt wyjścia i *„la raison raisonnante*,“ z jakiemi p. T. rozwija swoję teoryą, nie pozwalają na poważną krytykę twierdzeń i szczegółowych wywodów.

L. S.

= Nie często się to zdarza, żeby młody debiutant w dziedzinie badań naukowych wystąpił od razu z szeregiem prac tak obszernych i poważnych, jak prace p. *Józefa Wolffa*, dotyczące dziejów rusko-litewskich. W roku zeszłym ogłosił on w XVII tomie „Rozpraw wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności“, w Krakowie studyum historyczne **„O Kniaziach Kobryńskich“** które do owego roju kniaziowskiego, jaki w końcu XIV wieku do dziejów naszych wkracza, stara się wprowadzić ład, rzuca na ich stosunki wzajemne pewne światło. Rozprawa p. Wolffa jest poniekąd uzupełnieniem dawniejszych poszukiwań Kazimierza hr. Stadnickiego nad dziejami Gedyminowiczów i prostuje je w niektórych szczegółach.

W roku bieżącym autor dał do rąk publiczności dwa imponujące wolumina. Jeden z nich, pod napisem **„Pacowie. Materyały historyczno-genealogiczne“**, sam przez się nie małéj wartości, witamy z tém większém zadowolnieniem, że zdaje się zapowiadać szereg dalszych prac tego rodzaju, nosi bowiem jeszcze drugi, ogólniejszy tytuł: „Senatorowie i Kniaziowie Litewscy.“ Monografia ta, wspiera

się prawie wyłącznie na aktach metryki litewskiéj, znajdującéj się obecnie przy Senacie w Petersburgu. Zacząwszy od Paca Dowkszewicza, żyjącego w połowie XV wieku, autor mówi o każdym członku możnego domu, szykując ich pokoleniami, a kończy na córce generała Ludwika, ostatniéj z rodu. Powierzchowność téj książki, zbytkowną niemal, rzec można, ozdabia kilka portretów. Drugi z wspomnionych woluminów nosi tytuł **„Senatorowie i dygnitarze Wielkiego Księstwa Litewskiego** *1386—1795*“, i obejmuje chronologiczne spisy wojewodów, kasztelanów, ministrów i dygnitarzy, z krótkiemi objaśnieniami wstępnemi o czasie powstania urzędów i znaczeniu każdego. Owoc to pracy mozolnéj i wytrwałéj, który nie dostarczy zapewne łatwéj i przyjemnéj lektury, ale przez każdego pracującego nad czterema ostatniemi stuleciami dziejów naszych z wdzięcznością przyjęty będzie, oszczędzi mu bowiem zmudnych poszukiwań w źródłach, które zresztą dla wielu badaczy byłyby niedostępne.

„Żyd ministrem króla Zygmunta. *Szkic historyczny.*“ W szczupłéj, bo tylko 40 stron obejmującéj broszurce p. J. Woff zaznajamia nas z osobą Abrahama Ezofowicza, który dorobiwszy się znacznéj fortuny, dzierżawił myta, udzielał pożyczek monarchom, otrzymał nobilitacyą, a wreszcie w roku 1510 został podskarbim ziemskim litewskim i potomstwo swe złączył węzłami małżeńskiemi z najpierwszemi domami w kraju. Treść téj książeczki z wielu względów zająć powinna myślącego czytelnika.

═ Wzrastająca ciągle ludność miasta Warszawy, zwiększa coraz bardziéj potrzeby jéj rynku spożywczego. Okoliczność ta daje możność naturalnym jego dostawcom, właścicielom gruntów podmiejskich, coraz większego urozmaicania produkcyi i powiększania swych dochodów. Wiadomość o ile oni z téj sposobności korzystają i oszczędzają tym sposobem miastu opłacania znacznych kosztów transportu, byłaby bardzo pożądaną, bo dałaby wskazówki, co w tym kierunku dałoby stę jeszcze zrobić dla zniżenia cen ważniejszych artykułów spożycia i regularnego zaopatrywania rynku. Niestety jednakże, w większéj części wypadków panują pod tym względem iście egipskie ciemności. To też każdy promyczek światła, przedzierający się przez nie, ma dla nas tém większą wartość. Taki właśnie promyk rzucił świeżo *Ogrodnik Polski* (w N-rze 13 z d. 1 lipca r. b.) na stosunki produkcyi warzyw pod Warszawą, na Woli i Czystem, i dlatego skwapliwie go podchwytujemy.

W miejscowościach tych, posiadających wyborną gliniastą ziemię, oddawna już, bo co najmniéj od początku bieżącego stulecia,

poczęła się osiedlać ludność ogrodnicza, zajmująca się wyłącznie uprawą owoców i warzyw. Produkcya tych artykułów rozszerzyła się tam nadewszystko w ostatnich kilku lat dziesiątkach, gdy wskutek zakupu ziemi pod budowę domów ilość ogrodów, wewnątrz miasta położonych, poczęła gwałtownie się zmiejszać, a jednocześnie zaludnienie równie szybko wzrastało. Bliższych jednakże wiadomości o owych koloniach ogrodniczych aż do ostatnich czasów nie posiadaliśmy zupełnie. Dopiéro, gdy zawiązane w roku zeszłym Towarzystwo Ogrodnicze, zdołało przyciągnąć do siebie kilkunastu ogrodników zamiejskich, w utworzonéj przy niém sekcyi warzywnéj rzucona została myśl zebrania chociażby przybliżonych danych o produkcyi warzyw we wzmiankowanych koloniach na Woli i Czystem. Myśl tę bardzo chętnie podjęli się urzeczywistnić pp. Jan Kubalski i Jan Rząca i zakrzątnęli się tak gorliwie koło téj sprawy, iż już w roku obecnym zdołali dostarczyć potrzebne wiadomości, na podstawie których p. Józef Kaczyński zestawił odpowiednie tablice statystyczne.

Statystyka ta obejmuje produkcyą warzyw u 86 hodowców, posiadających ogółem 762 morgi ziemi. Co do wielkości pojedynczych ogrodów kolonie powyższe przedstawiają następujące stosunki:

26	warzywników	posiada	od	2	do	5	morgów	ziemi,	razem	102
37	"	"	"	5	"	10	"	"	"	286
14	"	"	"	10	"	15	"	"	"	183
6	"	"	"	15	"	20	"	"	"	117
3	"	"	"	20	"	25	"	"	"	74
86	"	"	ogółem	. . .	. . .	. . .	. . .	. . .	. . .	762 m.

Przeciętna wielkość jednéj posiadłości wynosi około 9 morgów.

Pod względem ogólnéj wartości produktu, uprawiane warzywa szeregują się, jak następuje: pierwsze miejsce zajmują produkty uprawy inspektowéj, daléj idą kolejno: kapusta biała, cébula, kalafiory, pietruszka, sałata, selery, marchew, buraki, kapusta włoska, kapusta czerwona, szpinak, pomidory, kapusta brukselska, roszponka, pasternak, rzepa, kalarepa, pory, jarmuż i groch.

Inspekty obejmują ogółem 21,625 okien. Przyjmując średnio za dochód brutto z 1 okna 3 rs., otrzymamy, iż dochód ogólny z inspektów wynosi rs. 64.875.

Kapusty białéj hoduje się średnio kóp 31,040, co przy cenie przeciętnéj za kopę rs. 2, da nam rs. 62,080.

Cébuli 8.405 korcy po 5 rs. daje hodowcom rs. 42,025.

Kalafiorów otrzymano 6,140 kóp. Ceny ich bywają nadzwyczaj różne zależnie od wcześniejszéj, lub późniejszéj pory. Dochodzą one

nieraz do 20, a nawet 25 rs. za kopę, lecz średnio można je liczyć po rs. 6, skąd na ogólną wartość podanéj wyżéj ilości produktu wypadnie nam rs. rs. 36,840.

Pietruszka sprzedaje się na pudy i przedstawia równie znaczne różnice w cenie, dochodzącéj nieraz do 9 rs. Ogólny jéj plon podaje p. Kaczyński na 17,810 pudów po cenie przeciętnéj rs. 2=rs. 35,620.

Sałata w porze bardzo wczesnéj dochodzi w cenie do 8 rs. za kopę, przeciętnie zaś liczy się po 60 kop. Średnio hoduje się jéj kop 46,230 wartości rs. 27,738.

Produkcya innych warzyw, uprawianych na Woli i Czystem, znacznie już mniejszą przedstawia wartość. I tak produkuje się: *selerów* 10,620 kóp po cenie przec. rs. 1,50, czyli za rs. 15930,—*marchwi*, 7,740 korcy po rs. 2 = rs. 15,840, — *buraków* 6,785 korcy po rs. 2 = rs. 13.572,—*kapusty włoskiéj* 8,340 kóp po rs. 1,50=rs. 12,510,—*kapusty czerwonéj* 4,410 kóp po rs. 2,50 = rs. 11,025, —*szpinaku* 12,690 koszy (półkorcowych) po kop. 60 = rs. 7,614, — *pomidorów* 9,250 kóp po kop. 60 = rs. 5,550, — *kapusty bruksel.* 1,690 kóp rs. 3 = rs. 5,070,—*roszponki* 2,755 koszy (ćwierciow.) po rs. 1,50=rs. 4.534,50,—*pasternaku* 2,560 korcy po rs. 1,50 = rs. 3,840, — *rzepy* 1,135 korcy po rs. 3 = rs. 3,405, — *kalarepy* 9,780 kóp po kop. 30 = rs. 2,934, — *porów* 11,570 kóp po kop. 20 = rs. 2,314, —*jarmużu* 1,235 korcy po rs. 1.50 = rs. 1,852,50, — *grochu* 536 korcy po rs. 3 = rs. 1,608.

Wszystkie te cyfry ogólne podaje p. Kaczyński w pozycyach szczegółowych, podług wielkości ogrodów i na ich podstawie oblicza w końcu dochód z 1 morga. Z rachunku tego wypada, że 1 mórg ziemi przynosi dochodu brutto ogrodnikom, posiadającym od 2 do 5 morgów rs. 389,57 kop., od 5 do 10 — rs. 450.70, od 10 do 15 — rs. 810,67, od 15 do 20—rs. 856,87, od 20 do 25—rs. 655,88. P. Kaczyński wnosi z tego, że najgorzéj uprawiają ziemię ogrodnicy pierwszéj kategoryi, potem drugiéj, następnie — piątéj, daléj—trzeciéj i najlepiéj — czwartéj, czyli, posiadający od 15 do 20 morgów. Nam się wydaje, że wniosek ten może być słusznym jedynie w zastosowaniu do 3 ostatnich kategoryi. Co do pierwszych dwóch, to niekorzystną dla nich różnicę w dochodach należałoby, zdaniem naszém, przypisać raczéj brakowi kapitału obrotowego, zmuszającemu drobniejszych posiadaczy do uprawy tych warzyw, które wymagają mniejszych kosztów produkcyi.

Winniśmy jeszcze dodać, że cyfry powyższe nie obejmują całéj produkcyi warzyw pod Warszawą, gdyż po za Wolą i Czystem istnieją jeszcze inne kolonie ogrodnicze, acz mniéj, o ile nam wiadomo, ważne. Dane te nadto nie mogą być uważane za zupełnie do-

kładne. Mają one jedynie znaczenie przybliżone, lecz w braku zupełniejszych, należy je przyjąć z uznaniem dla tych panów, którzy nie szczędzili trudu, by na sprawę dotąd zupełnie nieznaną rzucić jakie takie światełko. *w.*

= **Polnische Stimmen. I. Ausrotten?** *Zürich, 1886. Verlags-Magazin (J. Schabelitz).* — Numer I, położony na książeczce, nakazuje się domyślać, iż bezimienny jéj wydawca zamierza częściéj zaznajamiać niemiecką publiczność z „głosami Polaków." Leżący przed nami zeszycik obejmuje tłómaczenie wszystkich poważniejszych artykułów, pomieszczonych w pismach naszych, tak w Królestwie, jak w Poznańskiém i w Galicyi, w odpowiedzi na równie głośne, jak zwierzęco-brutalne nawoływanie pruskiego filozofa, Hartmanna, do tępienia Polaków w dzielnicach w obręb państwa niemieckiego wchodzących. Znajdujemy więc tutaj przedewszystkiém replikę K. Jarochowskiego, A. Świętochowskiego, Maryana Morawskiego S. J. (z krakowskiego „Przeglądu Powszechnego"), J. Karłowicza, St. M. Rzętkowskiego i dwie bezimienne — z „Kłosów" i „Kraju" petersburskiego.

Dalecy jesteśmy od przeceniania pożytku wydawnictwa powyższego, lecz w każdym razie sądzimy, że informując nieuprzedzoną część społeczeństwa niemieckiego o naszych myślach, dążeniach i zapatrywaniach, korzyść niejaką przynieść ono może, i dla tego życzymy mu powodzenia, naturalnie—w Niemczech.

= *Arnold Toyrebee.* **Lectures on the Industrial Revolution in England.** *London 1884.* — Jest to pośmiertna spuścizna po tym pełnym talentu i gruntownéj wiedzy uczonym, niestety, przedwcześnie zgasłym dla nauki. Należał on do téj nowéj szkoły ekonomistów, która w badaniach swoich posługuje się metodą statystyczno-historyczną. W wymienionéın dziele stara się autor wykazać przyczyny tego przewrotu stosunków ekonomicznych, jaki miał miejsce w Anglii w drugiéj połowie zeszłego stulecia, a zarazem przedstawić dalszy jego rozwój i tendencye. Za punkt wyjścia bierze rok 1760 i na podstawie danych statystycznych kreśli obraz ówczesnego stanu rozmaitych gałęzi produkcyi narodowéj — rolnictwa, przemysłu i handlu, przedstawia stosunki liczebne rozmaitych klas ludności, gwałtowne zmniejszanie się liczby drobnych posiadaczy ziemskich i położenie klas pracujących.

W związku z faktami rozpatruje autor panujące wówczas teorye ekonomiczne. Bierze więc przedewszystkiém pod rozbiór zasady systematu merkantylnego, a następnie poddaje dość szczegółowéj krytyce poglądy ekonomiczne Adama Smitha, teoryą ludności Mal-

thusa i teoryą renty Ricarda, wykazując zarazem wpływ, jaki te nauki wywarły na pojęcia ogółu, a przez nie pośrednio na realny bieg życia ekonomicznego Anglii. Z późniejszych pisarzy ekonomicznych uwzględniony został głównie J. S. Mill.

W poglądach swych na zadania państwa stoi Toyrebee na jednakim gruncie z niemieckiemi „kateder-socyalistami“ i powstając przeciwko zasadom absolutnie wolnéj konkurencyi, domaga się dla klas pracujących opieki prawnéj, a nawet w pewnych wypadkach pozytywnéj pomocy (budowania domów i zakładania szkół technicznych dla robotników) ze strony rządu.

Wogóle książka Toyrebee a nadewszystko jej część historyczna stanowi cenny przyczynek dla pozytywnéj wiedzy ekonomicznéj, z tego też względu polecamy ją uwadze ludzi zajmujących się kwestyami społecznemi, a zwłaszcza dziejami rozwoju gospodarczego narodów.

NEKROLOGIA.

---

† **Stanisław Szafarkiewicz,** inżynier, zakończył życie w Warszawie 5 sierpnia r. b., budząc powszechny żal po sobie. Syn zasłużonego profesora poznańskiego, po ukończeniu wyższych studyów w Berlinie, przybył do Warszawy i tu rozwinął niezmordowaną a wielostronną działalność. Udział jego w wydawnictwie „*Inżynieryi i budownictwa*“ odbił się bardzo wyraźnie na kierunku tego pisma. Szafarkiewicz wydawał przy niém dodatek specyalny dla ślusarzy, zamierzając z czasem i dla innych rzemiosł stworzyć podobne organa. Mapa lasów Królestwa Polskiego, Tablica drzew krajowych (opracowana przez J. Homułkę), Tablica naszych zasobów mineralnych, Mapa produkcyjności pojedynczych gubernii Królestwa (wykonana przez Józ. Wolfheima), wreszcie znana Mapa Poglądowa Królestwa (ułożona przez p. Wójcicką) wyszły staraniem Szafarkiewicza. Przed samym wreszcie zgonem młody inżynier otwiera agencyą, mającą ułatwiać sprzedaż wyrobów rzemieślnikom niemającym własnego sklepu, czyli najbiedniejszym. Szafarkiewicz zdobył sobie istotne uznanie w społeczeństwie, poparcia jednak praktycznego, które nie zawsze chodzi u nas w parze z uznaniem, zabrakło w danéj chwili i utraciliśmy dzielnego pracownika.

† Dnia 11-go sierpnia r. b. zmarł **Adam Rzążewski,** znany w piśmiennictwie pod pseudonimem *Aëra.* Urodził się w r. 1844 na Podlasiu, we wsi Cieleśnicy, kształcił w gimnazyum Lubelskiém, następnie przez lat trzy w b. Szkole Głównéj Warszawskiéj na wydziale filologicznym, wreszcie w Hohenheimie, zkąd powróciwszy, oddał się gospodarstwu wiejskiemu. Przed kilku laty osiadł w Paryżu i tam wśród zajęć literackich ciężka choroba kres jego życiu położyła.

Z licznych jego prac przytoczymy tu powieści: „*Pierwszy romantyk*“ z życia Kniaźnina, „*Ostatni krzyżacy*“, i „*Miłość poety*“ (Juliusza Słowackiego), wychodząca obecnie w „Tygodniku illustrowanym.“ W piątym tomie „Pamiętnika wydziałów filolog. i filozof.-historycznego“ Akademia krakowska ogłosiła jego pracę p. tyt. „*Złoty wiek literatury Dobrownika.*“ Najwięcéj czasu, starań i zamiłowania poświęcił Rzążewski obszernemu życiorysowi A. Mickiewicza, spoczywającemu dotąd w rękopisie, z którego wyjątek podało „Ateneum“ (r. 1884, t. III i IV). Ustępy z pamiętników Leona Dembowskiego, któreśmy w naszém piśmie pomieszczali, były ułożone i przygotowane do druku przez Rzążewskiego. Literatura nasza traci w nim sumiennego i pracowitego pisarza.

OFIARY.

Na pogorzelców grodzieńskich przesłali na ręce nasze:

PP. Łopato Stanisław . . rubli 4,
Pawłowski Kalikst . . „ 1,

które to ofiary w dniu 15 Lipca złożyliśmy w Redakcyi „Kurjera Warszawskiego“ za kwitem Nr. 663.



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Sierpnia 1885 r.

---

1. **Złota przędza poetów i prozaików polskich**, tomu III-o zeszyt 4-y (ogólnego zbioru zeszyt 28-y, od str. 241 do 320) i tomu III-o zeszyt 5-y (ogóln. zbioru zesz. 29-ty, od str. 321 do 400). Warszawa, nakł. Wład. Maleszewskiego i Teod. Paprockiego, 1885 r.
2. **Sprawozdanie z czynności Towarzystwa przyjaciół nauk Poznańskiego za rok 1884**. — Cześć urzędowa: Protokóły i sprawozdania. Część nieurzędowa: *Dr W. Łebiński*: Materyały do słownika łacińsko-polskiego średniowieczéj łaciny i starożytności polskich. Poznań, 1885, 8-o. str. 44+IX+200.
3. **Halina**. Powieść wierszem przez *Tadeusza Otawę*. Warszawa, 1885. 8-vo, str. 70.
4. **H. Ferri. Szkoła pozytywna prawa karnego**. Z włoskiego przełożył *Mikołaj Korenfeld* adwokat przysięgły. W Warszawie u A. Lesmana, w Petersburgu u H. Glińskiego, 1885, 8-o. str. 50.
5. *Leonard Sowiński*. **O zmroku** (poezye). Warszawa, u M. Orgelbranda, 1885, 8-o, str. 157+II.
6. **Herder jako pedagog**. Napisał *Dr. Fr. J. Albert Zipper*. Lwów, 1885, 8-o, str. 50.
7. **Odpowiedź na punkty 5-ty, 6-ty i 7-my** Kwestyonaryusza rolniczego *hr. Ludwika Krasińskiego*. (Warszawa) in 4-to, str. 12.
8. *Wiktor Gomulicki*: **Obrazki prawdziwe**. Warszawa nakład Paprockiego i S-ki, 8-o str. 189.
9. **Rocznik zarządu Akademii umiejętności w Krakowie**. Rok 1884. Kraków, 1885. 8-o str. 169.
10. **Słownik synonimów polskich**, przez biskupa *Adama Stanisława Krasińskiego*, doktora teologii. Tom II. W Krakowie, 1885, wielka ósemka, str. 477.
11. **Pisarze dziejów polskich**. Tom VIII (zawiera archiwum domu Radziwiłłów). Kraków, nakład księcia Antoniego Radziwiłła, 1885, 4-o, str. 5+XXIV+295.
12. **Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące**. Tom VIII zawiera: Prawa, przywileje i statuta miasta Krakowa zebrał i wydał Dr. *Franciszek Piekosiński* (Tom I, zeszyt I, r. 1507—1586). W Krakowie, 1885, 4-to, str. XXXVII+624
13. **Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności**. Tom XVIII. Kraków, 1885. 8-o, str. 322+XLV.
14. **O działach majątkowych z tekstem i objaśnieniem Szląskiej ordynacyi ziemskiéj** napisał Dr. *Z. Celichowski*. Poznań, 1885, 8-o, str. 27.
15. **Sprawozdanie z czynności Wydziału Czytelni akademickiéj w Krakowie za rok 1883 4**. 8-o, str. 48.

Дозволено Цензурою, Варшава. 21 Августа 1885 г.